

GACEK & SZCZEPAŃSKA



NOWY ŚWIAT

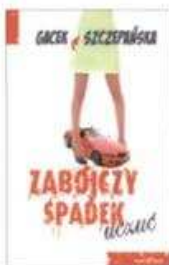
Zaprzyjaźnione na śmierć i życie kumpelki, nieoczekiwany spadek po zapomnianej ciotce oraz wizja nowego życia w odziedziczonym hotelu z dala od miasta... Tak sielankowo mógłby wyglądać scenariusz bajkowego melodramatu – ale bohaterkom „Zielonego trabanta” wszystko idzie na opak.

Okazuje się, że doskonale prosperujący za dawnych czasów hotel, teraz odstrasza mocno peerelowskim wyglądem i znajduje się na skraju upadłości. Podjęte próby przywrócenia mu dawnej świetności wydobywają na światło dzienne skomplikowane rodzinne tajemnice oraz zależności. Przyjaciółki muszą stawić czoło kiepskiemu personelowi, głodnym gościom, nachalnemu byłemu mężowi, lokalnym cwaniaczkom oraz żądnym krwi gangsterom.

P A T R O N A T I

Wydawnictwo Nowy Świat

SUKCES polki.pl



„Zielony trabant”
dostępny jest również
jako audiobook (mp3)
w księgarniach
oraz na stronie:
bibliotekaakustyczna.pl

Zapraszamy też do
księgarni po
pierwszą książkę
duetu Gacek
& Szczepańska:
„Zabójczy spadek
uczucie”



ISBN 978-83-7386-312-5

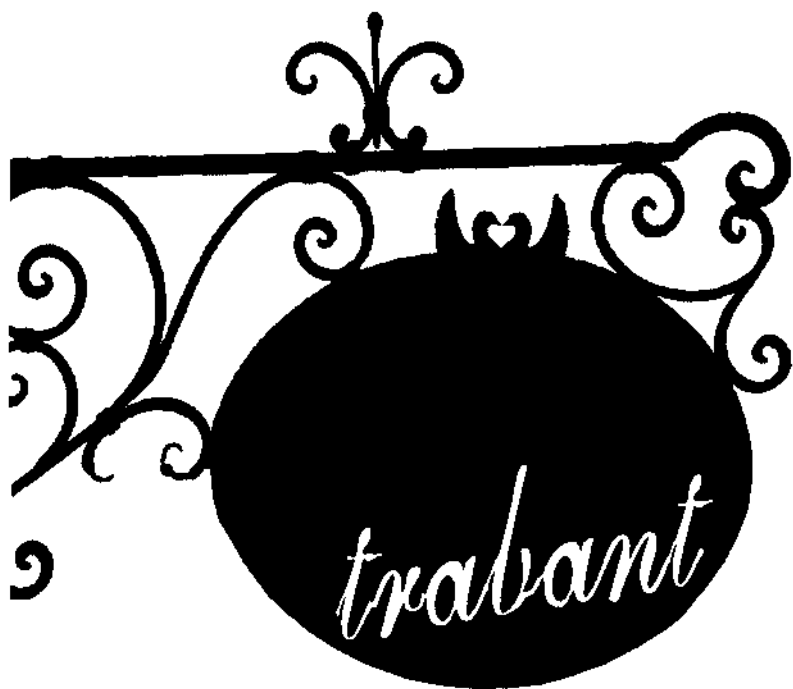


cena det. 27,90 zł

NOWY ŚWIAT
WYDAWNICTWO NOWY ŚWIAT
www.nowy-swiat.pl

www.gacek-szczepanska.pl

GACEK & SZCZEPAŃSKA



© Copyright by

Katarzyna Stachowicz-Gacek

& Agnieszka Szczepańska, 2008

© Copyright by Wydawnictwo Nowy Świat, 2008

Projekt okładki: Agnieszka Herman

Fotografie na okładce: Istockphoto

Redakcja: Katarzyna Kwiatkowska

Korekta: Ewa Natowska

ISBN 978-83-7386-312-5

Wydanie I Warszawa 2008

Wydawnictwo Nowy Świat

ul. Kopernika 30, 00-336 Warszawa

tel. (22) 826 25 43, faks (22) 826 25 47

internet: www.nowy-swiat.pl

blog: blog.nowy-swiat.pl

klub czytelników: klub.nowy-swiat.pl

e-mail: wydawnictwo@nowy-swiat.pl

PROLOG

Jak ja lubię to miejsce, pomyślała Lilka, siadając na ławce na samym brzegu skarpy w Parku Skaryszewskim.

Dotarła tu z trudem. Nowe, eleganckie buty na obcasie przez całą drogę od przystanku okropnie ją uwierały, ale mimo to było warto. Przestrzeń, która się przed nią rozpostarła, działała naprawdę kojąco, a w dodatku można było sobie pysznie pomachać nogami w powietrzu.

No więc pomachała i od razu zgubiła prawy pantofel. Leżał teraz w trawie i migotał modną tej wiosny czerwienią, a Lilce wcale się nie chciało po niego wstawać. Niech sobie leży, pewnie drugi też zaraz spadnie...

Majowe słońce, które powinno dopiero przymierzać się do grzania, paliło z całych sił, wyrabiając chyba ze dwieście procent normy. Jak miło... Lilka oparła się wygodniej i rozpięła białą, koszulową bluzkę, żeby choć trochę opalić błądy dekolt. Najchętniej wystawiłaby do słońca również nogi, ale wolała nie podwijać eleganckich spodni. Mogłyby się pognieść i potem głuپیo by wyglądała.

Powietrze wypełniał intensywny aromat świeżo skoszonej trawy i żywiczna woń rosnących wokoło świerków. Przymknęła na chwilę oczy. Gdzieś z oddali, wraz z lekkim podmuchem wiatru, doleciał oszałamiająco słodki zapach kwitnących bzów. Było tak przyjemnie, że Lilce nie przeszkadzał ani terkot dziecięcego rowerka na żwirze, ani poszczekiwanie bawiących się niedaleko psów, ani nawet głośny śmiech dziewczyny, która na pobliskiej ławce obejmowała się ze swoim chłopakiem.

Lilka też przychodziła tu kiedyś z Tomkiem. Dwa lata temu, w maju, spacerowali przytuleni parkowymi alejkami, planując wspólną, różową przyszłość.

Tylko potem ten kolor tak im jakoś... niezupełnie wyszedł.

Z zamyślenia wyrwało ją natrętne brzęczenie tuż koło ucha. Osa. Złośliwa i namolna, jak to mają w zwyczaju. Lilka machnęła kilka razy niecierpliwie ręką, co oczywiście nic nie dało. W poszukiwaniu skuteczniejszej broni sięgnęła więc po leżącą obok na ławce tekturową teczkę.

Teczka była biała, zwyczajna, zawiązywana na troczki. Ktoś na niej napisał czerwonym flamastrem „Felicja Rudnicka”, a pod spodem długi ciąg liter i cyfr, pewnie numer sprawy.

Osa musiała obiektywnie ocenić swoje szanse i wreszcie odleciała. Lilka westchnęła, chwilę pukała bezmyślnie paznokciem w sztywną okładkę teczeki, a w końcu rozsypała tasiemki i zajrzała do środka. W przezroczystej, plastikowej koszulce leżał najeżony urzędowymi pieczęciami odpis testamentu ciotecznej babki Felicji.

Dostała go do ręki zaledwie godzinę wcześniej, po oficjalnym odczytaniu w sądzie. Na sali, oprócz sędziego i Eweliny, młodszej siostry Lilki, siedziała jeszcze mocno wymalowana sześćdziesięciolatka o bujnych kształtach i tlenionych na jasny blond, kunsztownie wytapirowanych włosach.

Lilka pamiętała ją dobrze z pogrzebu babki. Wtedy, trzy miesiące temu, blondyna, składając im kondolencje, dość nachalnie dopytywała, kiedy zamierzają wszcząć postępowanie spadkowe. Najwyraźniej nie miała pojęcia, że nikt z ich rodziny nie spodziewa się schedy po ciotecznej babce.

Matka Lilki wzruszyła na to niechętnie ramionami i rozdrażniona burknęła coś niezrozumiałego pod nosem.

Delikatnie rzecz ujmując, matka i ciotka Felicja nie przepadały za sobą.

A potem, któregoś dnia, Lilka znalazła w skrzynce wezwanie do sądu. Od razu złapała za telefon i wykręciła numer siostry.

- Cześć, to ja. Słuchaj, dostałam wezwanie do sądu na odczytanie testamentu ciotki Felicji. To chyba jakaś pomyłka?

- Raczej nie, bo ja też dostałam. Ale to dziwne, ciotka nie kontaktowała się z nami od lat. I co ona nam niby mogła zostawić? Dzieła zebrane Lenina w twardej oprawie?

- Nie wygłupiaj się! Może raczej jakąś piękną starą biżuterię? Albo trochę gotówki?

Ewelina zaśmiała się ironicznie.

- Akurat! Przecież ona nie śmierdziała groszem. A co do biżuterii, to matka zawsze mówiła, że ciotka nosi tylko Jablonex. Nie, ja myślę, że dostaniemy jakiś stary, popsuty telewizor. Na spółkę.

W tym momencie Lilka odchrząknęła.

- A dlaczego tak uważasz? - spytała ostrożnie.

- Dlaczego uważam co?

- Dlaczego uważasz, że ciotka nie miała pieniędzy?

Do Lilki dotarło ciężkie westchnienie siostry.

- No, przecież matka tak zawsze mówiła. Że ciotka się zaszła na wsi, prowadzi jakiś marny hotelik...

- A mnie się wydaje, że ona nie była kierowniczką, tylko właścicielką. Pamiętasz, byliśmy tam kiedyś na wakacjach, wieki temu, jeszcze zanim matka tak się z nią dramatycznie pożarła. I coś mi się kołaczy...

- Daj spokój, Liluś, jak ciotka komunistka mogłaby mieć hotel? Puknij się w czoło!

- Może masz rację.

- Pewnie, że mam. Rób miejsce na półkach na dzieła Lenina!

A potem spotkały się na sali sądowej i w oszołomieniu wysłuchały sentencji, odczytanej monotonnym głosem przez znużonego sędziego. Kiedy skończył, tlenioną blondynę, której przypadły w spadku jakieś drobiazgi, wymiotło z sali. Wybiegła, z hukiem zatrzaskując za sobą ciężkie drzwi.

To było zaledwie dwie godziny temu.

Lilka, mrużąc oczy od słońca, odgoniła leniwie następną osę, która pojawiła się od strony stojącego parę metrów dalej i pełnego puszek po piwie kosza na śmieci.

No cóż, westchnęła. Czas najwyższy zatelefonować do matki.

Po trzech sygnałach usłyszała przeciągłe: „Słucham.”

- Cześć, mam, to ja.

- Lileczka! Nareszcie! Już się zaczęłam niepokoić! Od tygodnia nie dajecie znaku życia, ani ty, ani twoja siostra! Gdyby nie to, że byłam taka zajęta, no wiesz, przygotowujemy nową premierę, sama bym zadzwoniła. Ale pojęcia nie masz, ile mnie ten spektakl nerwów kosztuje! Ta młodzież wychodzi dziś ze szkoły aktorskiej niedouczona po prostu...

- Mamo...

-... żadnego warsztatu, żadnej techniki. Nawet roli się nie potrafią porządnie nauczyć! Czy to takie straszne wymaganie? Choćby z szacunku dla reżysera.

- Mamo...

-... i dla starszych kolegów. Ja jakoś mogłam się przygotować do roli już na pierwszą próbę! Więc sama rozumiesz, całe dni spędzam teraz w teatrze.

- Mamo!

-... bo za tydzień premiera. Cała Jelenia Góra nie może się doczekać. Plakaty co prawda zrobili fatalne, takie ostre kolory, za to nazwiska petitem, prawie nic nie widać, ale to jakiś awangardowy twórca, czego się po takim spodziewać.

- Mamo! Czy możesz mnie przez chwilę posłuchać?!

Po drugiej stronie słuchawki zapadła urażona cisza. Lilka wzięła głęboki oddech i wypaliła:

- Ciotka Felicja zostawiła nam w spadku swój hotel! Mnie i Ewelinie!

ROZDZIAŁ 1

Za długa... za ciemna... za kwiecista... za krótka...

Lilka nerwowo przesuwiała wieszaki, szukając odpowiedniej sukienki, w której mogłaby się bez większego stresu pokazać matce, choć i tak wiedziała doskonale, że jej nie zadowolili. Co innego Ewelina. Mama zawsze cmokała nad nią z zachwytu. No cóż, obiektywnie rzecz biorąc, miała nad czym. Młodsza z panien Ostaszewskich miała świetny gust, idealne wyczucie smaku oraz figurę, na której nawet najzwyczajsze ciuchy wyglądały elegancko.

A poza tym Ewelinka nigdy nie nosiła zwykłych ciuchów...

Lilka rzuciła okiem na zegarek, jęknęła i zrezygnowana oparła się o otwarte szeroko drzwi szafy. Był to piękny, stary, brzuchaty mebel - zaskakująco praktyczny prezent od matki z okazji ślubu. Właściwie po rozwodzie powinna ją była jak najszybciej sprzedać, bo ilekroć sięgała do środka, czuła ulotny zapach męskiej wody kolońskiej i opadały ją niepotrzebne wspomnienia. Wyrastała jej przed oczami wysoka postać Tomka, słyszała jego śmiech, czuła szorstkość jego zarostu.

Ale jakoś nie mogła pozbyć się tej szafy, za bardzo ją lubiła - te ciemne, intarsjowane w jaśniejsze kwiaty drzwi, pociemniałe ze starości lustro, osadzone w środkowej części... Urzekowało ją tajemnicze skrzywienie zawiasów i ten magiczny moment, kiedy otwierało się przed nią mroczne, obiecujące wnętrze. A jej własne odbicie w tafli pokrytej siecią cieniutkich pęknięć, mniej ostre i bardziej subtelne

niż we współczesnych lustrach, sprawiało wrażenie, jakby przeniosła się do innej, bajkowej rzeczywistości.

Ach, gdyby rzeczywiście mogła się gdzieś przenieść!

Nagle na parapecie zabrzączał telefon. Lilka drgnęła, wyrwana z zamyślenia, i podeszła szybko do okna. Podniosła dużą, plastikową szarą słuchawkę. Ten aparat był prawie jej rówieśnikiem. Pamiętała go z dzieciństwa jako jedną z niewielu stałych rzeczy w swoim rozchwianym życiu. Zmieniały się miasta, mieszkania, matka przechodziła wraz z rolami kolejne metamorfozy, a stary telefon, pożyczony z teatralnej garderoby, trwał.

- Znowu masz wyłączoną komórkę! Czekam na dole. Gotowa jesteś?

To była Ewelina, drugi i ostatni stały element.

- Jeszcze nie. Nie mogę znaleźć nic odpowiedniego. Po co się tak nagle ciepło zrobiło?

- Zartujesz? Wiesz, która jest?! Za pół godziny musimy być na Centralnym! Wrzucaj na siebie cokolwiek i jedziemy.

- Ale... - zaczęła niepewnie Lilka.

- Cholera, z tobą jak z dzieckiem! Idę na górę.

Lilka rzuciła się z powrotem w stronę szafy i wyciągnęła z niej na chybił trafił białe, płócienne spodnie i bluzkę w kolorowe groszki z krótkimi, bufiastymi rękawami. Ciekawe, dlaczego nie pomyślała o tym wcześniej.

Co prawda matka na pewno jej wytknie, że nie powinna nosić jasnych spodni, bo jest za gruba, ale co tam... właściwie wszystko jedno, co na siebie włoży, matka i tak będzie dogadywać.

Spojrzała w lustro - nawet nieźle.

Wysoka szatynka o dużych, piwnych oczach, nieco może zbyt postawna, ale właściwie zgrabna. Tylko ten tyłek, no faktycznie, mógłby być trochę mniejszy...

Zdecydowanym ruchem ściągnęła z włosów gumkę, którą były zebrane w kucyk. Rozsypały się puszyste, półdługie, otaczając ciemną, błyszczącą ramą jej bladą twarz. Lilka uśmiechnęła się do siebie z zadowoleniem.

W tym momencie trzasnęły drzwi wejściowe i zbliżający się odgłos energicznych kroków oznajmił nadejście siostry.

- Gdzie jesteś, niedołęgo? - krzyknęła Ewelina, choć na czterdziestu sześciu metrach kwadratowych trudno było się schować.

Po chwili stanęła w drzwiach sypialni i mrużąc wielkie, zielone oczy obrzuciła kreację siostry krytycznym spojrzeniem. Sama oczywiście była wystylizowana perfekcyjnie. Oliwkowe najmodniejsze spodnie rurki, zielona lniana tunika z dużym pęknięciem na dekolcie ozdobionym delikatną wstęgą paciorków, do tego złote balerinki. Miedzianorude loki miała związane w koński ogon wzorzystą apaszką. Szczupła i długonoga, prezentowała się oszałamiająco.

Lilka poczuła leciutkie ukłucie zazdrości.

- Ślicznie wyglądasz - westchnęła, całując siostrę w piegowaty policzek.

Ewelina odsunęła się dwa kroki w tył. Nie przepadała za takimi czułościami.

- No dobra, ty właściwie też. Niezłe portki. Nowe?

- Coś ty, z zeszłego roku, kupiłam w H&M.

- Czekaj, czekaj... - Ewelina podeszła do komody i zaczęła grzebać w niewielkiej, drewnianej szkatułce na biżuterię.

- Musimy dołożyć jeszcze coś na szyję. Gdzie masz ten turkus na obróżce? Aha, i żadnych rozdeptanych tenisówek! Najlepiej weź te klapki na obcasie, wiesz, jak matka lubi takie babskie szczegóły.

Kiedy wreszcie zatrzasnęły za sobą drzwi, do przyjazdu pociągu zostało im zaledwie piętnaście minut.

Nowe auto siostry, małe czarne suzuki coś tam, stało zaparkowane w pełnym słońcu po przeciwnej stronie ulicy. Po otwarciu drzwiczek ze środka buchnęło gorąco. Ewcia niecierpliwie zapuściła silnik, pstryknęła klimatyzację i wystartowała jak do pożaru.

- Zdamy? - Lilka, którą przyspieszenie wcisnęło w fotel, nerwowo usiłowała zapiąć pas.

- Może... Jak w Śródmieściu nie będzie korków.

Wydostały się na Aleję Waszyngtona i Ewelina docisnęła pedał gazu jeszcze mocniej.

- Musisz tak pędzić?! Ile ty masz koni w tym samochodziku? - Lilka panicznie bała się szybkiej jazdy.

- Sto dwadzieścia pięć - odparła zapytana z wyraźną satysfakcją - to sportowa wersja. A w przyszłym miesiącu mają mi go jeszcze podrasować. Czekaam tylko na forszę za jedną fuchę. Będzie jak rakietka.

- Już jest... - jęknęła słabym głosem Lilka i zamknęła oczy. Ruda wariatka za kierownicą roześmiała się radośnie i nagle gwałtownie nacisnęła hamulec.

- Cholera... korek!

Samochód zwolnił gwałtownie. Lilka odetchnęła z ulgą i zdecydowała się otworzyć oczy. Dojeżdżały właśnie do Ronda de Gaulle'a. Pierwsze, co zobaczyła, to że ktoś obskubał z liści sztuczną palmę tkwiącą pośrodku.

- Patrz, Ewcia, palma łysa.

- Dobra, dobra, nie zwracaj mi teraz głowy, widzisz ten korek? Wyobrażasz sobie, co będzie, jeśli się spóźnimy? - Ruszyła gwałtownie do przodu i, o włos mijając zderzak żółtej renówki, przeskoczyła na pas dla autobusów, przyprawiając tym Lilkę prawie o zawał serca. Tylko dzięki takiemu sposobowi jazdy udało im się dotrzeć na peron równo z pociągiem.

- Który wagon, który? - Lilka z trudem łapała powietrze po szaleńczym biegu z parkingu.

- Czwarty! - No proszę, w głosie siostry nie było ani śladu zadyszki. Przystanęła sobie spokojnie obok stoiska z prasą, poprawiając wzburzone od biegu włosy.

- Jezu, co tu tak śmierdzi? — skrzywiła mały piegowaty nosek i rozejrzała się z obrzydzeniem wokół.

Pociąg, skrzypiąc niemilosiernie hamulcami, stanął na peronie.

- Gdzie ta czwórka? - Lilka, jak zwykle przed spotkaniem z matką, była zdenerwowana i rozkojarzona.

Ewelina pociągnęła siostrę za rękę.

- Chodź.

Właśnie znalazły się przy właściwym wagonie, kiedy w jego drzwiach ukazała się matka. Prawie jej nie poznały. Zrobiona tym razem na jasny rudy, miała dużo krótsze niż ostatnio, modnie ostrzyżone włosy. Idealnie umalowana, ubrana w mocno wydekoltowaną, zielonkawą kreację, wyglądała wyjątkowo atrakcyjnie i elegancko.

Jak zwykle, najpierw przystanęła i rozejrzała się teatralnie wkoło, nie bacząc na napierających z tyłu podróżnych, a dopiero potem podała konduktorowi niewielką skórzaną walizeczkę. Kiedy po odstawieniu bagażu na peron podał matce rękę, zdecydowała się wreszcie wysiąść.

- Spóźniłyście się - stwierdziła zamiast powitania.

- Ależ skąd, mamoo... - zaprotestowała Lilka, cmokając napudrowany policzek. W odpowiedzi usłyszała wypowiedzianą wściekłym szeptem uwagę:

- Prosiłam cię już, żebyś publicznie tak się do mnie nie zwracała. Jeszcze ktoś pomyśli, że jestem twoją matką.

- Przecież jesteś - bezlitośnie przypomniała Ewcia, ścisnąc mocno rodzicielkę.

- Ale osoby postronne nie muszą o tym wiedzieć. Ślicznie, Ewusiu kochana, wyglądasz w tej zieleni.

- Dziękuję. To co, idziemy?

- Tak, tak, oczywiście. Lila, weź moją walizkę, proszę. Przynajmniej będzie wiadomo, po co nałożyłaś te okropne drelichowe portki. A tyle razy ci mówiłam, że nie masz figury do spodni!

Kiedy wsiadły do auta, niewielką przestrzeń wypełnił od razu intensywny zapach Chanel numer 5, któremu matka była wierna od lat, oraz jej równie intensywny monolog. W ciągu piętnastu minut podróży zdążyła opowiedzieć córkom ze szczegółami o przygotowaniach do najnowszej premiery, konfliktach z młodszą częścią zespołu, nieporozumieniach z mężem - reżyserem oraz o absolutnej niemożności dogadania się z teatralnym kostiumologiem. Świat się najwyraźniej na nią uwziął, czego potwierdzeniem miał być fakt, że fryzjerka, z której usług od lat była zadowolona, tym razem przy farbowaniu się nie popisała.

- Ależ mammo - zaprotestowała Lilka. - Przecież wyglądasz rewelacyjnie! W tym kolorze jest ci po prostu świetnie.

Matka próbowała się do niej odwrócić, ale pasy ją zatrzymały.

- Ile razy cię już prosiłam, żebyś się nie wypowiadała na temat rzeczy, na których się nie znasz? To miał być burgund. Burgund! A wyszedł jej zwykły, ordynarny rudy! Tak to jest, jak komuś woda sodowa uderzy do głowy. Najlepszy salon w mieście, myślałby kto! W sumie dobrze się złożyło, dziewczynki, że mnie wezwałyście. Wskoczę sobie w wolnej chwili do tej Hupało. Tylko niestety dwie próby mi przepadną...

- Przecież myśmy cię, mammo, nie wzywały - odezwała się zza kierownicy Ewelina. - Sama wymyśliłaś ten przyjazd. O cholera, jest miejsce! - ucieszyła się i zaparkowała idealnie

naprzeciwko swojej kamienicy. - *Voila!*

W mieszkaniu Eweliny, jak zawsze, uderzył Lilkę graficzny minimalizm. Było to właściwie jedno duże pomieszczenie o białych ścianach, białej podłodze i lakierowanych na biało meblach. Sterylność wnętrza została złamana krwistą czerwienią dywanu i ciemną plamą sprzętu audio, ustawionego na stalowym regale. Porozwieszane wszędzie monochromatyczne grafiki o futurystycznej tematyce nadawały mieszkaniu dziwny i niepokojący, lekko fabryczny charakter. Lilka wzdrygnęła się mimo woli. Różne rzeczy można było powiedzieć o tym miejscu, ale na pewno nie to, że jest przytulne.

- Czego się napijecie? - Ewcia wyjęła z lodówki butelkę niegazowanej wody i karton soku jabłkowo-miętowego. - Mamo?

- Ja poproszę herbatkę - westchnęła matka. - Najlepiej zieloną. Wiecie, jaka jest zdrowa? Dosłownie na wszystko. - Emilia Ostaszewska, dla podkreślenia tych słów, dramatycznie zatoczyła ręką szerokie koło, po czym spokojnie sięgnęła do walizki i wyciągnęła z niej elegancką kosmetyczkę gabarytów sporej poduszki. - Wybaczcie, dziewczynki, muszę się odświeżyć. Gdzie tu jest łazienka, bo zawsze zapominam?

Lilka opadła na miękkie skórzany fotel. Zdziwiałe, pomyślała, obserwując siostrę krzątającą się w kuchni, jak ona może żyć w takiej... kostnicy! Ani jednego drobiazgu, ani jednego okruszka, ani jednego śladu życia. No, ale jak się ma taką pracę...

Bo Ewcia, mimo że skończyła ASP, postanowiła zostać, ni mniej, ni więcej, tylko technikiem policyjnym. Adrenalina, tłumaczyła wszystkim zainteresowanym swoją zaskakującą decyzję. Sto razy lepsze niż skoki ze spadochronem. Ta śliczna, wiotka i delikatna na pierwszy rzut oka dziewczyna potrzebowała silnych wrażeń jak inni powietrza. Obciążenie

genetyczne, twierdziła, wzruszając ramionami. Jak się miało ojca - kaskadera...

Lilka uśmiechnęła się leciutko jak zawsze, gdy o nim myślała. Pozostał w jej wspomnieniach wysoki, barczysty, roześmiany, pachnący wodą kolońską Yardleya i z nieodłącznym psem przy nodze. Uwielbiał szybkie samochody, narowiste konie i kobiety z charakterem. Zostawił ich matkę dla jakiejś ambitnej, długonogiej aktoreczki, którą poznał na planie, potem miał jeszcze kilka podobnych, choć coraz młodszych przygód, aż wreszcie, ku zdumieniu przyjaciół i zapewne również własnemu, ustatkował się u boku cichej i niepozornej nauczycielki polskiego, Basi, do której dziewczynki bardzo szybko zaczęły mówić „ciociu”. Była miłą, trochę nijaką osobą, która uciekała na krzesło na widok myszy, mdlała na widok krwi, a na wakacje do Włoch kazała się wozić samochodem, bo bała się latać. Ale za to urodziła ojcu syna, dzięki czemu przestał wychowywać Ewelinę na chłopaka.

- Lili, pomóż mi! - okrzyk siostry dobiegający z kuchni wrywał Lilkę z zamyślenia.

Okazało się, że Ewcia zrobiła gazpacho. W sam raz na lekki lunch w ten okropny upał. Wzięły talerze, sztucce, wazę z zupą i przeszły do części mieszkania, która służyła za jadalnię.

- Mamo! - gospodyni, przechodząc obok drzwi łazienki, zapukała w nie łyżką wazową. - Wychodź wreszcie!

- Już, już - usłyszały w odpowiedzi i po chwili matka nadeszła tanecznym krokiem, jeszcze bardziej pachnąca i jeszcze staranniejsz umalowana.

Na chwilę przystanęła dla podkreślenia efektu, po czym ruszyła w stronę stołu, na którym pośrodku przyciągała wzrok czerwonią wielką wazą hiszpańskiego chłodnika.

- Ewusiu, jak to apetycznie wygląda – pochwaliła matka, odsuwając sobie krzesło. - I na pewno jest prze pyszne. Ale nie nalewaj mi za dużo, rozumiesz, jestem na diecie.

Lilka westchnęła. Do ciągłego faworyzowania siostry już się zdążyła przyzwyczać, ale kolejna dieta przy nieustannych kłopotach z wątrobą...

- Kochane! - Matka skończyła swoją porcję i zastukała tipsami w kolorze burgunda o blat stołu. - A teraz proszę mi opowiedzieć, o co chodzi z tym spadkiem!

- O nic nie chodzi - wzruszyła ramionami Ewelina. Bardzo lubiła gazpacho, teraz jednak miała dziwne trudności z rozkoszowaniem się jego smakiem. - Po prostu ciotka zostawiła nam swój pensjonat, to wszystko.

- Zdecydowałyście już, co z nim zrobicie?

Siostry jak na komendę spuściły głowy. Zapadła cisza. Matka obrzuciła córki uważnym spojrzeniem i skrzywiła wydatne usta.

- Trzeba tam pojechać.

Dziewczyny wymieniły szybkie spojrzenia.

- Jak to? - spytała Lilka, udając zdziwienie. To, że matka wymyśli ten wyjazd, było równie pewne jak to, że będzie się tam chciała wybrać razem z nimi.

- Lilusiu, przecież to oczywiste. Trzeba obejrzeć ten pensjonat. Jak on się nazywał, nie pamiętam... ale w każdym razie to gdzieś niedaleko Radziejowic.

- Masz zamiar jechać z nami?

- Przecież nie mogę was puścić samych. Jeszcze jakieś głupstwo zrobicie.

- Gdybyś nie zauważyła, mamo, to jesteśmy już dorosłe - odpowiedziała sucho Ewelina. - A poza tym wypada się chyba zapowiedzieć przed przyjazdem?

- Po co? Przecież to teraz jest wasze. Kończcie zupę. Jedziemy.

ROZDZIAŁ 2

Zanim przedostały się przez korek w Alei Krakowskiej, matka zdążyła nakreślić plan na resztę dnia. Najpierw wizyta w pensjonacie ciotki, a potem obiad w pałacu w Radziejowicach.

- To Dom Pracy Twórczej, wiecie? Znam dyrektora, przemily pan - rzuciła. - No i mają tam świetną kuchnię. Na pewno lepszą niż w tym, pozał się Boże, hoteliku Felicji - niby całkiem spory, ale bez klasy, zupełnie bez klasy. Ciekawe, jak teraz wygląda... Pewnie trzeba go będzie trochę odnowić, choćby z wierzchu, wtedy drożej sprzedacie.

- Sprzedamy? - zdziwiła się Lilka z tylnego siedzenia.

Matka przytrzymała się jedną ręką deski rozdzielczej - Ewelina gwałtownie skręciła na lewy pas, wykorzystując lukę między autami.

- Oczywiście, że sprzedacie - stwierdziła tonem nieznośnym sprzeciwu - Przecież chyba nie zamierzacie go prowadzić? Przede wszystkim żadna z was się na tym nie zna, a zresztą obie jesteście świetnie ustawione w Warszawie. Ty, Lilusiu, masz swoje wydawnictwo...

- Mamo... - jęknęła Lilka. - Przecież wiesz, że nienawidzę tej pracy!

- Oj, zaraz nienawidzę! Mili koledzy, ciekawe tematy, prestiżowe nagrody...

- Mamo! To jest miesięcznik „Medycyna na codzień”, nie „Twój styl”!!! A ostatnią nagrodę dostaliśmy w kategorii „Zasłużony dla higieny pracy”! - Najbardziej irytującą cechą matki było to, że rzeczywistość wykreowaną na swoje potrzeby uważała za ogólnie obowiązującą. - Gdybym miała dokąd, już dawno bym stamtąd uciekła!

Matka wzruszyła tylko ramionami.

- Bzdura! Między przejściem do innego tytułu a wyniesieniem się na wieś jest jednak pewna różnica, nie sądzisz? Trochę wyobraźni, moja droga. Zresztą ty nawet nie wiesz, ile wydajesz miesięcznie, więc jak sobie niby wyobrażasz zarządzanie hotelem? A zastrzyk gotówki bardzo by się wam przydał. Kupiłabyś wreszcie mieszkanie, Lilka. Może też samochód... A ty, Ewusiu, mogłabyś jechać w tę swoją podróż do Afryki, o której tak ciągle opowiadasz.

- Do Ameryki Południowej, mamó - wtrąciła Ewelina.

- Wszystko jedno, i tak by starczyło. Nie uważacie, dziewczynki, że to kusząca perspektywa?

- Jakoś nie - bąknęła Lilka. - Po co mi auto, jak nie mam prawa jazdy?

Wydostały się wreszcie na szosę katowicką i Ewelina przycisnęła gaz do dechy. Lilka kurczowo trzymała się rączki nad drzwiami. Całe szczęście, że siedziała z tyłu, czuła się wtedy odrobinę bezpieczniej. Czy ta Ewcia zawsze musi tak gnać?

Dwadzieścia minut później skręciły z szosy w stronę pałacu w Radziejowicach i zatrzymały się obok przystanku Pekaesu.

- Po co stajemy? - zainteresowała się matka.

- A czy któraś z was wie, jak tam dojechać? - spytała z przekąsem Ewelina.

Odpowiedziało jej milczenie. Wysiadła więc z samochodu i oparła się łokciem o dach.

- Dzień dobry! - zwróciła się uprzejmie do czekającej pod wiatą starszej, korpulentnej kobiety. - Nie wie pani przypadkiem, jak dojechać do pensjonatu pani Rudnickiej?

Kobiecina zaskakująco rażno poderwała się z ławki i podeszła w ich stronę.

- A jakże, wiem. Ja tam nawet pracuję, przy sprzątaniu pomagam. Mazurowa jestem. Eulalia.

- Aha, to którędy? - Ewelina uniosła do góry okulary przeciwsłoneczne, przytrzymując nimi rude loki.

- Jak raz tam właśnie jadę, to może bym pokazała? - zadeklarowała kobiecina, rzucając wymowne spojrzenie na stojące przed nią auto. Widocznie do przyjazdu autobusu zostało jeszcze trochę czasu, a jej się w tym upale nie chciało czekać.

- Oczywiście, proszę, niech pani wsiada - Ewelina otworzyła zachęcająco tylne drzwiczki po swojej stronie.

- Panie na wczasy? - zapytała kobieta ciekawie, kiedy już ruszyły.

- Nie, nie na wczasy - zaprzeczyła matka.

- To pewnie kogoś odwiedzić? Chociaż nie za dużo tam teraz gości. Kiedyś to co innego, całe lato komplet był, a i poza sezonem ciągle ktoś przyjeżdżał. Ale od kilku lat coraz ich mniej, a odkąd stara pani Rudnicka umarła i ta kierowniczka sama wszystkim dyryguje, to już prawie nikogo. Dla mnie też źle, bo roboty mało. O, teraz w prawo będzie.

Ewelina przyhamowała gwałtownie i skręciła w wąską, pełną dziur asfaltową drogę.

- Widziałyście tam jakąś reklamę, strzałkę, cokolwiek? - zdziwiła się. - Jak tu niby mają trafić nowi goście?

Faktycznie, pomyślała Lilka. Reklama przy drodze, podstawowa sprawa. Trzeba będzie zapamiętać.

W tym momencie przed maską wyrosła im wysoka, pomalowana na brązowo brama.

- To tutaj - oznajmiła dumnie kobiecina. Wjechały do środka. Duża posesja, otoczona lasem, utrzymana była we wdzięcznym stylu lat siedemdziesiątych. Ogrodzenie z siatki na wysokiej podmurówce,

wzdłuż asfaltowych alejek kwietne rabatki obłożone kamykami, do tego stare, drewniane ławki w intensywnie seledynowym kolorze. Na trawnikach pyszniły się kolorowe klomby bratków, obramowane pomalowanymi na biało oponami. Nagle Ewelina aż przyhamowała z wrażenia - ich oczom ukazał się hotel.

Prostokątne pudło budynku przypominało raczej zabudowania pegeeru albo wiejską szkołę niż elegancki hotel - płaski dach, dwa rzędy małych okien i tynk w kolorze brudnej ścierki. Wysoka podmurówka wyłożona była kawałkami lusterek i potłuczonych, kolorowych talerzy, a nad wejściem umieszczono zagmatwaną płataninę neonowych rurek, w której z pewnym trudem udawało się rozpoznać pełen ozdobnych zawijasów napis: „U Felicji”.

- O Jezu! - wyrwało się Lilce. - Co za szkaradztwo!

Ewelina zaparkowała obok starej, czerwonej hondy civic. Wsiadły. Kobieta, którą przywiozły, podziękowała i pobiegła do pracy, obiecując powiadomić kierowniczkę o ich przyjeździe. Matka i córki rozglądały się ciekawie dookoła.

- Zawsze tu było tak... brzydko? - zapytała wreszcie Ewelina. Zapomniała wziąć z domu aparat fotograficzny, ale jakoś nie żałowała.

- Jak byliśmy tu ostatni raz, to wydawało mi się, że to prawie pałac - westchnęła Lilka, wyraźnie rozczarowana.

- We wspomnieniach z dzieciństwa wszystko wydaje się większe i ładniejsze niż w rzeczywistości - oświadczyła matka. - Z tego, co ja pamiętam, to niewiele się tu zmieniło. Jedno im muszę przyznać, porządek mają wzorowy.

Rzeczywiście, alejki były starannie wymiecione, trawniki przystrzyżone, a kwiatowe rabaty wypielone.

- O rany, widziałyście to? - Zdumiona Ewcia pokazała im wbity w ziemię drewniany drogowskaz. Na kawałku deski ktoś wypalił napis: „Basen 50 m”.

- No proszę... - zaczęła zgryźliwie Emilia i w tym momencie usłyszały za sobą trzask drzwi wejściowych. Odwróciły się i zamarły. Na progu stała wysoka, postawna blondynka po sześćdziesiątce, z wielkim biustem, ubrana w czarną, obcisłą, mocno wydekoltowaną suknię i obwieszona złotą biżuterią, i mierzyła je uważnym wzrokiem. W sędzie wyglądała skromniej, przeleciało Lilce przez głowę.

- Panie życzą sobie pokój? - spytała kobieta z wyniosłą uprzejmością. - Chyba znajdzie się coś wolnego.

- W to nie wątpię - wyrwało się Ewelinie.

- Nie szukamy pokoju - stwierdziła w tym samym momencie matka, patrząc na kierowniczkę z wyraźną niechęcią.

- No to słucham, o co chodzi? - blondyna zmrużyła oczy, jakby próbując coś sobie przypomnieć. - Zaraz, zaraz...

Lilka odetchnęła głęboko i wystąpiła krok do przodu.

- Jesteśmy rodziną pani Rudnickiej.

Kobieta zacisnęła dłonie o krwistoczerwonych pazurekciach na poręczy schodów. Jej oczy zwięzły się jeszcze bardziej.

- Aaa, panie właścicielki! - syknęła. - Długo nie trzeba było czekać. Ja tu jestem kierowniczką. Stefania Pękala. No cóż, proszę dalej - obrzuciła je niechętnym spojrzeniem mocno umalowanych oczu, otworzyła szerzej drzwi i pierwsza weszła do środka.

Wnętrze hotelu, o ile to w ogóle możliwe, okazało się jeszcze brzydsze i bardziej odpychające niż jego zewnątrz. Ściany dużego kwadratowego holu do połowy po kryte były

pożółkłą boazerią, resztę pomalowano farbą olejną na intensywny, cynobrowy kolor. Na podłodze leżało wytarte linoleum, które miało kiedyś imitować dębową klepkę, ale sądząc po ocalałych wzdłuż ścian resztkach wzoru, nigdy nie spełniało dobrze swego zadania. W kącie pod oknem przysiadły dwa wypłowiałe, niegdyś miodowe, pluszowe fotele i niski stolik, zarzucony ulotkami i prasą. Spod jego kulawej nogi wystawał złożony kawałek papieru. Niestety, miejsce to nie przypominało w niczym eleganckiego holu w pięciogwiazdkowym hotelu ani, prawdę mówiąc, w dwugwiazdkowym raczej też nie...

Nagle zza blatu wysokiego, drewnianego kontuaru, ulokowanego obok schodów, wyjrzała jasna głowa młodej, najwyżej dwudziestoletniej dziewczyny.

- Asiu, powiedz Marii, że mam gości - rzuciła w jej kierunku blondyna. - Niech nam cztery kawy zrobi. Tylko szybko.

Po czym otworzyła dwuskrzydłowe drzwi prowadzące do jadalni.

- Panie tu poczekają - wskazała im najbliższy, przykryty wypłowiałą ceratą stolik i pozostawiła na chwilę same. Usiadły. Gdzieś zza znajdującego się na sąsiedniej ścianie okienka dolatywały odgłosy kuchennej krzątaniny oraz wyraźny zapach kotletów schabowych, smażonych na starym tłuszczu.

- Co wam to przypomina? - spytała scenicznym szeptem matka, nachylając się do dziewczyn. - Bo mnie bar mleczny.

Wyciągnęła z torebki szminkę w kolorze bordo i przeciągnęła nią energicznie po ustach.

- I co, Lilka, nadal chcesz to zatrzymać? - spytała drwiąco.

Kawę podano w szklankach. Kucharka, niska i okrągła, przyniosła je osobiście na plastikowej tacy. Najwyraźniej

nowina, że w hotelu pojawiły się nowe właścicielki, już do niej dotarła, przyglądała więc się im ukradkiem, w żółwym tempie rozkładając łyżeczki, spodki i tanie papierowe serwetki.

- Dziękujemy, pani Mario - kierowniczką wróciła na salę i spróbowała odesłać kucharkę do kuchni, ale ta najwyraźniej miała inne plany.

- Może coś jeszcze panie by sobie życzyły? - zapytała, stawiając powoli na stole cukiernicę.

- Nie, pani Mario! - w głosie kierowniczką pojawiła się irytacja. - Mamy kilka spraw do omówienia. Gdyby mogła nas pani zostawić...

- A może ciasta by panie zjadły? Jeszcze ciepłe mam, w południe piekłam.

Wszystkie trzy Ostaszewskie pokręciły przecząco głowami, więc kucharka wzruszyła ramionami i wolnym, kołyszącym się krokiem wróciła do kuchni.

- Rozumiem, że przyjechały panie przejąć hotel? - zaczęła Stefania oficjalnym tonem.

- No, niezupełnie, niezupełnie - matka odsunęła się z krzesłem do tyłu i eleganckim gestem założyła nogę na nogę. - Na razie chcieliśmy się tylko, że tak powiem, rozejrzeć, nic formalnego. Zresztą córki w ogóle nie są jeszcze zdecydowane... - w tym momencie Lilka odważyła się odchrząknąć.

- Mamo... - przerwała.

- Dobrze, już dobrze. Pani prowadzi ten hotel od śmierci ciotki?

Kobieta wyprostowała się na krześle i odpowiedziała z dumą:

- Jestem tu kierowniczką od trzech lat. A kiedy pani Rudnicka pół roku temu zachorowała, zostawiła mi wszystkie pełnomocnictwa. Tylko dlatego ten hotel jeszcze funkcjonuje. Sprawa spadku...

Nie dokończyła, bo na salę zajrzała dziewczyna z recepcji.

- Ciociu, państwo Majewscy wyjeżdżają, proszą o rachunek.

- Powiedz im, że już idę - Stefania podniosła się od stołu.

- A panie może przez ten czas rozejrzą się po ogrodzie?

- Ogród już widziałyśmy - westchnęła matka znudzonym tonem - ale gdzie tu jest toaleta?

- W holu, drugie drzwi na prawo - burknęła Stefania i wyszła.

- Obrzydliwe babsko, co? - szepnęła Ewcia, nachylając się do siostry. - I nabzdyczona jaka!

- Co tam szepczecie, dziewczynki? - Emilia wstała i poprawiła spódnicę. - Poczekajcie na mnie przy recepcji.

Wyszły za nią posłusznie z jadalni i przysiadły na fotelach w holu. Stefania, pochylona nad ladą, wypisywała rachunek dla starszego małżeństwa i co chwila posyłała dziewczynom czujne spojrzenia.

- Ona też chyba za nami nie przepada - stwierdziła cichym głosem Lilka. - No i nie wie, co zamierzamy.

- To jedziemy na tym samym wózku, bo my też nie wiemy.

Drzwi damskiej toalety otworzyły się gwałtownie i energicznym krokiem wyszła z nich Emilia, kierując się w ich stronę.

- Dziewczynki, zabieramy się! - stwierdziła poirytowana.

- Ani chwili dłużej! Żebyście zobaczyły tę łazienkę!!! Lilka, musisz jak najszybciej znaleźć jakąś dobrą agencję nieruchomości! No, co tak patrzycie? Jedziemy. Jak się pospieszymy, to po obiedzie w Radziejowicach zdążę jeszcze do fryzjera.

ROZDZIAŁ 3

Kamil poprawił na ramieniu pasek torby, w której niósł swój sprzęt, i sięgnął do kieszeni po komórkę. Sprawdził godzinę na wyświetlaczu. Powinien zdążyć na autobus o dziewiętnastej. Nie chciał wracać do domu za późno, żeby nie denerwować matki.

Ruszył w kierunku wyjścia z hali. Szedł przy ścianie, samym brzegiem pokrytej zieloną wykładziną powierzchni. Inni jeszcze trenowali, różnokolorowe samochodziki, napędzane elektrycznymi silniczkami, cicho śmigwały po wyznaczonych torach. To ludzie bardziej hałasowali. Słychać było śmiechy, pokrzykiwania i przekleństwa, którymi znad nadajników komentowali wyczyny swoich modeli.

- Cześć, Kamil, sorki, nie widziałem cię wcześniej... - niski osiemnastolatek o sympatycznej rumianej twarzy uśmiechnął się do niego przepraszająco. Zaraz jednak skupił wzrok z powrotem na swojej mazdzie, wykręcającej w pobliżu ósemkę.

Kamil przystanął na chwilę obok.

- Z boku dziś jeździłem, w samym kącie...

- Nowy rygiel testujesz, co? - zaśmiał się chłopak, mając na myśli elektroniczny regulator obrotów. Kamil faktycznie miał z nim ostatnio kłopoty. - Który to już?

- Ósmy. Nie wiem, co się z nimi dzieje. Ciągłe się grzeją.

- Facet, szkoda kasy! Ja to bym się szarpnął na nówkę. Trzeba tylko w necie poszukać. Bo tym rękem to już się nie pościgasz...

- Wiem, wiem... Muszę lecieć - zreflektował się nagle Kamil.

- Siju. Jutro będziesz?

- Jasne. Mam pomysł z tym rygłem, podlubię dzisiaj i zobaczymy.

Uścisnęli sobie ręce i Kamil zrobił kilka kroków w stronę wyjścia. Nagle między nogami przemknęła mu żółta, sportowa mazda z białą jedyneką naklejoną na masce. O mało się o nią nie potknął.

- Uważaj, bo znowu go rozwalisz! - krzyknął pod adresem właściciela.

Samochodzik zakręcił gwałtownie, uderzył w rząd starych opon, służących do amortyzacji, i przewrócił się na dach. Wyglądał teraz jak leżący na grzbiecie, bezbronny żółt. Kamil nachylił się i ostrożnie go odwrócił. Gdy tylko koła znalazły oparcie, autko sprawnie pomknęło przed siebie, podskakując lekko na nierównościach. Wyglądało na to, że zarówno właściciel, jak i jego model są w rewelacyjnej formie. No proszę, westchnął Kamil. Nawet ten smarkacz jest lepszy ode mnie.

Kiedy wyszedł z hali, skręcił w prawo i znalazł się na wielkim, nieużywanym parkingu. W wieczornym powietrzu poczuł charakterystyczny zapach benzyny. I znowu tuż obok niego przemknął model. Ale już nie elektryczna zabawka, którymi jeździło się na hali. To była ósemka z silnikiem Mega. Spalinowiec. Dużo większy, dużo szybszy i dużo droższy, śmierdzący prawdziwą benzyną i obiecujący prawdziwe emocje.

Kamil przystanął na chwilę, nie mogąc oderwać zafascynowanego wzroku od czerwonej mazdy, która oddalała się z zawrotną szybkością. Gdyby miał takie cacko!

Już od dawna marzył o zmianie klasy, tylko że ciągle nie było go stać. Takie modele kosztowały majątek! Chociaż czasami zdarzały się okazje. A Kamil żył nadzieją, że jednak kiedyś uda mu się na taką trafić i przeskoczy w hierarchii modelarzy o klasę wyżej. W jego głowie pojawił się już nawet pewien plan, jak można by zorganizować odpowiednią ilość gotówki...

ROZDZIAŁ 4

Lilka siedziała w kuchni, opierając łokcie o gruby, solidny blat starego stołu. Tego samego, który dwa lata temu wyszperali z Tomkiem na Kole, a potem pomalowali na intensywny, szafirowy kolor.

Nagle powróciło wspomnienie. Zapach farby, śmiech Tomka, miękkie dotknięcie pędzla na policzku, potem na szyi, gorący strumień wody, kiedy zmywali z siebie błękitne plamy...

Lilka westchnęła i przeciągnęła palcem po blacie. Farba tu i ówdzie zaczęła już obłazić. Na tym świecie nic nie jest trwałe.

Godzinę wcześniej wsadziły matkę w pociąg pospieszny do Jeleniej Góry, pracowicie jej pomachały i rozeszły się, każda w swoją stronę. Ewelina, jak zwykle spóźniona, popędziła do Komendy Głównej, a Lilka wróciła do domu, do pustych czterech ścian. No tak, ona do niczego ani do nikogo nie musiała się spieszyć. Dobrze, że przynajmniej umówiły się z siostrą na wieczór, na pogadanie...

Za oknem powoli zapadał zmrok, zielona herbata w kubku dawno wystygła i Lilka poczuła wyraźnie, że wielkimi krokami zbliża się chandra.

Powinno się stąd wyprowadzić, pomyślała, nie mogę dalej tkwić w mieszkaniu, w którym każdy centymetr kwadratowy przypomina mi Tomka. To masochizm. Powinno zmienić wszystko, całe życie. Tak jak on. Ciekawe, jak mu tam jest, w tej Irlandii? Czy jest szczęśliwszy niż był tutaj, ze mną? - Czując napływające do oczu łzy, Lilka przygryzła wargi i żeby się nie rozkleić do końca, postanowiła pomyśleć o czymś innym.

Czymś miłym, obiecującym, podniecającym, zaskakującym. Czyli o spadku.

Hotel „U Felicji”... przedziwne miejsce.

Ogród, gdyby wyrzucić z niego opony, asfalt przed domem zastąpić żwirem i przemaalować ławki, byłyby naprawdę piękny. Budynek z zewnątrz owszem, szkaradny, ale w środku w całkiem niezłym stanie. Wystrój wnętrza... No cóż, przemilczmy. Za to pokoiaków aż nadto, można by je wyremontować i tak poprzesuwać ścianki, żeby przy każdym znalazło się miejsce na łazienkę. Elewację przemaalować. I wydhubać te potworne lusterka z podmurówki, koniecznie.

Tylko skąd wziąć na to wszystko pieniądze?

Gdyby ciotka umarła rok temu, Lilce w ogóle by do głowy nie przyszło, żeby przyjmować spadek. Miała ułożone i zorganizowane życie, w którym do miana ekstrawagancji urastało wyjście do kina bez uprzedniego zamówienia telefonicznie biletów. Co więcej: była głęboko przekonana, że tak już będzie zawsze. Tak samo, a nawet lepiej, bo przecież w którymś momencie zdecydują się z Tomkiem na dziecko.

Jakie to jednak szczęście, że w tej sprawie poprzestali na planach. Między innymi dzięki temu rozwód przebiegł szybko i sprawnie. Poza tym w zasadzie nie było co dzielić - mieszkanie wynajęte, a samochód, podniszczony ford focus, niewiele wart. Kilka interesujących, starych mebli, które swego czasu kupili na Kole, przypadło Lilce, natomiast Tomek zatrzymał auto. Bardzo mu się przydało do przewożenia rzeczy, które mu spakowała w kartony po chipsach, wyciągnięte ze śmietnika najbliższego spożywczego...

Na wspomnienie tamtych godzin, spędzonych na zdejmowaniu z wieszaków jego koszul i marynarek, wachaniu ich zapachu i zalewaniu się łzami oraz czerwona półsłodką Sofią, ciągle jeszcze robiło jej się niedobrze.

Ale jeszcze gorzej się czuła, kiedy przypominała sobie o czymś innym... Co ją wtedy podkusiło, żeby iść do niego do szpitala? To znaczy wiadomo, co. Chciała mu zrobić romantyczną niespodziankę i złożyć życzenia urodzinowe pięć minut po północy. Myślała, że będzie pierwsza, ale ta opalona małpa w białym fartuchu ją ubiegła...

- Ależ kochanie - próbował się bronić Tomek, zapinając w pośpiechu spodnie. - Koleżanka jest internistą. Mamy razem dyżur...

- Pewnie - warknęła Lilka. - W dodatku najwyraźniej, ostry.

Trzasnęła drzwiami tak, że o mało nie wyskoczyły z futryny, i dopiero na korytarzu ryknęła płaczem. A najgorsze było to, że Tomek wcale za nią nie wybiegł.

Czasami lepiej nie wychylać nosa z domu. Tylko, czy naprawdę o to w życiu chodzi?

Lilka westchnęła, sięgnęła po kubek i wypila kilka łyków wystygłej herbaty. Chandra była tuż, tuż.

Powinna coś zrobić, żeby ciągle o tym nie myśleć. W końcu jedna życiowa porażka to jeszcze nie koniec świata. Nie można ciągle rozdrapywać ran, przecież nie jest masochistką. Trzeba znowu zacząć żyć i tyle.

Trzeba się czymś zająć.

Po pierwsze - rzucić w cholerę to wydawnictwo, w którym dwa lata temu upchnął ją Tomek. Wszyscy go tam znają, wszyscy wiedzą, co się stało i patrzą na Lilkę z politowaniem. Ale nie dlatego, że ją mąż zdradzał, tylko że była na tyle głupia, żeby to odkryć. Po drugie...

Dźwięk dzwonka przerwał ciszę tak nagle, że aż podskoczyła. No nareszcie, pomyślała, wstając od stołu. Na smutki nie ma to jak Ewcia.

Rzeczywiście, na progu stała Ewelina. Musiała przyjechać prosto z pracy, bo cała była obwieszona aparatami.

- Trzymaj - wręczyła siostrze papierową torbę. - Musimy to oblać.

- Co? - zdziwiła się Lilka, zaglądając ciekawie do środka i znajdując tam dwie butelki chilijskiego czerwonego wina.

- A jak myślisz? Spadek, oczywiście. Masz jakieś sery?

- Sery? Nie wiem, zobacz. Może i mam... - westchnęła Lilka, na co siostra obrzuciła ją uważnym spojrzeniem i bezlitośnie stwierdziła:

- Znowu masz chandrę? Siedziałas jak to cielę i rozmyślałaś o Tomku, tak?

Lilka wzruszyła ramionami i powlokła się do lodówki. Nie było sensu zaprzeczać, Ewelina za dobrze ją знаła. Czasami Lilka odnosiła niepokojące wrażenie, że młodsza siostra ma w oczach rentgen.

Piętnaście minut później siedziały wygodnie na starej kanapie, sącząc wino i zagryzając camembertem, znalezionym w lodówce.

- Wiesz, myślałam trochę o hotelu ciotki Felicji. Jakoś mnie to miejsce kusi - zaczęła ostrożnie Lilka, skubiąc wyszywaną koralikami poduszkę.

- Nie rozumiem, co cię może kusić. Pięknie to tam nie jest.

- No, faktycznie. Ale jakby mieć trochę pieniędzy, to można by zrobić z niego prawdziwą perełkę...

- Nie osłabiaj mnie - wzruszyła ramionami Ewelina. - Chyba raczej drewniany koralik. Ale rozumiem, że masz dużą wolę walki.

- Żebyś wiedziała - zirytowała się nagle Lilka.

- Jak chcesz, to sobie walcz, tylko na mnie, kochana, nie licz. Udział w zyskach chętnie, ale ja naprawdę nie mam czasu, żeby się w to teraz bawić. Może jak będę na emeryturze? - Ewelina odstawiła kieliszek i przeciągnęła się jak kot.

- Taki miły wieczór, włącz jakąś muzyczkę, co?

Lilka podniosła się niechętnie i podeszła do komody, na której stała mini wieża. Nie miała zbyt dużo płyt, w dodatku część z nich, głównie jazz, oddała Tomkowi. Szybko przetrzuciła pudełka i w końcu włożyła do odtwarzacza składankę przebojów z lat dziewięćdziesiątych.

- Ewusiu, czyli co, nie będziesz naciskać na sprzedaż? - spytała, sadowiac się ponownie na kanapie.

- Nie, nie zależy mi aż tak na forsie. Jeżeli poważnie myślisz o tym, żeby się tam przenieść.

- Wiesz co, kochana jesteś - Lilka pogłaskała ją po policzku. - Poważnie myślę. Nic mnie tu nie trzyma, zresztą chciałabym jak najszybciej zapomnieć, a tu wszystko mi przypomina tego...

- Dupka - odpowiedziała usłużnie siostra.

- ...dupka. Wyprowadzę się z mieszkania, w wydawnictwie złożę wypowiedzenie. A gdyby się nie udało, przecież zawsze możemy sprzedać.

Dolała wina i podniosła kieliszek do toastu.

- To co? Za hotel „U Felicji”?

- Za hotel! Żeby nam z niego wyszedł Marriott albo inny Hilton. - Ewelina wychyliła resztę wina jednym łykiem. - Tylko matce na razie lepiej ani słowa. Bo znowu będzie głądzić. Świetne to wino... Gdzie masz drugą butelkę?

* * *

Następnego dnia Lilkę obudził jakiś przenikliwy i bolesny dźwięk. Budzik? - przeleciało jej przez obolałą głowę. Ale przecież dziś nie idzie do pracy, jest na urlopie. Komórka!

Uniosła się na łokciu i rozejrzała dookoła. Łupanie pod czaszką nasiliło się. Telefon dzwonił gdzieś poza zasięgiem jej wzroku, ale kiedy zebrała w końcu wszystkie siły i zwłokła się z łóżka, ucichł. Lilka oparła się o blat toaletki i spojrzała w lustro.

- O, nie! - wzdrygnęła się.

Miała rozczochrane włosy, cienie pod oczami i koszulę nocną włożoną tył naprzód.

Cholera, faktycznie, przecież wypily wczoraj z Ewelina dwie butelki wina, a potem coś je podkusilo, żeby otworzyć jeszcze znalezionej w kuchennej szafce butelkę Napoleona, fuj, zapewne prezent dla Tomka od jakiegoś wdzięcznego pacjenta. Nieczęsto nadużywała alkoholu, właściwie zdarzyło jej się to może trzeci raz w życiu, więc skutki były tym boleśniejsze, bo nieoczekiwane. Ciekawe, czy Ewcia jeszcze jest? Ona na pewno będzie wiedziała, co z tym fantem zrobić. Ale po siostrze, która nocowała na kanapie w dużym pokoju, pozostał tylko złożony starannie w kostkę czerwony koc. Widocznie z samego rana czmychnęła do pracy.

Lilka powlokła się więc do kuchni i otworzyła lodówkę. Rozejrzała się w jej zawartości i instynktownie sięgnęła po kefir. Wypiła duszkiem cały kubeczek i oblizując wargi pozostaowała, że nie ma więcej.

Komórka, przypomniała sobie, gdzie ona może być?

Znalazła ją po kilku minutach, wciśniętą między jabłka w dużej szklanej misie, ale nie miała siły się zastanawiać, skąd się tam wzięła. Sprawdziła listę połączeń. Okazało się, że dzwoniła Jagoda, jej najlepsza przyjaciółka. Lilka bez zastanowienia nacisnęła „połącz”.

- Hej, piękna, co tam u ciebie? - usłyszała po chwili ciepły i jak zwykle lekko zachrypnięty głos Jagi.

- Hej - odpowiedziała słabo. - Nic takiego. Dostałyśmy z Ewką w spadku hotel.

- Na biegunach czy klubowy?
- Hotel, nie fotel! To takie miejsce, gdzie się ludzie zatrzymują na noc.
- Czy ty jesteś pijana? - zainteresowała się Jagoda podejrzliwie.

Lilka westchnęła ciężko do słuchawki.

- Już nie. Ale za to skacowana... Wczoraj opijałyśmy z Ewelina ten spadek i wino bardzo dobre było, chilijskie...

- Lilka, ty nie żartujesz?! - podniecona Jagoda zaczęła krzyczeć do słuchawki. - Prawdziwy hotel?! Taki z recepcją, czerwonym dywanem i pokojówkami? Po kim?!

- Nie tak głośno, Jagódka, błagam... Po mojej ciotecznej babce, opowiadałam ci o niej, pamiętasz? Wojująca komunistka, nie znosiły się z moją matką. W marcu był pogrzeb. A co do tego czerwonego dywanu...

- Rewelacja! - przerwała jej przyjaciółka. - Chociaż nie rozumiem, jakim cudem wojująca komunistka mogła mieć hotel?

Lilka znowu westchnęła.

- To trochę skomplikowane... Może byś wpadła do mnie, co? Jestem dzisiaj w domu, pogadamy sobie.

- A, dobra. Co prawda mam jedno pilne tłumaczenie, ale najwyżej w nocy posiedzę. Będę za kwadrans. Coś ci kupić po drodze?

- Kefir - w głosie Lilki pojawiła się nadzieja. - DUŻY!!!

Piętnaście minut później do mieszkania rażno wkroczyła Jagoda w towarzystwie torby z delikatesów. Poszła prosto do kuchni, wystawiła na blat dwa litrowe kefiry Bakomy, alkaselzer i sok pomidorowy, po czym włączyła elektryczny czajnik i po chwili zalała w kubku jedną pastylkę wrzątkiem.

- Masz, pij - podetknęła umierającej na kanapie przyjaciółce. - Przepis mojego teścia. Zawsze działa. A teraz prysznic i zobaczysz, za chwilę będziesz jak nowo narodzona.

Po mniej więcej piętnastu minutach Lilka wyszła chwiejnym krokiem z łazienki i rzuciła kąśliwie w stronę przyjaciółki:

- Nowo narodzona! Najwyżej jeden punkt w skali Apgar. Gdzie mój kefir?

Jagoda, siedząca w głębokim, białym fotelu pod oknem, rozeźmiała się, podwinęła pod siebie nogi i pociągnęła spory łyk soku pomidorowego. Ciemnowłosa, malutka, o oliwkowej karnacji, wyglądała niezwykle egzotycznie. W dodatku natura obdarzyła ją wąską talią, wydatnym biustem i szerokimi biodrami, więc przyciągała męskie spojrzenia zawsze i wszędzie. Nic sobie zresztą z tego nie robiła, co czyniło ją jeszcze bardziej atrakcyjnym kąskiem.

Oblizwała teraz wydatne, ciemnoczerwone usta i pogoniła Lilkę.

- Przestań się snuć po chałupie jak jakieś zombi. Siadaj wreszcie i opowiedz, co i jak.

- Niesamowite - stwierdziła po paru minutach, wysłuchawszy całej, trochę zagmatwanej historii. - To znaczy, że już się zdecydowałaś? Naprawdę chcesz prowadzić ten hotel? A Ewelina co?

Lilka, która spoczywała ułożona wygodnie na kanapie, uniosła się na łokciu i sięgnęła po kubek.

- Zdecydowałam. Co prawda jest jeszcze niejaka Stefa, kierowniczka, ale przecież wiesz - pańskie oko konia tuczy. Zresztą, żeby ten hotel zaczął jakoś sensownie funkcjonować, trzeba tam jeszcze pozmieniać mnóstwo rzeczy. Oczywiście będzie z tym dużo pracy, ale ja się cieszę, przynajmniej nie będę miała czasu na wspomnienia. A Ewcia? No wiesz, nie chce jej się ruszać z miasta. Właściwie to ją

rozumiem i nie namawiam, chociaż szkoda, bo by mi się tam jakaś życzliwa i pomocna dusza przydała.

- Życzliwa i pomocna, powiadasz... - Jagoda wstała z fotela i zaczęła chodzić po pokoju. - Czyli że nie musi być z rodziny? - upewniła się.

- Oczywiście, że nie. Ale komu innemu chciałoby się pakować w taki interes? - westchnęła Lilka. - Ani to zarobek, ani prestiż. Mam prośbę, czy mogłabyś przestać tupać? Głowa mi pęka.

Jagoda zatrzymała się przed przyjaciółką i wzięła pod boki. - A ja?

- Co ty?

- Ja bym się nadawała?

Lilka dopiero po chwili zrozumiała, o co chodzi.

- Chcesz mi pomóc? - spytała z niedowierzaniem. - Naprawdę? Przeniosłabyś się tam ze mną?

- Choćby jutro! - wybuchła Jagoda. - Liluś, ja już dłużej z tymi Kisielewskimi nie wytrzymam!

Kisielewscy, czyli jej teściowie, kulturalni, eleganccy, bardzo zamożni, wtręcali się do wszystkiego, przy czym robili to w taki sposób, że Michał, mąż Jagody, niczego nie zauważał. Jego matka programowo miała inne zdanie niż synowa, ale wypowiadała je dopiero, kiedy znalazły się same w kuchni, w dodatku uprzejmie się przy tym uśmiechając. Jagoda mawiała o niej, że to taki typ, który dziurki nie robi, a krew wyssie. Kiedyś przyłapała teściową, jak ta, przewracając wyraziście oczami, ściszonego głosem referowała przez telefon kolejnej przyjaciółce, jak jej biedny syn fatalnie trafił. Prawdziwy mezalians. No właśnie...

Na szczęście nie widywali się z Kisielewskimi zbyt często. Aż do marca tego roku, kiedy mąż Jagody dostał nagle propozycję rocznego stypendium w Brazylii. Dla etnografa taki

wyjazd to była nie lada gratka, więc zdecydował się bez namysłu, po czym zarządził przeprowadzkę reszty rodziny, do swoich rodziców, do ich ogromnego, eleganckiego mieszkania na Madalińskiego. Jagoda postanowiła nie protestować, wiedząc, że mąż będzie o nich spokojniejszy, choć na samą myśl o dwunastu miesiącach pod jednym dachem z teściami dostawała gęziej skórki. Podejrzewała, że nie będzie łatwo, zwłaszcza że starsi państwo uwielbiali się wtrącać do wychowania Maćka, energicznego dziesięciolatka, Jagodę traktując jako produkt uboczny.

I rzeczywiście, od dwóch miesięcy musiała znosić ich delikatne, wypowiedane kulturalnym głosem uwagi, dostosowywać się do ich trybu życia i patrzeć bezsilnie, jak rozpuszczają Maćka jak dziadowski bicz, a mężowi słać maile, że wszystko w najlepszym porządku, żeby się biedak tam na końcu świata nie denerwował.

- Lilka, pojęcia nie masz, jak to wygląda! Żebym ja chociaż do pracy chodziła i znikąca z tego domu na pół dnia. Ale nie, siedzę przy komputerze i wysłuchuję tych ich uwag...

Lilka pokręciła głową z niedowierzaniem.

- I co, naprawdę byś ze mną pojechała? A Maciek?

- Do końca roku szkolnego może zostać u dziadków, potem zobaczymy. Przecież tam musi być jakaś szkoła, no nie?

- No tak... Ale zwykła, wiejska.

- Dobrze mu to zrobi. Zobacz, że kasa to nie wszystko.

Lilka uśmiechnęła się z trudem.

- W takim razie dlaczego tutaj posłaliście go do społecznej?

- Z powodu narkotyków. Z powodu chuliganów w szkole rejonowej. Bo Kisielewscy chcieli płacić.

- A jak płacą, to się mogą wtrącać, prawda? - domyśliła się Lilka.

- Właśnie...

Na chwilę zapadło milczenie, przerywane tylko odgłosem kroków Jagody, która z podniecenia nie mogła się przestać kręcić po pokoju.

- Naprawdę wesłabyś w to? - spytała Lilka, ciągle jeszcze z niedowierzaniem w głosie.

- Jasne! - odpowiedziała przyjaciółka, zatrzymując się gwałtownie. - Z radością!

- Nawet nie wiesz, jak się cieszę. - Mimo tej deklaracji głos Lilki wcale nie brzmiał rażno. - Tylko na razie nie będziemy tego opijać, dobrze?

ROZDZIAŁ 5

Następnego dnia Lilka była gotowa już za pięć ósma. Jagoda miała podrzucić Maćka do szkoły i zaraz potem po nią podjechać. Ciekawe, jak to będzie, zastanawiała się, wyglądając przez okno. Czy damy sobie radę? E tam, jasne, że damy, wzruszyła energicznie ramionami. Papierkową robotę dalej będzie robiła Stefa, a my dwie zajmiemy się wprowadzaniem zmian.

Bo Lilka sobie wszystko dokładnie przemyślała i nabrała przekonania, że gdyby choć trochę dostosować hotel do panującej wokół rzeczywistości, czyli, mówiąc krótko, uwspółcześnić, miałyby dużo więcej klientów niż do tej pory.

Zauważyła zielonego golfa, parkującego po przeciwnej stronie ulicy. Lilka otworzyła okno i krzyknęła do wysiadającej z auta Jagody:

- Już idę! Poczekaj!

Złapała torebkę, klucze i zaafierowana wybiegła z domu. Zaczyna się! Kiedy przedostała się wreszcie na drugą stronę ruchliwej o tej porze Saskiej i podeszła do samochodu przyjaciółki, okazało się, że na tylnym miejscu ktoś siedzi.

- O, Maciuś! - zdziwiła się. - Cześć, kolego. To rozumiem, że najpierw pod szkołę?

Jagoda przekreśliła kluczyk w stacyjce.

- Patrz do tyłu, czy nic nie jedzie - poleciała Lilce. - Straszny tu ruch o tej porze. Kierunek Katowice, tak?

- Tak, tak. Ale najpierw zostawimy Maćka?

- Hmm, niezupełnie - odchrząknęła Jagoda. - Mam nadzieję, że nie będziesz miała nic przeciwko temu, ale obiecałam mu, że go zabierzemy.

Właściwie Lilka bardzo Maćka lubiła...

- A on nie ma dzisiaj lekcji?
- Jak jeden dzień opuści, to mu się nic nie stanie. Strasznie chciał zobaczyć ten hotel, rozumiesz.

Lilka odruchowo kiwnęła głową, po czym z niepokojem obejrzała się do tyłu. Maciek, owszem, był miłym, dobrze wychowanym dzieckiem o dużym poczuciu humoru, ale posiadał niestety jedną wyraźną wadę, mianowicie wszędobylstwo. Oczywiście potrafił przez jakiś czas usiedzieć na jednym miejscu, pod warunkiem, że tym miejscem był fotel przed komputerem. W każdej innej sytuacji wykazywał kłopotliwą nadaktywność.

- Ciociu, a czy tam jest las? A pies? A czy będę mógł przywieźć swój rower? - Maciuś odkleił się od game-boya i rozpoczął przepytywanke. - A czy tam jest z kim pograć w nogę?

- Maciek, dziecko, *cala boca, por favor* - rzuciła pod adresem syna Jagoda. - To znaczy zamknij się, ale brzmi o niebo lepiej - wyjaśniła szeptem Lilce.

Mały posłusznie ucichł, wiedząc z doświadczenia, że kiedy matka zwraca się do niego po portugalsku, sprawa jest poważna.

Na miejsce dojechali po godzinie.

- Nieźle - stwierdziła Jagoda wysiadając z auta. - Nawet przywoita droga, korki tylko w Jankach. Myślałam, że będzie gorzej. I dłużej. Mówiłaś, że to gdzieś na końcu świata.

Lilka rozprostowała nogi.

- Przepraszam, cytowałam mamę. I jak ci się podoba?

Jagoda rozejrzała się uważnie dookoła.

- No, no, jestem pod wrażeniem...

- Ale tak serio?

- Dno.

Drzwi hotelu otworzyły się i wyszła z nich jakaś dziewczyna w minispódniczce. Lilka rozpoznała Asię, recepcjonistkę.

- Dzień dobry - ruszyła w jej stronę. - Gdzie znajdziemy panią Stefanię?

Dziewczyna jakby się nieco spłoszyła.

- Ciocia jest u siebie. Znaczy w biurze. Zaprowadzić panie?

- Tak, poprosimy. Chodź, Jagoda - skinęła na przyjaciółkę i nagle się zaniepokoiła. - A gdzie Maciek?

Znalazły go dziesięć minut później na dnie ogrodowego basenu. Basen był pusty, pokryty zielonymi liszajami mchu, a na dnie leżała warstwa zgniłych liści, w których Maciek grzebał ochoczo patykiem.

- O, mamuś! - ucieszył się. - Zobacz, jakie wielkie wije!

- Wyłaź stamtąd, ale to już! - Jagoda była wściekła. - Nie słyszałaś, jak cię wołamy?

- Poczekaj, zaraz wychodzę, tylko sobie jednego złapię do kolekcji.

- Ani mi się waż! - tym razem zdenerwowała się Lilka. - Nie życzę sobie żadnych wijów w samochodzie! Czy wiji! Nie słyszałaś, co matka mówiła? Wychodź!

Dziecko niechętnie wspięło się po metalowej drabince.

- Wiesz co, mamu? Super tu jest!

Stefa czekała w recepcji. Ubrana w błękitną suknię w ja-skrawoczerwone kwiaty, jak zwykle obwieszona biżuterią, na tle burego wnętrza niewątpliwie rzuciła się w oczy. Lilka zatrzymała się na chwilę, próbując przyzwyczać wzrok do kolorowego zjawiska i czekając, aż Jagoda przeciągnie opornego Maćka przez drzwi. Trochę się bała samotnie sta-wić czoło sytuacji, zwłaszcza że oprócz kolorów w oczy rzu-cało się również zdenerwowanie kierowniczkii. Minę miała

mało zachęcającą i bębniła palcami po blacie, a jej długie, czerwone paznokcie stukwały nieprzyjemnie w ciszy pustego holu.

- Umawialiśmy się, że przyjedzie pani koło południa - zwróciła się do Lilki, ostentacyjnie ignorując Jagodę. - Teraz to ja mam kilka innych spraw do załatwienia. Co pani sobie myśli, że ja na posyłki jestem? Skinąć palcem i już lecę? Tu się pracuje! Są goście, trzeba wszystkiego dopilnować! Najwcześniej za godzinę będę wolna. Nie wiem, co pani przez ten czas myśli robić...

Lilka mimo wszystko próbowała się uśmiechnąć.

- Dzień dobry. Wiem, że miałyśmy być trochę później, ale tak się ułożyło... - odruchowo zaczęła się tłumaczyć. - Niech pani sobie nie przeszkadza, my się rozejrzemy, tak jakby nas nie było. Aha, przepraszam, to jest moja przyjaciółka, Jagoda Kisielewska, z synem.

Naburmuszona Stefa skinęła tylko lekko głową. Natomiast Jagoda, która przez cały czas rozglądała się dookoła uważnie, uśmiechnęła się słodko i spytała:

- A tak a propos tych gości, którymi się musi pani zajmować, to ilu dzisiaj macie?

Kierowniczką obraziła się na dobre i odwróciła do nich plecami, najwyraźniej uważając rozmowę za zakończoną. Wzięła do ręki rejestr gości i bez pośpiechu zaczęła go przeglądać.

Lilka ruszyła w stronę drzwi, Jagoda za nią, ale i tak wyprzedził je Maciek, wypadając na dwór z prędkością światła. Dziewczyny podeszły do jednej z seledynowych ogrodowych ławek. Zanim zdążyły na niej usiąść, Maciek już wisiał głową w dół na metalowym trzepaku, który wypatrzył obok garażu.

- Jak na to wpadłaś? - chciała wiedzieć Lilka.

- Daj spokój, przecież to banalne. Na tablicy z kluczami był tylko jeden pusty haczyk.

- Zupełnie nie zwróciłam uwagi. A Stefa, mało brakowało, a by się na ciebie rzuciła z pięściami.

- Raczej z pazurami - roześmiała się Jagoda. - Nakłamała nam, że ma niby tyle pracy, no i się wydało. Wygląda na to, że nie bardzo chce współpracować. Trochę jej się dziwię, bo zdaje się, że możesz ją w każdej chwili wywalić z pracy. Bardziej by jej się chyba opłacało nadskakiwać niż podskakiwać, nie sądzisz?

Lilka wzruszyła ramionami.

- Myślę, że jej jest dokładnie wszystko jedno, co ja sobie pomyślę, bo wie, że i tak jej nie zwolnię. Pewnie jeszcze poprosi o podwyżkę, jak zobaczy, że zupełnie się na tym wszystkim nie znamy. Przecież my bez niej pięciu minut nie wytrzymamy. To raczej ja muszę być dla niej miła, nie ona dla mnie. W dodatku jest chyba obrażona na cały świat, że nie odziedziczyła hotelu. Musiała ją ciocia utrzymywać w takim przekonaniu...

- Ciekawe, ile ona tutaj zarabia i kto jej wypłaca pensję. - Jagoda miała dosyć trzeźwe podejście do życia. - Pewnie sama sobie i od śmierci twojej ciotki nikt jej nie kontrolował...

- Zdaje się, że wcześniej też nie bardzo, bo ciotka przez kilka miesięcy chorowała i nie sądzę, żeby miała głowę do takich spraw. Słuchaj, on wygląda tak, jakby miał za chwilę eksplodować!

Uwaga dotyczyła dyndającego na trzepaku Maćka, którego policzki przybrały odcień purpurowy, a oczy prawie wychodziły z orbit.

- Synek, dosyć tego, złaż w tej chwili! - wrzasnęła pod jego adresem Jagoda. - Co to za zabawa kretyńska?

- Mózg sobie dotleniam, mamusiu! Tatuś mówił, że przy wysiłku umysłowym pomaga stanie na rękach, ale to jest lepsze!

- Zdaje się, że on nie bardzo ma sobie co dotleniać - jęknęła matka. A głośno dodała: - Wysilek umysłowy przez najbliższe kilka godzin ci raczej nie grozi, więc ZŁAŻ!

- Grozi, grozi, bo ja mam jutro klasówkę z matmy - wyjaśniło zziąbane dziecko, podbiegając do nich.

Jagoda zeszywniała.

- Ze co proszę? A dlaczego nie powiedziałeś mi o tym drobnym fakcie przed wyjazdem?

- Bo byś mnie nie zabrała - stwierdził spokojnie chłopiec.

- No, nie! Lilka, słyszysz to?!

Lilka wyciągnęła przed siebie nogi, rozłożyła ramiona na oparciu ławki i uśmiechając się lekko obserwowała całą scenę. Czowała się świetnie. Podobało jej się to miejsce, choć tak naprawdę nie mogła zrozumieć, dlaczego. Podobał jej się duet Kisielewskich, a najbardziej podobała jej się perspektywa wspólnej pracy z Jagodą. Lubiała jej energię, poczucie humoru i odrobinę męski styl bycia, który w połączeniu z ultrakobiecytm wyglądem tworzył ciekawą mieszankę.

- Może chodźmy się razem rozejrzeć po ogrodzie? Bo na razie wiemy tylko, gdzie jest basen i trzepak.

Wstały z ławki i ruszyły wzdłuż hotelu. Za rogiem skręciły w prawo. Wysypiana żwirem alejka biegła między wysokimi szpalerami intensywnie pachnących żywicą tuj. Po kilkudziesięciu metrach wyszli na otwartą przestrzeń trawnika z okrągłą, kamienną fontanną na środku.

- Nieczynna - stwierdził Maciek, wskazując do środka. - Mamo! Winniczek!

- Złap parę, będzie na kolację. No dobra, nie patrz tak na mnie, przecież żartowałam. Nie wiem, jak ty, ale my idziemy dalej.

Dalej był mały, drewniany domek, obok stara szopa, a obok rozciągał się duży, zadbane ogród warzywny. Pomidory, ogórki, szczypior, koper, botwina, wszystko na wytyczonych z geometryczną precyzją grządkach, idealnie wypielone i podlane. Jakiś mężczyzna, odwrócony do nich tyłem, okopywał krzaki porzeczek.

- Halo, proszę pana! - zawołała w jego stronę Lilka.

Wyprostował się, oparł na łopacie i przesłonił dłonią oczy. Podeszły bliżej. Był siwy, nieogolony i ogorzały od słońca, na oko musiał mieć dobrze po siedemdziesiątce. Obok niego, na ziemi, leżał spokojnie wielki, kudłaty i skołtuniony czarny pies.

- A co to, wizytacja? - burknął. - Mało to ogrodu przed hotelem? Tutaj teren prywatny, nie chodzi się.

Lilka, niezrażona, wyciągnęła do niego rękę.

- Dzień dobry panu. Liliana Wójcik, jestem cioteczną wnuczką pani Felicji.

Ale stary patrzył dalej spode łba.

- I co z tego? - wzruszył ramionami. - Pani Felicja nie żyje.

- No właśnie... I zapisała nam w spadku hotel. To znaczy mnie i mojej siostrze, ale to nie jest moja siostra, tylko przyjaciółka... - zaplątała się Lilka. - A czy mogę zapytać, z kim mamy przyjemność?

- E tam, zaraz przyjemność. Jestem tu ogrodnikiem i tyle. Od dwudziestu lat. Czyli że pani teraz tu będzie szefową? - upewnił się.

W tym momencie nadbiegł w podskokach Maciek.

- O jejku, jaki piękny! - wykrzyknął w zachwycie na widok psa i zanim ktokolwiek zdążył zareagować, rzucił mu się na szyję. Zakotłowało się. Pies, warcząc, odskoczył za swojego pana, mężczyzna próbował zatrzymać Maćka, a Jagoda zaczęła histerycznie pokrzykiwać:

- Maciuś! Uważaj! Nie ruszaj! Zostaw!

W końcu stary chwycił dzieciaka za ramiona i postawił obok Lilki.

- Nigdy więcej tego nie rób - wycedził. - Mógł cię ugryźć! A pani niech przestanie pisać. Nic się nie stało. Mówiłem, to nie jest miejsce na spacer. - Odwrócił się od nich ostentacyjnie i wbił ze złością łopatę w ziemię.

Zabrały się stamtąd jak niepyszne.

ROZDZIAŁ 6

Zdaje się, że nie czekają tu na nas z otwartymi ramionami, westchnęła w duchu Lilka, kiedy wracały do hotelu. Może nie być tak świetnie, jak myślałam. Całe szczęście, że przynajmniej jest Jagoda...

- Słuchaj, a mówiłaś już teściom o tym, że się od nich wynosisz? - spytała nagle, tknięta przecuciem.

- No, niezupełnie. Na razie powiedziałam im tylko, że odziedziczyłaś hotel pod Warszawą i jedziemy go obejrzeć. Powiem im dzisiaj, jak wrócimy, spoko. A teraz chodź do tej Stefy, powinna już być wolna. Maciek, do samochodu. Bierzysz gameboya i ani kroku się stamtąd nie ruszasz.

Kiedy zapukały do drzwi biura, usłyszały oschłe „proszę”.

Lilka zajrzała do środka. Kierowniczką siedziała za jasnym, sosnowym biurkiem, na którym piętrzyły się stosy tekturowych teczek i papierów luzem.

- Można?

- Tak. Właśnie skończyłam. Kawy? - Stefa zmierzyła je niechętnym spojrzeniem.

Dziewczyny spojrzały po sobie.

- Chętnie.

Lilka usiadła na krześle naprzeciwko biurka i obserwowała, jak kierowniczką przeciska swoje bujne kształty między blatem a regalem, wychyla się przez drzwi na korytarz i wykrzykuje zamówienie w stronę Asi, recepcjonistki. Wreszcie wróciła na swoje miejsce, usiadła ciężko na podniszczonym, skórzanym fotelu i poprawiła fryzurę.

- Skoro już się tak pani upiera przeglądać papiery - zaczęła kierowniczką, nadal ignorując obecność Jagody - to przygotowałam tutaj rozliczenia za ostatni okres, przychody, podatki, pensje... Mamy zatrudnione na stałe trzy, to znaczy ze mną cztery osoby.

- Najlepiej byłoby wziąć te dokumenty do domu i spokojnie przejrzeć - Jagoda wskazała na grube teczki, leżące przed nią na biurku.

- Absolutnie nie! - obruszyła się Stefa. - To wbrew przepisom!

- Tak myślałam - zgodziła się spokojnie Jagoda, po czym nachyliła się do Lilki i powiedziała: - Strasznie tego dużo, a i tak do tego przydałby się jakiś księgowy z prawdziwego zdarzenia. Mam takiego znajomego...

Lilka skinęła głową.

- W takim razie, pani Stefanio, rzucimy na to okiem już po przeprowadzce...

Kobieta zastrzygła uchem.

- Po przeprowadzce? Jakiej przeprowadzce?

- Pojawił się taki pomysł... Chciałybyśmy tu zamieszkać, o ile oczywiście jest gdzie.

Kierowniczka patrzyła na nią, jakby nie bardzo rozumiejąc, o co chodzi.

- Czyli że pani chce tutaj mieszkać, tak? - powiedziała powoli. - A niby od kiedy?

- Jak najszybciej - odpowiedziała Lilka, rzucając błagalne spojrzenie na przyjaciółkę.

- W granicach tygodnia, najwyżej dwóch - pospieszyła z pomocą Jagoda. - Rozumiem, że przygotowanie dla nas pokoi przez ten czas nie powinno być problemem?

- Noooo nieee - wystękała blondyna. - Właściwie...

W tym momencie otworzyły się drzwi i, przytrzymując je łokciem, wpakowała się do środka recepcjonistka Asia z plastikową tacą.

- Pani Maria pyta, czy panie na obiedzie zostaną - oznajmiła, rozstawiając przed nimi szklanki z kawą. - To co mam powiedzieć?

Lilka spojrzała na zegarek. Była pierwsza. Właściwie...

- Chyba tak, co, Jagoda? Tylko proszę przekazać, że nas jest troje. O której mamy przyjść?

- Tak za godzinę, koło drugiej.

- Świetnie - ucieszyła się Lilka. - To może przez ten czas pani nam pokaże pokoje?

Przez twarz Stefy przebiegł dziwny grymas, ale zanim zdążyła otworzyć usta, odezwała się Asia.

- Panie będą tu mieszkać? - ucieszyła się. - Znaczą trzeba będzie przygotować apartament pani Felicji! Tylko ciocia będzie się musiała przenieść z powrotem do swojego pokoju...

- Joanna! - huknęła na nią Stefa. - Wyjdz!

- A co, ciociu, coś nie tak powiedziałam?

Mieszkanie ciotki Felicji, nazwane przez Asię szumnie apartamentem, znajdowało się z tyłu budynku na parterze. Miało osobne drzwi z podwórka, ale można też było wejść do niego z korytarza przy recepcji. Składało się z sypialni, saloniku i ogromnej, jasnej łazienki z dużym oknem i palmą w kącie przy wannie. Wszędzie stało pełno zakurzonych bibelotów i porcelanowych figurek, na ścianach wisiały obrazki i zdjęcia w metalowych, ozdobnych ramkach, w sypialni dwie ściany zajmowały regały z książkami, przy trzeciej zaś stało szerokie łóżko z wezglowiem ozdobionym kwiatowym, intarsjowanym wzorem.

- Całkiem tu sporo miejsca. Przytulnie i miło - mruknęła Jagoda do Lilki.

- Przepraszam, że spytam, ale jak to się stało, że nie pokazała nam pani tego mieszkania poprzednim razem? - zainteresowała się Lilka.

- Zwyczajnie, nie zdążyłam. Ja tu się przeniosłam niedawno, żeby puste nie stało. Jest tu parę cennych rzeczy, a pani Felicja to nawet kilka z nich mi zapisała.

Tak jakby to miało usprawiedliwiać, że się panoszy jak szara gęś. Ale rzeczywiście Lilka przypomniała sobie jak przez mgłę, że sędzia czytał całą listę różnych drobnych przedmiotów ze wskazaniem, do kogo mają powędrować.

- Proszę w takim razie zabrać wszystko to, co należy do pani. Prosiłabym jeszcze o znalezienie jakiegoś lokum dla mojej przyjaciółki...

- Zobaczę, co się da zrobić - odpowiedziała chłodno kierowniczka. - Czy chcą się panie jeszcze rozejrzeć? Obiad najwcześniej za pół godziny.

- Chętnie rzuciłybyśmy okiem na pokoje dla gości.

Stefa niechętnie ruszyła w stronę recepcji.

- Proszę bardzo - prychnęła. Drewniane kule, do których doczepione były klucze, zagrzechotały donośnie, rzucone na blat. - Jedyńka i dwójka na parterze, reszta na piętrze.

- Bardzo dziękujemy - odpowiedziała grzecznie Jagoda. - Chodź, Liluś, najpierw sobie obejrzymy jedyńkę.

Drewniane drzwi, pomalowane białą olejną farbą, przy otwieraniu lekko zaskrzypiały. Uderzył je w nos lekki zapach stęchlizny. W pokoju stały dwa łóżka, przykryte kocami w kratę, przy każdym proste, drewniane nocne szafki, na nich malutkie lampki z papierowymi abażurami. Stół pod oknem nakryty był obrusem drukowanym w wypłowiałe maki, do tego dwa drewniane krzesła i stare radio na parapecie.

- Sheraton to nie jest - skomentowała Jagoda. - A gdzie łazienka?

Lilka wyszła na korytarz.

- Tutaj - oznajmiła. - Zdaje się, że jedna na dwa pokoje.

Dochodziła czwarta, kiedy wsiadły w samochód i ruszyły z powrotem w kierunku Warszawy. Maciek, trochę znudzony, zdrzemnął się z tyłu, a one przez pierwsze kilometry nie rozmawiały, próbując uporządkować wrażenia. W końcu, gdzieś na wysokości Nadarzyna, odezwała się Jagoda:

- Nie podoba mi się ta tleniona raszpla... Lilka westchnęła głęboko.

- Wiesz, mnie jakoś też nie.

- Ona na mnie sprawia wrażenie nieuczciwej. Nie patrzy w oczy, jakoś tak się zachowuje... podejrzenie. Wszystko niby chodzi jak w zegarku, personel ją szanuje...

- Albo się jej boi - wtrąciła Lilka.

- Tak, masz rację. Z drugiej strony, za dużo to tam się nie dzieje. Ciekawa jestem tych ksiąg. Trzeba im się uważnie przyjrzeć.

- Właściwie powinniśmy się jak najszybciej tam przenieść. Kiedy powiesz Kisielewskim?

Jagoda bąknęła coś pod nosem.

- No, kiedy? - Lilka odwróciła się z uśmiechem w jej stronę.

- Jak najszybciej. Zaraz. To znaczy wieczorem, jak Maciek pójdzie spać. Albo najdalej jutro...

* * *

Tydzień później Lilka czekała na Madalińskiego pod domem teściów Jagody, oglądając z nudów dziwnie archaiczną wystawę spożywczych, na której płwiały w słońcu zapomniane pudełka kakao, wyglądające tak, jakby stały tutaj niezmiennie od dwóch dekad. Kiedy w końcu dostrzegła wyłaniającą się z bramy Jagodę, podbiegła i zdenerwowana chwyciła ją za ramię.

- I co? Mów!

Jagoda odetchnęła głęboko.

- Załatwione! To, że ja wyjeżdżam, nawet ich chyba ucieszyło, gorzej, kiedy się dowiedzieli o Maćku. Od razu chcieli dzwonić do Michała, żeby mu uprzejmie na mnie donieść, dobrze, że mu wszystko wcześniej sama opowiedziałam. Oczywiście mnie poparł. Podobno chcą mu to stypendium przedłużyć, więc się nie będzie denerwował, że cały czas siedzę teściom na głowie. Ale wiesz co? Przecież nie będziemy tak stać na ulicy. Idziemy na kawę.

Zatrzymały się w pobliskim kawiarnianym ogródku. Duże, czerwone parasole rzucały zachęcający cień, toteż Jagoda od razu klapnęła na wiklinowy fotel. Założyła nogę na nogę, eksponując opalone kolana i kształtne stopy w fikuśnych, brazylijskich sandałkach, a kiedy odrzuciła do tyłu długie, czarne włosy, dwaj faceci w garniturach, siedzący przy sąsiednim stoliku, jak na komendę obejrżeli się na nią.

- Jak ty to robisz? - westchnęła z zazdrością Lilka, siadając obok i rzucając torbę na wolne miejsce.

- Co robie? - zdziwiła się Jagoda.

- Oj, no wiesz... Działasz tak... na facetów.

- Daj spokój! - przyjaciółka zaśmiała się perliście. - Lepiej mi powiedz, jak z mieszkaniem. Wypowiedziałas już? I do kiedy będziesz musiała zabrać rzeczy?

- Rozmawiałam z właścicielką, mam czas do końca miesiąca. Tyle gratów, nie wiem w ogóle, jak się do tego zabrać.

- No, jak to jak? Idziesz do spożywczego, bierzesz pudła i zaczynasz pakować. I lepiej opisz na każdym, co włożyłaś do środka, bo się potem nie pozbierasz.

- Faktycznie... - Lilka westchnęła ciężko, po czym niepokojnie rozejrzała się dookoła. - Gdzie ta kelnerka? Chyba pójdę do środka zamówić. Chcesz tylko kawę czy coś jeszcze?

- Weź mi tiramisu, pyszne tu mają. W końcu jest co świętować, prawda?

Kiedy Lilka wróciła do stolika, Jagoda nachyliła się do niej i powiedziała z uśmiechem:

- Ciągłe nie mogę w to uwierzyć. Nie masz wrażenia, że zaczynamy razem nowy etap w życiu? To jeszcze bardziej podniecające niż ślub, och, sorki, nie chciałam.

- Nie ma sprawy - pokręciła głową Lilka. - Nic się nie stało. Ale masz rację. Może uda nam się zrobić z tego hotelu jakieś sympatyczne miejsce.

- I modne - dorzuciła Jagoda. - I dochodowe.

- Nie miałabym nic przeciwko temu.

- Ani ja!

Roześmiały się.

- Słuchaj - zaczęła Jagoda, kiedy kelnerka postawiła przed nimi kawę i pucharki wypełnione puszystym, brązowym deserem - miałaś mi opowiedzieć, jak to się stało, że ciotka komunistka miała hotel. I w ogóle o tych waszych dziwnych rodzinnych układach...

Lilka wbiła łyżeczkę w krem.

- Ale dobre! - przez chwilę rozkoszowała się smakiem. - No więc ciotka kiedyś pracowała w MSZ-ecie, wiesz, w tamtych czasach to było coś!

- Nie mów mi, że teraz nie jest - przerwała Jagoda.

- Prestiż, owszem, ale wtedy dodatkowo niezła kasa. Ciotka jeździła po placówkach, głównie do demoludów, kilka lat siedziała też w Rzymie, w każdym razie odłożyła sporo. Właśnie tam, we Włoszech, zobaczyła, że istnieje coś takiego jak małe hotele, czy raczej pensjonaty, i podobno od tamtej pory marzyła, żeby samej mieć coś takiego. Ona była bardzo energiczną i kontaktową osobą. Po osiemdziesiątym roku, jak się zaczęły przemiany, odeszła z pracy. Przez jakiś czas robiła jeszcze dla ministerstwa tłumaczenia, aż w końcu kupiła ten hotel. To był chyba wcześniej internat szkoły rolniczej czy coś takiego.

- Często tam u niej bywałaś?

Lilka pokręciła przecząco głową.

- Prawie wcale. Ciocia była w partii i ciałem, i duchem, za to matka, no wiesz. Opozycja, przedstawienia dla strajkujących, pomoc internowanym... Nie bardzo się mogły dogadać. Co prawda raz nawet ciotka zaprosiła nas na całe wakacje, ale prawie nic z tego pobytu nie pamiętam, tyle tylko, że było fajnie. Niestety, po komunii Eweliny urwało się definitywnie. Matka urządziła wtedy uroczysty obiad i aż do deseru było naprawdę miło. A potem coś się matce wymknęło na temat rządowych obietnic bez pokrycia i dalej już samo poszło. Wszystko z nich powychodziło, żale, pretensje... Wymyślały sobie od zgniłych komunistek i kapitalistycznych dekadentek, w końcu ciotka zerwała się od stołu, cała czerwona, chwyciła torebkę oraz wujka Stanisława, swojego brata, i wybiegła z okrzykiem: „Nasza noga tu więcej nie postanie!” Wyobrażasz sobie? Dopiero potem okazało się, że zostawiła krople na serce i okulary, które kazała sobie

odesłać pocztą. W związku z tym matka przed włożeniem do pudełka opakowała je starannie w „Trybunę ludu” i od tamtej pory nie rozmawiały ze sobą...

- No, nieźle! - Jagoda była pod wrażeniem. - Teraz rozumiem, dlaczego się nie spodziewałyście spadku! A z tym wujkiem utrzymywałyście kontakt?

- Nie bardzo. Mignął nam tylko na pogrzebie.

- Ciekawe, dlaczego jemu nie zapisała hotelu?

Lilka wzruszyła ramionami.

- On jest już dobrze po osiemdziesiątce! Co miałby z tym robić? Zresztą chyba nie był uwzględniony w testamencie. Swoją drogą to faktycznie dziwne...

- A gdzie on mieszka? - drażyla dalej Jagoda, poprawiając spódniczkę i powodując tym niezłe zamieszanie przy stoliku obok.

- Właściwie nie wiem. Wydawało mi się, że razem z ciotką w hotelu. Ale przecież nie spotkałyśmy go tam, a Stefa ani słowem nie wspomniała...

Jagoda sięgnęła do torebki po telefon, sprawdziła godzinę i poderwała się nagle.

- Słuchaj, nad tajemniczym zniknięciem wujka zastanowimy się później, teraz muszę lecieć odebrać Maćka z basenu. Jeśli o mnie chodzi, to pojutrze możemy ruszać. Nowe życie zacząć, cudne, bez Kisielewskich! Chodź, biorę auto, to cię mogę po drodze podzucić do domu.

ROZDZIAŁ 7

Chodził wokół stołu, wycierając co chwila dłonie o spodnie. Zawsze kiedy się denerwował, pociły mu się ręce. Kiedy telefon zadzwonił, chwycił słuchawkę tak niezręcznie, że o mało nie upadła na ziemię.

- Osiadacz, słucham?

- Sie ma, Kamil, tu Zebra. To co, stary, wpadniesz do pubu? Pogadamy.

Podszedł do okna i wyjrzał w dół, na ulicę. Widział przez szybę stoliki wystawione na chodniku i gości pijących piwo. Wystarczy zejść po schodach.

- Nie, raczej nie... - odpowiedział niepewnym tonem. - Jestem zajęty.

- Pierdzielone żarty sobie robisz, czy co? - w głosie rozmówcy zabrzmiała nieprzyjemna nuta. - Przecież wczoraj powiedziałeś, że dziś koło piątej będziesz miał czas. Ściągnąłem, kurwa, chłopaków. Czekamy na ciebie.

Przygryzł wargi. Co go podkusiło, żeby się umawiać z tym człowiekiem? Przecież wszyscy w okolicy wiedzieli, czym się zajmuje. Ale wczoraj wpadli na siebie na podwórku. Nie mógł przejść obok niego i udawać, że go nie zauważa, skoro chodzili razem do klasy. Dobrze, że przynajmniej nie powiedział matce.

- No co, zatkało cię? Ty sobie jaj z nami nie rób. Masz być za pięć minut na dole. - I rozmówca rozłączył się.

Chodzili razem do klasy przez dwa lata. Zebry nikt nie lubił, za to wszyscy się go bali. Swój pseudonim zawdzięczał dobremu sercu - kiedy widział przy przejściu dla pieszych jakąś staruszkę, przeprowadzał ją na drugą stronę ulicy, taki miły chłopiec... Jeżeli nawet nie udało

mu się wyciągnąć przy tej okazji portmonetki z torebki, to przynajmniej robił głodną minę i zawsze dostawał parę groszy na czekoladę. Był sprytny i bezwzględny, ale Kamil na szczęście nigdy nie doświadczył tego na własnej skórze.

Wczoraj, kiedy tak stali chwilę przy osiedlowym placu zabaw, Zebra nagle zrobił się bardzo rozmowny. A po tym, jak Kamil powiedział, gdzie obecnie pracuje, w jego bladoniebieskich, wąskich oczach błysnęło zainteresowanie i od razu umówił się z nim na piwo. Właśnie na dzisiaj.

- Wychodzisz? - krzyknęła z kuchni matka.

- Tak, na chwilę, do pubu - bąknął i po raz kolejny wytarł dłonie o spodnie.

- Z kim?

- Nie zna mama - odpowiedział i pomyślał: lepiej, żeby nie wiedziała. Zresztą to moja sprawa, z kim się spotykam. Mam trzydzieści lat i nie muszę się jej opowiadać.

Siedzieli przy drewnianym, długim stole na końcu sali - dwóch identycznie zwałistych, umięśnionych facetów, ogolonych prawie na łyso, a obok nich wysoki, szczupły, przystojny blondyn w eleganckim garniturze. Zebra.

Przepchnął się przez zatłoczone o tej porze wnętrze i podszedł do nich. No tak, wszyscy mnie z nim zobaczą, zdenrowował się jeszcze bardziej. I od razu zaczął się dusić od dymu z papierosów. Zebra na jego widok uśmiechnął się szeroko i wstał, żeby go przepuścić.

- Chłopaki, to jest Kamil, opowiadałem wam o nim - zaczął prezentację. - A to moi kumple: Zdzichu i Szrek. Ruda, jeszcze jedno piwo! - machnął ręką w kierunku niskiej, rudej kelnerki, kręcącej się przy barze. - Z beczki! - Oparł łokcie na stole i przysunął sobie kufel. - No to opowiedz nam, Kamil, gdzie pracujesz...

ROZDZIAŁ 8

Obudziła ją cisza. Leżała przez chwilę i próbowała się zorientować, gdzie jest. W Warszawie za oknami od rana szumiała ulica, słychać było klaksony, pisk opon hamujących aut, pokrzykiwania sprzedawców z pobliskiego warzywniaka. Tutaj nie było słychać nic, oprócz ćwierkania ptaków, ale to się przecież nie liczyło. Takie ledwo dźwięki, choć miłe dla ucha. Lilka przeciągnęła się, uniosła na łokciach i rozejrzała po pokoju. W półmroku zaciągniętych zasłon meble i bibeloty wyglądały jak z bajki.

A więc to dziś, pomyślała podniecona. Pierwszy dzień nowego życia!

Podniosła się energicznie z łóżka i podeszła do okna, żeby je odsłonić. Po drodze potknęła się dwa razy. Najpierw o duży foliowy worek pełen butów, potem o elektryczny czajnik, który nie wiadomo dlaczego stał na samym środku pokoju. Złorzeczając pod nosem chciała go odstawić na biurko, ale okazało się, że tam już stoi wieża z głośnikami i komputer. Upchnęła go więc na brzegu regału, zastanawiając się, kiedy spadnie, i w końcu rozsunęła ciężkie, pluszowe story. Do wnętrza wpadło ostre słoneczne światło i słodki zapach kwitnących drzew owocowych. Trawa błyszczała jeszcze od rosy, a na ścieżkach uwijały się wróble i sikorki. Ignorując zupełnie awanturujące się między sobą ptaki, na jednej z ogrodowych ławek wygrzewał się wielki, bury kot.

Lilka wciągnęła głęboko w płuca świeże, wilgotne powietrze i przeciągnęła się, wyginając do tyłu plecy. Cudnie! - pomyślała i poszła obudzić Jagodę.

Jagoda spała na kanapie w saloniku. Po wstawieniu szafy i stołu, które Lilka przywiozła z warszawskiego mieszkania,

w pokoju zostało niewiele miejsca. Miała zamiar wyrzucić stary regał ciotki, ale nie było czasu przejrzeć stojących tam książek. W całym apartamencie panował na razie nieopisany bałagan. W zasadzie Jagoda mogłaby nocować w którymkolwiek z wolnych pokoi hotelowych, ale ponieważ wieczorem chciały spokojnie pogadać, poprosiły tylko o dodatkowy koc i poduszkę.

- Jagódka, wstawaj! - Lilka pochyliła się nad przyjaciółką. - To pierwszy dzień naszego nowego życia! - Jagoda ani drgnęła. Lilka szarpnęła ją lekko za ramię. - Hej, pobudka! - Żadnego efektu. - Mamo, spóźnię się do szkoły! - krzyknęła jej w końcu w ucho.

Jagoda poderwała się, nieprzytomna.

- Maciuś? Co się dzieje? Lilka?

- Boże, ciebie obudzić!!! Jest wpół do ósmej, o ósmej musimy być na śniadaniu. Wyjrzyj przez okno, jak pięknie. Ja idę do łazienki.

W jadalni zastały troje ludzi - jakąś parę w średnim wieku i starszego mężczyznę w mocno sfatygowanym garniturze. Chwilę po nich weszła również Stefa, ubrana równie krzykliwie, jak zawsze. Brak dekoltu zrekompensowała przesadną mini, pantoflami na niebotycznych obcasach i wszechobecną złotą biżuterią. Przez chwilę jakby się wahała, gdzie usiąść, więc Lilka zaprosiła ją ruchem ręki.

- Dzień dobry, prosimy do nas.

Kierowniczką podeszła bez pośpiechu.

- I co, jak się paniom spało? - spytała tonem, w którym nie było ani krzty zainteresowania.

- Dziękujemy, świetnie - uśmiechnęła się w odpowiedzi Jagoda. - Macie tu naprawdę dobre powietrze, nie to co w Warszawie. Żadnych hałasów, cisza, spokój... Tak by można było to miejsce reklamować. A właśnie, jeśli mogę spytać, to gdzie i jak się reklamujecie?

Stefa spojrzała na nią ze zdziwieniem.

- My się reklamować nie musimy - odpowiedziała z wyższością w głosie. - Po co? Przecież i tak mamy gości. Jeszcze jakieś uwagi?

- Uwagi może nie, tylko chcieliśmy na jutrzejszy dzień wypożyczyć wszystkie dokumenty dotyczące gospodarowania hotelem. Jeżeli to oczywiście jest zgodne z przepisami.

- A po co? - zdziwiła się kierowniczką. - Jak będzie trzeba, ja wszystko wytłumaczę.

- Chcemy przejrzeć, ostatnio nie zdążyliśmy. Liliana chciałaby mieć orientację w sprawach hotelu. Wie pani, musi się jakoś przygotować do tego, żeby samodzielnie podejmować niektóre decyzje.

Stefa zacisnęła umalowane grubo wargi.

- Przecież panie i tak się nie znają na księgowości - prychnęła.

- My nie, ale poprosiłam o pomoc kolegę, który jest audytorem w jednej sporej firmie.

Twarz kierowniczką stężała.

- Audytor? I co, mówi pani, że niby jutro przyjedzie?

Lilka postanowiła wkroczyć w tę coraz ostrzejszą wymianę zdań.

- Chciałybyśmy, żeby nam pani opowiedziała, jak wygląda dokładnie zarządzanie hotelem, co należy do pani obowiązków, a co robiła ciocia Felicja, kiedy się jeszcze dobrze czuła. Musimy ustalić, czym ja się będę mogła zająć, oprócz promocji oczywiście. Nalać pani herbatę?

Pół godziny później, w przestronnej łazience w apartamencie ciotki, Jagoda usiłowała wycisnąć na szczoteczkę resztkę pasty Colgate.

- Nie wiem, jak my wytrzymamy z tą tapirowaną raszplą - wycodziła wściekle. - Co ona sobie myśli? Że kim niby jest?

Zaczęła ze złością szorować zęby. Lilka przez ten czas próbowała złożyć kanapę, która jej się wciąż złośliwie rozjeżdżała.

- Pomóż mi - jęknęła w końcu. - Jeżeli wszystkie meble w tym hotelu są w takim stanie... Wiesz co, może powinniśmy obejrzeć dokładnie pokoje? Mogłybyśmy spisać to, co trzeba naprawić. Przynajmniej nie wchodziłybyśmy w drogę tej babie. Ja też mam jej dosyć, ale na razie jest nam niestety potrzebna, sama rozumiesz...

Do obiadu zdążyły zinwentaryzować cztery pokoje. Wszędzie na pierwszy rzut oka było czysto i porządnie, ale wystarczyło odsunąć łóżka od ścian, zajrzeć za szafę albo pod umywalkę, żeby się zorientować, że sprzątaczką nie wysilała się tutaj za bardzo. W dodatku, tak jak podejrzewała Lilka, meble były niesprawne, uszkodzone albo przynajmniej pokancerowane. O drugiej zakurzone i zmęczone zeszły do jadalni.

- Ciekawe, co będzie do jedzonka - szepnęła Jagoda. - Mam nadzieję, że nie schabowy, jak ostatnio.

Dziesięć minut później wzdychała ciężko, piłując nożem wielki kotlet.

- Nie to, że nie lubię mięsa - zwierzała się przyjaciółce. - Ale ten jest za słabo rozbity i panierkę ma taką... glutowatą.

- Przestań - syknęła na nią Lilka. - Jeszcze ktoś usłyszy!

- A poza tym - ciągnęła Jagoda - to chyba jest dosyć kosztowne danie. Znaczący, trzeba dużo mięsa kupić... No i przecież nie każdy lubi, powinien być jakiś wybór w karcie. Ale co ja mówię, przecież tu nie ma karty! - Zaczęła przeżuwać następny kawałek. - I pomyśl sobie - dodała niewyraźnie

- jakby tu jakimś cudem trafił wegetarianin!

Lilka pochyliła się nad talerzem jeszcze bardziej, choć oprócz nich na sali był tylko ten sam starszy mężczyzna, co rano. Wiedziała, że zarzuty Jagody są absolutnie słuszne, ale wolała je omówić z kucharką na osobności.

Po chwili do jadalni weszła kobieta, którą również widziały rano, i skierowała się do okienka łączącego salę z kuchnią.

- Przepraszam bardzo - nachyliła się, zaglądając w głąb.
- Mój mąż został dłużej w mieście. Czy będzie mógł zjeść za godzinę?

Lilka nadstawiła ucha, żeby się dowiedzieć, co kucharka odpowiedziała kobiecie, ale słowa zagłuszył metaliczny stukot obcasów, zapowiadający pojawienie się Stefy.

W każdym razie nie padło żadne konkretne ustalenie, bo kobieta spytała:

- A gdzie ją znajdę?
- O co chodzi? - wtrąciła się Stefa, podchodząc do niej.
- Kucharka kazała mi się zgłosić do kierowniczkii, żeby zapytać, czy mąż będzie mógł później zjeść obiad. Nie wiedziałam, że to aż tak skomplikowana sprawa.

- Pani sobie daruje komentarze - ucięła Stefa. - A kucharka nie jest od tego, żeby przez cały dzień naokoło gości skakać. Mamy ustalone godziny posiłków i musimy się ich trzymać. Jest napisane, że obiad wydajemy od drugiej do trzeciej. Gdybyśmy tak każdemu pozwalali jeść, o której chce, to by nie było komu zrobić kolacji, bo by kucharka ciągle w garnkach mieszała. Ewentualnie może pani wziąć talerz na górę...

- Ale jak mam później odgrzać, na słońcu? - zirytowała się kobieta.

- Tego to już nie wiem.
- A powinna pani. Ale najwyraźniej pani nie obchodzi, czy goście są zadowoleni. Nigdy więcej nie skorzystamy z waszych usług!

- Jak sobie chce - wzruszyła ramionami kierowniczką, odwróciła się na pięcie i wyszła z jadalni.

Lilka wreszcie odważyła się odetchnąć.

- Bierz zeszyt i zapisz drukowanymi: KUPIĆ MIKROFALÓWKĘ - poleciła Jagodzie, po czym wstała i podeszła do zdezorientowanej klientki.

- Przepraszam, że się wtrącam. Liliana Wójcik, hmm... właścicielka. Najmocniej panią przepraszam za to nieporozumienie.

- Jakoś nie odniosłam wrażenia, żeby to było nieporozumienie - odpowiedziała oschle kobieta. Była urażona i zła. - Ta pani doskonale wiedziała, o co jej chodzi. Trudno, zadzwonię do męża, żeby zjadł na mieście.

- Proszę tego nie robić! - Lilka w ostatniej chwili powstrzymała się, żeby jej nie chwycić za rękaw bluzki. - Myślę, że uda mi się załatwić wydanie obiadu o szesnastej. - Widząc wahanie klientki, dotknęła lekko jej ramienia. - Na legam!

Nachyliła się i zajrzała do kuchni. Kucharka stała przy dużym, drewnianym stole, odwrócona do nich tyłem, i siekała coś dużym, rzeźnickim nożem.

- Pani Mario - zaczęła przymilnym głosem. - Czy mogę panią prosić na chwilę?

Kucharka niechętnie odłożyła nóż i podeszła do okienka.

- Słucham - burknęła.

- Bardzo proszę, żeby odgrzała pani obiad dla tego pana o szesnastej, dobrze?

- Ale mamy takie zasady ustalone - broniła się kobiecina, wycierając ręce w fartuch. - Pani kierowniczką każe przestrzegać!

- Ja z kierowniczką załatwię, proszę się nie bać. A zasady trzeba będzie zmienić, bo są bez sensu. - Po czym zwróciła się do stojącej przy niej ciągle klientki: - Jeszcze raz przepaszam.

Wróciła do stolika i popatrzyła na Jagodę niepewnie.

- No i co? - spytała.

- No i dałaś czadu! - roześmiała się przyjaciółka i klepnęła ją mocno w plecy. - Ale się postawiłaś, rany! Nie myślałam, że tak potrafisz!

- Ja też nie myślałam. Tak jakoś samo wyszło. Po prostu byłam zła na Stefę i to mi dodało skrzydeł.

Zaatakowała bez przekonania resztkę kotleta, którą miała jeszcze na talerzu. Jagoda przyglądała jej się przez chwilę, po czym odezwała się poważnym tonem:

- Wiesz, że pierwszy raz przedstawiłaś się jako właścicielka?

- Taaak? Nie zwróciłam uwagi.

- I zdaje się, że to właśnie to ci dodało skrzydeł.

Ledwo zdążyły przełknąć deser w postaci wodnistego, mglisto różowego kisielu, stukot obcasów powrócił. W całej swej obfitej okazałości wyrosła przed nimi Stefa, purpurowa i wściekła.

- Co pani sobie myśli?! Że wszystko może? Wielka mi dziedziczka! Będzie mi się tu w kompetencje wcinać i rządzić po swojemu! Wolne żarty! Ja tu kieruję!

Dziewczyny aż przysiadły na krzesłach, patrząc na Stefę z mieszaniną przerażenia i podziwu. No tak, ta to sobie nie pozwoli w kaszę dmuchać! Właściwie nie wiedziały, co odpowiedzieć na te absurdalne zarzuty, ale i tak blond krążownik nie dał im dojść do słowa.

- To ja tu od miesiący ręce sobie po łokcie urabiam, żeby jakoś to funkcjonowało, żeby klienci byli zadowoleni, żeby chociaż na pensje dla pracowników było, a taka mi tu przyjedzie z Warszawki, na niczym się nie zna i będzie mi tu nos wtykać i swoje trzy grosze wtrącać! Tak to sobie może panna sprzątaczkę traktować, a nie mnie! Ja tu kierowniczką jestem!

Jagoda zacisnęła dłonie z całej siły w pięści, wbijając paznokcie w ciało, żeby się tylko nie roześmiać, choć widziała, że Lilce do śmiechu wcale nie jest.

- Jak ustaliłam zasady, to nie po to, żeby mi je byle kto zmieniał! - Bujne kształty kierowniczkki zafalowały wzburzone. - Jak sobie panna chce, to niech sama obiad o szesnastej odgrzewa, bo ja mojej kucharce nie pozwalam!

- Pani Stefanio - Lilce udało się wreszcie zebrać w sobie i przebić przez słowotok urażonej kierowniczkki. - Pani Stefanio! Przecież ja nie z braku szacunku dla pani, tylko...

- Ale mój autorytet podważyła, w dodatku przy gościach! Nie mogę na to pozwolić. Proszę bardzo, jak tak się świetnie znacie na prowadzeniu hotelu, to go sobie teraz same prowadźcie! - dla podkreślenia swoich słów tupnęła nogą.

Lilka o mało nie zemdląła.

- Słucham? Pani chce odejść?

- Nie chcę, tylko odchodzę. Zobaczymy, jak sobie teraz mądre panie z miasta poradzą.

Kiedy zamknęły się za nią drzwi, dziewczyny przez chwilę nie były w stanie powiedzieć ani słowa. W końcu Jagoda odsunęła krzesło i wstała powoli od stołu.

- No, moja droga! Nowe życie to my dopiero teraz zaczynamy!

* * *

Stefa odeszła w wielkim stylu. Koło piątej pod hotel podjechał elegancki biały mercedes, a tuż za nim taksówka bagażowa i kierowca zaczął wnosić do niej rzeczy, poustawiane wcześniej przez Asię w holu. Trzy duże walizki, kilka kartonów, jakieś plastikowe torby. Dziewczyny obserwowały to wszystko z bezpiecznej odległości, schowane za przeszkłonymi tarasowymi drzwiami.

- Słuchaj, nie odnosisz wrażenia, że ona musiała być już wcześniej spakowana? - spytała nagle Jagoda przyjaciółkę. - Przecież to niemożliwe, żeby w ciągu dwóch godzin wszystko przygotowała. No, pomyśl sama...

Kierowca, który właśnie taszczył do auta telewizor, w tym momencie potknął się i o mało nie przewrócił. Skarcony ostrymi słowami przez Stefę aż się cały zgarbił i zaczął przeproszać.

Kiedy już wszystko zostało przeniesione do samochodu, pani kierowniczka, stukając obcasami, udała się do kuchni. Kiedy po chwili stamtąd wróciła, po twarzy błąkał jej się triumfalny uśmiešek.

Lilka i Jagoda uznały, że to odpowiedni moment, żeby wyjść z ukrycia. Na ich widok uśmiešek zamienił się w szeroki, pełen satysfakcji uśmiech.

- Zegnam! - Zbliżyła się do dziewcząt i nachyliła w ich stronę poufale. - A za godzinę ta sama taksówka przyjedzie po Marię. Miłego tygodnia życzę! - Odwróciła się na pięcie i oddaliła, kołysząc obfitymi biodrami. - Aha, zapomniałam - odwróciła się jeszcze na moment. - Asia też od jutra nie przychodzi do pracy!

ROZDZIAŁ 9

Lilka siedziała na seledynowej ławeczce naprzeciwko pustej fontanny i patrzyła przed siebie, na zieloną linię drzew pobliskiego lasu. Dobiegało stamtąd zrzędlive krakanie - to kawki i gawrony wracały do swoich gniazd. Zbliżał się wieczór.

Właściwie mogła się tego spodziewać. Nadepnęła Stefie na odcisk odrobinę za mocno, zdaje się. Ale, tak jak Jagoda, nie mogła się pozbyć wrażenia, że ta blond kolubryna była na taką okoliczność świetnie przygotowana. Jakby się chciała wynieść jak najprędzej. I oczywiście wiedziała, że je zostawia na lodzie. Nic im nie wytłumaczyła, nic nie przekazała, żadnych wskazówek... A najgorsze było to, że zabrała ze sobą kucharkę. W recepcji mogą siedzieć z Jagodą na zmianę, ale gotować? Cios poniżej pasa!

Całe szczęście, że jutro przyjeżdża znajomy Jagody, żeby obejrzeć księgi. Może on im wyjaśni chociaż podstawowe rzeczy. Przede wszystkim - skąd brać pieniądze. Muszą załatwić w banku upoważnienie, dowiedzieć się, jakie są pensje... Tylko dla kogo niby? Ze stałych pracowników został tylko ogrodnik. Sprzątaczką jest na przychodne, kelnerka też tylko w sezonie... Ale na pewno wszystkie trzy, które odeszły, będą chciały pensję za maj.

Głowa mi zaraz pęknie, jęknęła w duchu Lilka i ukryła twarz w dłoniach. Zachciało mi się hotelu! Jakby się matka dowiedziała.

- Hej, Lilka! - Jagoda wisiała w oknie i machała do niej gwałtownie ręką. - Wracaj! Kolację musimy robić.

- Dobrze, zaraz idę! - odskrzyknęła, nie ruszając się z miejsca. - Za pięć minut!

Może powinna zadzwonić do matki? Nie, matka jej raczej nie pomoże. Emilia miała w sobie silny rys histeryczny, który ujawniał się we wszystkich co trudniejszych momentach życia córek. Dostawała palpacji zarówno na wieść, że Lilka składa pozew o rozwód, jak i wtedy, kiedy dentysta usuwał Ewelinie ósemkę. Uważała, że gwałtowna reakcja odwraca uwagę od istoty problemu, i zdaje się miała rację. W dodatku była niezłą aktorką i od rzeczywistości do sztuki przechodziła płynnie i dowolnie, świetnie bawiąc się rolą.

Co dziwniejsze, kiedy odszedł ojciec, zachowała się idealnie. Nie robiła mu żadnych uwag ani awantur, rozstali się szybko i bezboleśnie. Potem przez dłuższy czas unikała mężczyzn, aż w końcu poznała Tadeusza - dobrze zapowiadającego się reżysera teatralnego. Zagrała w Warszawie w kilku jego sztukach, ale ponieważ lata mijały, a on ciągle się tylko dobrze zapowiadał, ktoś zaproponował mu dyrekcję teatru im. Osterwy w Lublinie. Przyjął, a Emilia z dziewczynkami pojechała za nim. Po dwóch latach z Lublina zrobiła się Bydgoszcz, potem Szczecin, w końcu Jelenia Góra, gdzie tkwił przez ostatnie pięć lat. Oczywiście matka wszędzie robiła za gwiazdę, choć widać było, że prowincja wychodzi jej już nosem. Tęskniła za stolicą, za byciem w centrum wydarzeń, ale na powrót na stołeczne sceny od dawna nie miała szans. Tym bardziej nie mogła zrozumieć, dlaczego Lilka chce się zaszyć na jakiejś wsi, choć tak naprawdę wcale nie musi. Nie, lepiej jej teraz nie denerwować. Zwłaszcza, że na dniach ma premierę...

A gdyby tak zadzwonić do Ewci?

Lilka wyciągnęła z kieszeni telefon. Najpierw usłyszała ostre: „Słucham”, a po chwili jeszcze ostrzejsze: „Zamknijcie się, rozmawiam, palanty jedne!”

- Ewuniu... - zaczęła dramatycznym głosem. - Musimy pogadać. Masz chwilkę?

- Nie mam. A coś się stało?
- Za długo by mówić... Może przyjechałabys do nas na noc?

Ewelina przez chwilę się zastanawiała.

- Wiesz co, nie wykluczam. Odezwę się. Pa!

- Pa - odpowiedziała Lilka smutno do pustej słuchawki. Już miała ją schować z powrotem, kiedy komórka znowu ożyła. Lilka spojrzała na wyświetlacz.

- Ewcia?

- Dobra, będę za godzinę. Co mam przywieźć?

- Wino - odparła szybko Lilka. - I duży kefir.

Godzinę później siedziały smętnie z Jagodą na fotelach obok recepcji. Na kolację podały gościom przywiedle parówki, znalezione w lodówce, i teraz modliły się w duchu, żeby na razie nikt więcej nie zwałił im się na głowę.

Dzwonek u drzwi zabrzmiał tak przenikliwie, że obie aż podskoczyły.

- Zamknęłaś? - zdziwiła się Jagoda.

- No zamknęłam, tak się jakoś nieswojo czuję. Kto tam?
- zapytała z ręką na zasuwie.

- Zgadnij, do cholery - dobiegł ją przytłumiony i zły głos młodszej siostry. - Co się tak barykadujecie? - Ewelina wparowała do środka energicznie, klepnęła Lilkę w plecy i podała jej dwie duże plastikowe torby z napisem „Carrefour”.

- Oj, zaraz barykadujemy. Na noc się zawsze dom zamyka.

- To nie dom. To hotel. A jak jakiś spóźniony wędrowiec zawita? - zachichotała Ewcia.

- To zadzwoni, tak jak ty. Zresztą mam nadzieję, że nie zawita...

Ewelina rozpięła zielony, krótki zakieciak i opadła na wolny fotel.

- Głupia! Powinno ci zależeć, żeby tu walili drzwiami i oknami!

Lilka z Jagodą spojrzały po sobie i nagle obie wybuchnęły śmiechem, cokolwiek nerwowym.

- Raczej nie! - wykrztusiła wreszcie z siebie Jagoda.

- Zaszły nowe okoliczności. Ale to ci wytłumaczymy za chwilę. Zostajemy tutaj czy idziemy do pokoju?

- Na wszelki wypadek zostanmy tutaj - zdecydowała Lilka. - Gdyby goście czegoś potrzebowali... Jagoda, przynieś z kuchni talerze. Aha, i kieliszki!

W torbach znalazła dwa serki Mnicha z zielonym pieprzem, fetę, mozzarellę, pomidorki koktajlowe, oliwki, kapary, same delikatesy. Na koniec wyciągnęła dwie butelki chilijskiego czerwonego wina.

- No proszę, moje ulubione - ucieszyła się. - Co ty, Ewuniu, bank rozbiłaś?

- Eee, nie. Tylko debet zrobiłam na nowej karcie. Fajna rzecz.

- Co, debet?

- Nie, nowa karta. - Ewelina podciągnęła nogi pod siebie i przyjrzała się uważnie dziewczynom. - Mówcie, jakie nowe okoliczności?

W kilku zdaniach wprowadziły ją w sytuację.

- Ale numer! - pokręciła z niedowierzaniem głową.

- Naprawdę wszyscy odeszli z tą cholerą?

- Niezupełnie - bąknęła Jagoda. - Ogrodnik został.

- No, to jesteście uratowane!

Na chwilę zapadła cisza, a potem wszystkie jednocześnie znowu zaczęły się śmiać.

- Oj, wy kobiety interesu... - odezwała się w końcu Ewelina, ocierając Izy z policzków. - Niezła jazda! Zdaje się, że musimy pomyśleć.

Przy stole zapadła cisza, przerywana tylko dochodzącym gdzieś z pobliskiej wsi szczekaniem psów. Wokół klosza

palącego się nad nimi na ścianie kinkietu krążyła wielka, kosmata ćma. Przez uchylone okno wpływał do środka wilgotny aromat ciepłej nocy.

- Jak na wakacjach, prawda? - westchnęła rozmarzona Lilka.

- Jakie tam wakacje - prychnęła Ewelina. - To raczej hu-fiec pracy.

- Albo obóz przetrwania - dodała Jagoda i znowu zaczęły rechotać. - Survival - wykrztusiła, dusząc się ze śmiechu. - To trzeba oblać, koniecznie.

Nalała wino do kieliszków.

- Fuj, ciepłe - mlasnęła językiem Ewelina. - A teraz do roboty, dziewczyny, do roboty! Musimy przyjąć jakąś strategię czy coś w tym stylu...

Zaczęły od szybkiej analizy aktualnej sytuacji. Miały na głowie hotel, troje gości, którzy planowali zostać do końca tygodnia, pełne biuro papierów, na których się nie znały, i pustą lodówkę. Za to nie miały: kucharki, recepcjonistki, pieniędzy oraz żadnego pomysłu, skąd je wziąć.

- Przecież musi być jakieś konto! - pokręciła głową Ewelina. - Albo jakaś kasa pancerna. Z tego, co pamiętam, to kiedyś trzymało się gotówkę w takich specjalnych metalowych kasetkach...

- Ty myślisz, że nie sprawdziłyśmy? - westchnęła Jagoda. - Żadnej kasetki nie ma, wyciągów z banku nie znalazłyśmy, nawet nie wiemy, jak się skontaktować ze Stefą... W godzinę się zabrała, niby taka obrażona, a przecież nie takiego się nie stało! Dobra, nieważne. Jutro przyjedzie Adam, taki mój kolega. Jest dyplomowanym księgowym, rozejrzy się w tym całym bałaganie. Jedno jest pewne - ruchu to tu za dużego nie ma.

- Kiedy byliśmy pierwszy raz, Stefa mówiła, że mają całkiem dużo gości... - westchnęła Lilka. - I upierała się, że nawet reklama nie jest potrzebna.

- No właśnie, kobitki, tym się trzeba jak najszybciej zająć. - Ewelina poprawiła się w fotelu i wyciągnęła przed siebie zgrabne nogi w czarnych legginsach. - Zadanie numer jeden. Priorytet, że tak się wyrażę. Teraz takie czasy, że najgorsze badziewie można sprzedąć, jak sieje tylko dobrze zareklamuje. No, nie patrzcie tak na mnie, przecież ten hotel to dno! Ale jakby się nim zająć, trochę zainwestować...

- Ewusiu, ale my nie mamy kasy. - wtrąciła Lilka.

- Po pierwsze - tego jeszcze nie wiemy, bo może na hotelowym koncie leżą sobie jakieś dzikie pieniądze i tylko czekają, żeby je brać. A po drugie, jak wylansujesz hotel, to ci się zwróci w pół godziny. Może nawet warto jakiś kredyt wziąć?

Lilka złapała się przerażona za głowę.

- Proszę cię, tylko żadnych kredytów!

Jagoda, niewzruszona, dolała sobie wina.

- Taa, już widzę, jak wylansujemy hotel „U Felicji” - stwierdziła z przekąsem. - Takie oryginalne miejsce, oryginalna nazwa, wszyscy walą drzwiami i oknami...

Ewelina wyprostowała się nagle i spojrzała na dziewczyny błyszczącym wzrokiem.

- No właśnie! Słuchajcie! Po prostu trzeba zmienić nazwę! Nazwę i image! Wymyślmy coś takiego, żeby ludzi przyciągało, intrygowało. To przecież nic nie kosztuje, tylko stary neon zdejmujemy. Do roboty, ruszcie głową! - Podekscytowana zerwała się z fotela i zaczęła zamaszystym krokiem chodzić po holu. - No, szybko!

Jej entuzjazm jakoś się dziewczynom nie udzielił. Lilka zajęła się wydlubowywaniem ostatniej oliwki z wąskiego słóiczka, Jagoda sączyła wino, kiwała nogą i całą sobą prezentowała skoncentrowany sceptycyzm.

- Jaki niby image? Rozejrzyj się. Jak my się możemy nazywać? „Zajazd Myśliwski”? Odpada, nie mamy na stanie ani jednego wypchanego łba. Hotel „Magnat”? I kupujemy

hurtem łoża z baldachimem? Przecież to musi się jakoś wszystko kupy trzymać!

- Jakby się miało kupy trzymać, to powinnyście się nazywać „Pod ordynarną blondyną” - przyznała Ewcia.

- Albo „Pod krzywym ryjem” - zachichotała Jaga.

- A to niby z czym się trzyma kupy? - Lilka dopadła wreszcie oliwkę, połknęła łączywie i zaczęła skubać pomidorki z pudełka.

- Z niczym, ale śmieszne. Wyobrażasz sobie szyld?

Zaczęły przerzucać się pomysłami, z których żaden oczywiście nie miał najmniejszej szansy wejść w życie. „Sfinks” odrzuciły ze względów oszczędnościowych, bo adekwatny do nazwy wystrój wnętrza musiałby kosztować krocie, „Nad srebrnym stawem” z powodu braku stawu, a „Pod gwiazdami”, bo sztampa.

- Może „Złota rybka”? - podrzuciła Jagoda.

- Fajne, fajne. A uzasadnienie?

- No, że spełniamy wszystkie życzenia klientów...

- Odpada.

- Dlaczego?

- Perwersja. Myśl dalej!

W końcu, osłabione ze śmiechu, zaczęły odczuwać wyraźny wpływ wina na organizm.

- Dziewczynki, kręci mi się w głowie - oświadczyła uroczyście Lilka. - A wam?

- A nam też - przyznała Jagoda. - Jeszcze chwila i padniemy tutaj nieprzytomne. Wiecie co, może byśmy się przeszły?

- Tylko nie za daleko - zastrzegła Lilka. - Dookoła domu i wracamy.

Wstały od stołu i wyszły do ogrodu przez taras. Było bardzo ciemno. Nie wzięły ze sobą latarki, zresztą nawet gdyby chciały, to i tak nie wiedziałyby, skąd ją wziąć, a tymczasem księżyc w nowiu schował się asekuracyjnie za chmurami. Za to powietrze, nareszcie rześkie, przyjemnie je ożywiło i

do dało energii. Kiedy po chwili ich oczy przyzwyczyły się trochę do mroku, Ewelina pociągnęła je dalej. Po otwartej przestrzeni trawnika poruszały się dosyć pewnie, dopiero między tujami zrobiło się im trochę nieswojo.

- A jak ktoś na nas wyskoczy? - zainteresowała się Jagoda. - Nie, żebym się bała, ale rozumiecie...

- Zaraz tam wyskoczy! Myślisz, że bandyci to już nic nie mają do roboty, tylko siedzieć w naszym ogrodzie i czekać, a nuż ktoś na spacer wyjdzie? W środku nocy? Puknij się w czółko! Auu! - Ewelina potknęła się o coś w ciemności. - Coś tu stoi. Duże. Ściana. Co to?

Wyszły spomiędzy żywopłotów na otwartą, odrobinę jaśniejszą przestrzeń.

- Jak to co? Przecież garaż!

- Garaż? To może ja tu na noc wprowadzę auto? - zainteresowała się Ewelina. - Macie klucz?

- Skąd ja mam wiedzieć? - westchnęła z pretensją w głosie Lilka. - Pewnie gdzieś jest, za miesiąc, dwa znajdziemy.

Ewelina podeszła do szerokich, drewnianych drzwi i od-ruchowo nacisnęła klamkę.

- Ale jaja, wcale nie jest zamknięte - zdziwiła się. - Zajrzemy?

I zanim dziewczyny zdążyły odpowiedzieć, otworzyła garaż na oścież. W środku zastały ciemność tak skon-densowaną, że można ją było kroić nożem.

- Ewuś, lepiej nie wchodzić, proszę! - Lilka złapała siostrę za rękaw i lekko się zachwiała. - Nie wiadomo, co tam jest. Może dziura?

- E tam, dziura - mruknęła Ewelina i wsunęła się ostrożnie do środka. - Poczekajcie, powinno być jakieś światło, poszukam.

Zaczęła obmacywać ścianę po prawej stronie wejścia i w końcu natrafiła palcami na kontakt. Niewielką przestrzeń

zalało ostre światło gołej żarówki zawieszonej pod sufitem. Dziewczyny aż zmrużyły oczy.

- Niemożliwe - westchnęła w zachwycie Jagoda.
- O Boże - jęknęła w tym samym momencie Lilka.
- Zajebisty... - wydusiła z siebie Ewelina. - Ale odjazd!!!

Przed nimi stał samochód. Konkretnie - trabant. Jednak nie jego marka była najbardziej szokująca. Najbardziej szokujący był kolor. Pomimo grubej warstwy kurzu, pokrywającego karoserię, auto przyciągało wzrok intensywną, jaskrawą zielenią.

- Czegoś takiego w życiu nie widziałam! Jakby mi ktoś powiedział, to bym nie uwierzyła. Ludzie pieniądze powinni płacić, żeby to oglądać. Wycieczki całe! No, śliczny, odlotowy, aż zęby bołą, jak się na niego patrzy - cmokała Ewelina, obchodząc autko dookoła. - Czyj on jest?

- Pewnie ciotuni nieboszczki - wzruszyła ramionami Jagoda.

- Ciekawe, czy na chodzie - mruzczała pod nosem Ewcia.
- Jezu, jakbym takim przed komendę zajechała... Chłopcy by umarli!

- Chyba ze śmiechu - Jagoda była dużo bardziej sceptyczna. - Przecież to zabytek! W dodatku plastikowy!

Ewelina pokręciła głową z niezadowoleniem.

- Nie znasz się, Jagoda, po prostu się nie znasz, więc ci wybaczam. Jutro musimy poszukać kluczyków, koniecznie!

Przez ten czas Lilka, której chilijskie czerwone ciągle szumiało w głowie, stała oparta dla pewności o ścianę i przyglądała się autku z uśmiechem na ustach.

- Śliczne jest - odezwała się w końcu. - Takie... wesolutkie. Trabant... Zielony trabant. Nikt takiego nie ma na świecie. Coś się dziwnie czuję...

- Dobrze mówisz, siostra - pochwaliła ją Ewelina. - Nikt nie ma. Mówię ci, pięć złotych za bilet. - Podniosła się z brudnej podłogi, na której klęczała, obmacując opony. - Wiem! - krzyknęła nagle. - WIEM! WIEM! WIEM!

- Wiesz co? - zdziwiła się Jagoda.

- Słuchajcie! Wymyśliłam nazwę!!! POD ZIELONYM TRABANTEM!!! No, co wy na to?

- Przepraszam, będę rzygać - oświadczyła Lilka i wybiegła na dwór.

ROZDZIAŁ 10

Po raz kolejny w ciągu ostatnich pięciu minut spojrzął na zegarek. Duża wskazówka zakryła szóstkę. Dlaczego Zebra nie dzwoni? W tym momencie, jak na zawołanie, zabręczała komórka. Odebrał szybko, nawet nie patrząc.

- Halo?

- Jestem.

Nie wiadomo dlaczego Kamil poczuł nagle, jak po plecach przebiega mu dreszcz niepokoju.

- Tak, tak, już otwieram.

Podszedł do drzwi, przeciągnął kartą przez czytnik, chwycił za klamkę i stanął twarzą w twarz z uśmiechniętym szeroko Zebra.

- Wchodź - cofnął się, żeby zrobić miejsce, a Zebra zwinnie wsunął się do środka.

- Szybko, tędy! - Minęli pustą dyżurkę ochrony i wewnątrz, oszklonymi drzwiami wydostali się na korytarz. Kamil prowadził w kierunku windy dla personelu. Dopiero kiedy do niej wsiedli, wyciągnął rękę do Zebry.

- No, cześć.

- Cześć, stary. Nieźle to wymyśliłeś. Wejście od strony dworca... Dużo ludzi tędy wchodzi? - uściśnął mu dłoń.

Kamil uśmiechnął się z satysfakcją.

- A tak, sporo. Cała kuchnia, pralnia, technicy... Normalnie w dyżurce siedzi ochroniarz, ale zawsze o wpół do pierwszej idzie na górę na obiad.

- Nie pieprz! Na obiad? W nocy?

- Wiesz, w kuchni jest przygotowany specjalny bufet dla nocnej zmiany. Wszystko to, co zostało z kolacji. Jak ktoś oszczędny, zje tutaj, zamiast w domu.

Wysiedli na pierwszym piętrze i przeszli szybko do szatni pracowniczej.

- Trzymaj - Kamil podał Zebrze białą kurtkę i spodnie, identyczne jak te, które sam miał na sobie. - Lepiej będzie, jak się przebierzesz. Prawie wszędzie są kamery, nie chcę mieć nieprzyjemności.

- Ty masz, stary, kiepele - Zebra spojrzął z uznaniem, a potem zaczął się szybko przebierać. Swoje ciuchy wrzucił do metalowej szafki, w której leżały już rzeczy Kamila.

- A to co? - machnął ręką, wskazując na leżące na wierzchu kolorowe pudełko z antenką.

- A to, tego, moja aparatura... no wiesz, taki pilot do modeli. Z naprawy właśnie odebrałem.

- Kurde, ale masz facet zajoba - Zebra puścił do niego oko. No to prowadź, szefie.

Podczas spotkania w pubie Kamil od razu się zorientował, że Zembrę najbardziej interesuje jego praca. W końcu to nie byle co być kucharzem w pięciogwiazdkowym hotelu, nawet jeżeli pracuje tam dziesięciu takich jak on. Imponują im, pomyślał i bardzo mu się to spodobało. Nareszcie ktoś poświęcał mu uwagę. Nareszcie czuł się dla kogoś ważny. Pewnie dlatego przez ponad dwie godziny tak chętnie odpowiadał na różne pytania, opisując ze szczegółami hotelową kuchnię, zaplecze i wnętrza. Nad tym, do czego mogą być te informacje potrzebne, wołał się nie zastanawiać. A kiedy Zebra zapytał, czy mógłby to wszystko zobaczyć na własne oczy, Kamil bez namysłu zgodził się go oprowadzić.

Dopiero następnego dnia, kiedy trzy kufle piwa ostatecznie z niego wyparowały, poczuł w żołądku niepokój, ale oczywiście było już za późno, żeby się wycofać.

Gdyby matka wiedziała, że o pierwszej w nocy kręcę się po hotelu z gangsterem, byłoby źle, pomyślał odruchowo. Natomiast gdyby o tym wiedziała hotelowa ochrona, byłoby jeszcze gorzej, więc ostrożnie wyjrzał na korytarz, żeby sprawdzić, czy nikt nie idzie. Było pusto. W nocy mało kto się tutaj pokazywał i właśnie dlatego wybrał tak późną porę. W dzień by się na to nie odważył. Wszędzie gwar, zamieszanie, pośpiech - cztery kuchnie na pełnych obrotach, kelnerzy z room service'u popychający wózki nakryte białymi obrusami, pokojówki próbujące zdążyć ze zmianą pościeli i przygotowaniem pokoiów do dwunastej, kiedy zacznie się kolejna hotelowa doba i pojawi nowych kilkuset gości.

Ruszyli wąskim korytarzem, wyłożonym czarno-białą szachownicą wytartych płytek PCV. Nad ich głowami biegła płatanina srebrzystych rur. Kamil czuł się nieswojo. Nie tylko dlatego, że bał się konsekwencji, gdyby ktoś się zorientował, że oprowadza obcego po zapleczu. Krępowała go dziwna, trochę złowroga obecność Zebry, jego lakoniczność i uważne spojrzenie, którym badał wszystko dookoła, Kamila również. Nawet kiedy żartował albo zadawał proste pytania, Kamil czuł gdzieś pod skórą nieprzyjemne mrowienie strachu. Po cholere go tu wpuszczałem, pomyślał. Żeby nie było z tego jakichś kłopotów...

- Kurwa mać! - Zebra zaczepił nogą o zagradzający przejście elegancki fotel, zupełnie nie pasujący do obskurnego wnętrza.

- Tu zaraz jest stolarnia - wyjaśnił szybko Kamil. - Reperują meble, zniszczone przez gości. Jest tego trochę. A w tamtej części pralnia. Nie wejdziemy do środka, bo o tej porze zamknięta, ale mówię ci, zajmuje z pół piętra. Stary, tam to dopiero mają niezły zasuw, jak jest duże obłożenie, to codziennie trzeba kilkaset łóżek zrobić.

Z prawej strony minęli duże, jasno oświetlone, oszklone pomieszczenie.

- Ja pierdziele, biuro rzeczy znalezionych? - przeczytał zdziwiony Zebra na wyblakłej tabliczce nad okienkiem.

Skręcili w lewo i do razu zrobiło się wyraźnie chłodniej.

- Ten smród to z naszej rzeźni - wyjaśnił Kamil.

Rzeczywiście, w powietrzu pojawił się mało przyjemny zapach.

Kilkadziesiąt metrów dalej zatrzymali się przed szerokimi, metalowym drzwiami.

- To rampa, tu podjeżdżają samochody z zaopatrzeniem. Nie będziemy tam wchodzić, tylko zajrzemy. Wiesz, w środku jest pełno kamer.

Wnętrze było wielkości sporego boiska i pomimo późnej pory niezwykle jasno oświetlone.

- Mówisz, że pilnują, tak? - Zebra przez dłuższą chwilę ogładał uważnie pomieszczenie. - Od której strony jest wjazd?

- Od tej małej uliczki na tyłach... Ale każdy samochód musi mieć specjalną przepustkę. Dobra, teraz podejźmy schodami na drugie piętro, pokażę ci kuchnię. - I zaraz skończymy, pomyślał jednocześnie i poczuł ulgę.

Kuchnie były cztery. Pierwsza, największa, w której pracował Kamil, wyglądała trochę jak laboratorium. Stalowe blaty, stalowe szafki, stalowe ciągi półek, a wszystko utrzymane w sterylnej czystości. Jedynym kolorowym akcentem była tablica ze zdjęciami potraw.

- Żeby było wiadomo, jak co ma wyglądać na talerzu - wyjaśnił Kamil. - Teraz tu pusto, ale żebyś zobaczył to zamieszanie rano, kiedy kilkaset śniadań musi na salę wyjść...

Dalej obejrzeni kuchnię room service'u, dużo mniejszą, przed którą stało kilkadziesiąt wózków przykrytych białymi obrusami i czekających na swoją kolej, potem kuchnię restauracji włoskiej i wreszcie na koniec - bankietową, używaną zdecydowanie rzadziej niż pozostałe.

- Czyli, jak nie ma żadnej większej imprezy, to nikt tutaj nie pracuje? - upewnił się Zebra. Kamil skinął głową.

- Czasami chłopaki przychodzą tu na fajkę. Wszędzie, w całym hotelu czujniki dymu zainstalowali, już kilku chłopaków porządnie złało, jak dmuchnęli nie tam, gdzie trzeba. Za to w tej knajpie czujniki są inaczej ustawione, można popalać. A kiedyś niezły numer był, bo ogłosili alarm bombowy i ewakuację hotelu. Zima, mróz... Strasznie ludzie złorzeczyli, wychodzić nie chcieli... W każdym razie jak już wszystko odwołano i można było wrócić do pracy, to się okazało, że dwóch kucharzy po prostu przeczekalo w bankietowej, razem z butelką koniaku... - umilkł zdziwiony, że tak się nagle rozgadał.

- Czyli co, jak jest taki alarm, to ewakuują cały hotel?

- Pewnie! Cholerne zamieszanie się wtedy robi, ale nie mogą przecież ryzykować. - Kamil spojrział na zegarek. - Na tym piętrze już nic interesującego nie ma. Ale jak chcesz, to możemy jeszcze zejść do podziemi, pokażę ci nasz basen. - Bardzo chciał mu zaimponować ekskluzywnością otoczenia.

- Chrzanić basen. I tak już się tutaj za długo kręcimy. Tylko mi jedną rzecz powiedz. Jak się stąd wychodzi na hotel?

- Na hotel? - zdziwił się Kamil. - No dobra, zaraz ci pokażę.

Zawrócili, przeszli znowu obok kuchni, minęli służbową windę i weszli w ciasny, ciemny korytarzyk.

- To przejście tymczasowo wydzielili z części restauracyjnej. Zobacz, płyty karton gips, prowizorka, ale jak postawili pięć lat temu, tak ciągle stoi.

Zatrzymali się przed drzwiami.

- Z tamtej strony są zamaskowane, żeby się tu goście nie pakowali.

Nacisnął klamkę, pociągnął i ich oczom ukazało się zalane jasnym światłem, błyszczące i eleganckie wnętrze hotelowego lobby, a dokładnie naprzeciwko, po drugiej stronie holu, gwarne i kolorowe, wypełnione graczami - kasyno.

- O kurwa - podsumował Zebra.

ROZDZIAŁ 11

Następnego ranka Ewelina, która nocowała w jedyńce na parterze, wygrzebała się najwcześniej, powodowana obsesją motoryzacyjną. Zielony trabancik śnił jej się tej nocy kilkakrotnie, jasne więc, że pierwsze kroki skierowała prosto do garażu. Na gwoździu wbitym w ścianę po prawej stronie drzwi znalazła kluczyki z metalowym breloczkiem w kształcie czterolistnej koniczyny. Przez chwilę ważyła je w dłoni, po czym otworzyła auto i wsunęła się do środka.

Ceratowe siedzenie z niskim oparciem ugięło się pod nią z lekkim sykiem. Usadowiła się na nim wygodnie, przyglądając z rozrzewnieniem starym, nietypowym zegarom i pokrętłom... Potem pogładziła czule szeroką kierownicę, opatuloną puszystym pokrowcem w białobrązowe paski i przesunęła palcem po dziwnej, charakterystycznej dla trabantów dźwigni biegów, zwanej klamką, umieszczonej bezpośrednio w desce rozdzielczej. W końcu włożyła kluczyki do stacyjki, pociągnęła za gałkę ssania, wstrzymała oddech i spróbowała zapalić.

Silnik nawet nie drgnął.

Cholera! - sarknęła Ewelina pod nosem, rozejrzała się niecierpliwie i nagle coś sobie przypomniała. Odszukała dłonią mały kranik i pokręciła nim, żeby paliwo, o ile w ogóle było jakieś w baku, mogło popłynąć do silnika. Znowu przekręciła kluczyk.

Bez rezultatu.

Westchnęła ciężko. Właściwie to nawet nic dziwnego. W końcu nie wiadomo, jak długo tu stoi. Nagle coś jeszcze przyszło jej do głowy. Wskoczyła z auta i zajrzała pod maskę.

Kiedy po jakimś czasie opuszczała garaż, pod pachą taszczyła wymontowany, przedpotopowy akumulator. Włożyła go troskliwie do bagażnika swojego suzuki i ruszyła na poszukiwania najbliższego kranu.

Pięć minut później skończyła myć ręce pod kuchennym zlewem, ale coś ją tknęło, żeby zajrzeć do stojącej obok lodówki. Otworzyła ją więc, omiotła wzrokiem puste półki, po czym ruszyła do pokoju po portfel.

Po powrocie z miasteczka z zakupami, zastała dziewczyny już na nogach, w kuchni, w zaskakująco dobrej formie jak na przebieg poprzedniego wieczoru.

- Właśnie się zastanawialiśmy, gdzie jesteś - przywitała ją Jagoda znad zlewu.

- A nie zastanawialiście się czasem, co dać gościom na śniadanie? - spytała z lekkim sarkazmem w głosie Ewelina, rzucając na kuchenny stół trzy siaty pełne jedzenia.

- Wasze zakupy, proszę bardzo. Wisicie mi sześć dych, tu jest rachunek, pewnie go trzeba zaksięgować.

- Aż sześćdziesiąt złotych? - zdziwiła się Lilka, która właśnie zawiązywała sobie w talii fartuszek w błękitną kratkę. - Przecież to tylko śniadanie.

W zielonych oczach Eweliny błysnęła irytacja.

- Owszem, ale dla sześciu osób. Wiesz co, mama miała rację. Ty chyba naprawdę nie masz pojęcia, ile co kosztuje.

- Dobra, dziewczynki, nie kłóćcie się - zainterweniowała Jagoda, związując włosy w niedbały kok. - Ewka, pokrój chleb, ty, Lilka, pomidory, a ja rozłożę wędlinę. Już za piętnaście ósma, zaraz goście przyjdą.

Ewelina, kręcąc się po kuchni, przeżywała wciąż wizytę w wiejskim, zapyziałym sklepiku.

- Przyglądali mi się, jakbym miała dwie głowy. Czy któraś z was wie, gdzie tu są jakieś deski?

- Deski tam - pokazała palcem Jagoda. - Zorientowali się, że jesteś z hotelu?

- Nie musieli, sama powiedziałam. Dobra, chleb pokrojony. Co teraz?

- Wybij jajka do miski, zrobimy jajecznicę.

Kiedy usłyszały trzaśnięcie drzwi, prowadzących na stół, były już właściwie gotowe. Lilka z tacą zastawioną talerzami i miseczkami poszła zebrać zamówienia, a Jagoda zalała wrzątkiem herbatę w dzbanku.

- Wiesz co, gotowanie dla trójki gości da się opanować - stwierdziła z dumą.

- Tylko że to nie było gotowanie - zwróciła uwagę Ewelina. - Na waszym miejscu dałabym jak najszybciej ogłoszenie: „Kucharke na pełny etat z mieszkaniem przyjmę. Pensja do uzgodnienia”. Mówię serio.

- E tam, poradzimy sobie jakoś - Jagoda była nastawiona optymistycznie. - Ja akurat nie mam żadnych tłumaczeń, to się mogę zająć kuchnią. Zresztą prawdopodobnie nie stać nas na żadną pensję, nawet „do uzgodnienia”.

Lilka wróciła z jadalni, rzuciła szybko: „Nikt nie chce jajecznicy”, nerwowo złapała dzbanki z herbatą i znowu pobiegnęła na salę, o mały włos nie przycinając sobie drzwiami długiej, słonecznożółtej spódnicy.

- Chodźcie, też sobie zjemy - zaproponowała Jagoda, kiedy Lilka znowu się pojawiła, i zaczęła rozstawiać na kuchennym stole talerzyki. Po chwili wszystkie trzy zajadały się świeżym, wiejskim chlebem z chrupiącą skórką, szynką domowej roboty i innymi miejscowymi frykasami.

- To co, dziewczynki, zmieniamy nazwę tej budy? - spytała Ewelina, smarując białe ser powidłami śliwkowymi.

- Bo ja wiem... - Lilka nie była zachwycona. - Trochę dziwnie brzmi... „Pod Zielonym Trabantem”? Z czym ty to chcesz powiązać?

- Z bitwą pod Grunwaldem. No, przecież żartuję - jęknęła, widząc zdezorientowaną minę siostry. - Powiążemy ślicznie z tym zabytkowym cudeńkiem w garażu. Uruchomimy je, zaparkujemy przed domem, niech stoi i przyciąga ludzi. Do tego dorobimy legendę lat siedemdziesiątych, rozumiesz? Socrealizm podobno w modzie. I nie będziemy walczyć z tą okoliczną potworną brzydotą, tylko ją wyeksponujemy i wykorzystamy jako atut. Przerysuje się pewne rzeczy, naznosi gadżetów... Zrobimy kultowe miejsce, będą walić tłumy. Mówię wam!

Jagoda pokręciła z uznaniem głową.

- Lilka, posłuchaj, ona naprawdę niegłupio gada z tym socrealizmem! Trochę odpowiednich gadżetów i gotowe. Na przykład u moich rodziców na strychu widziałam adapter Mister Hit! Mogłybyśmy go ustawić w recepcji i puszczać czarne winylowe płyty! Dla starszych to wspomnienia, dla młodszych skansen. A wyobrażacie sobie, jaki rarytas dla gości z zagranicy?!

- Do gości z zagranicy to jeszcze nam daleko... Zasięg reklamy jakby, hm... za słaby. - Ewelina wypila do końca herbatę i odstawiła kubek i talerzyk do wielkiego, żeliwnego zlewu. - Coś zmywarki do naczyń nie widzę - zauważyła. - I może być trudno dokupić tak, żeby z konwencji nie wypaść. - zaczęła się śmiać, ale zaraz spoważniała. - No, dobra, muszę lecieć. To co, dać w poniedziałkowej „Wyborczej” ogłoszenie o kucharce?

- Czy ja wiem? Może jednak sobie poradzimy...

- Jasne, jasne, już to widzę. Trzymajcie się dzielnie, zadzwonię po pracy. I pamiętajcie: „Pod Zielonym Trabantem”!

Trzasnęła drzwiami i już jej nie było. Jagoda zawinęła rękawy turkusowej bluzki z indyjskiej bawełny.

- No dobra... Ja zmywam, ty sprzątasz w jadalni. Potem siadamy i wymyślamy, co zrobimy na obiad. I przypomnij mi, żebyś zadzwoniła do Adama i zapytała, o której przyjeździe. Coś wspominał, że koło trzeciej, ale lepiej się upewnić. Jak myślisz, czy ogrodnik to się tutaj stołuje?

Okazało się, że tak. Pojawił się na progu kuchennych drzwi chwilę później, wytarł dokładnie uwalane ziemią kalosze, kazał swojemu psu zostać na wycieraczkę, po czym wszedł i rozejrzał się zdziwiony.

- A Maria to gdzie?

- Pani Maria odeszła z pracy. Wczoraj. Tak więc... na razie my będziemy gotować. Proszę, niech pan siada. Usmażyć panu jajecznicę?

Stary usiadł, obrażony i, mrużąc coś pod nosem, sięgnął po kawałek chleba, leżący w koszyku na stole. Rwał go na spore, równe kawałki i wkładał do ust. Przeżuwając powoli obserwował spode łba, jak Lilka krząta się przy kuchence.

- Jaką pan lubi? Wysmażoną czy lekko ściętą?

Nie uzyskawszy odpowiedzi wzruszyła ramionami i wylała jajka na patelnię.

Ale gbur, pomyślała. Ciężko chyba się będzie z nim dogadać.

A może on też myśli o odejściu?

Sprzątanie po śniadaniu zajęło im niecałe pół godziny. Właśnie kiedy kończyły, rozległo się pukanie do kuchennych drzwi. Lilka popatrzyła na Jagodę, Jagoda na Lilkę.

- Proszę - powiedziały jednocześnie.

Do środka najpierw wsunął się wielki, wiklinowy kosz, a tuż za nim kwiecista spódnica i obfite ciało sprzątaczk.

Mazurowa. Rozejrzała się po kuchni uważnie i jakby z lekką obawą.

- Dzień dobry pani, prosimy dalej - ucieszyła się Lilka.

Kobiecina władowała się do środka, strzelając oczami na prawo i lewo.

- A dzień dobry, dzień dobry! Ja umówić się na robotę przyszłam. No i jajeczka przyniosłam. Marylki dziś nie ma?

- Pani Marii? Niestety nie.

- Aha, bo tak właściwie to ja do kierowniczkii...

- Pani Stefy również nie ma. I raczej nie będzie. Zaszły, hmm, pewne zmiany...

Mazurowa aż przysiadła na metalowym taborecie.

- Czyli prawdę ludzie mówili, że wczoraj taksówka po kierowniczkę przyjechała! Wierzyć mi się nie chciało, że niby jak? Kto teraz będzie hotel prowadził? A moja sąsiadka to jeszcze gadała, że i Maria odeszła, podobno prosto na plebanię, dla proboszcza gotować. No, kto by pomyślał, kto by pomyślał... - kręciła głową. Nagle się wyprostowała. - Ale mnie panie nie wyrzuca? - spytała z obawą w głosie.

Lilka westchnęła.

- My pani Stefanii nie wyrzuciłyśmy, sama odeszła. I pani Maria też. - Zauważyła w oczach kobiety niepomierne zdziwienie. - Jak byłyście umówione na sprzątanie?

- Przychodziłam codziennie albo co drugi dzień, a już szczególnie, jak jakiś gość wyjeżdżał. Kierowniczka płaciła za godziny, różnie mi schodziło... No i pranie robiłam. Tylko do magła, to wozili aż do Czerwińska...

- Więc chyba na razie zostanie tak samo. Tylko musi nam pani swój numer telefonu zostawić, pani... przepraszam, jak pani ma na imię?

- Eulalia - przypomniała z dumą kobieta. - Ale nie wiem dlaczego wszyscy do mnie Mazurowa mówią... Nawet mąż - westchnęła. - Pani da kartkę, zapiszę ten numer.

Lilka podała jej znaną na parapecie poślódką pocztówkę i ogryzek ołówka, tkwiący w filizance z obtłuczonym uszkiem obok kilku pinezek, spinaczy i waniliowego zapachu do ciasta. Patrzyła zdziwiona, jak Mazurowa zdejmuje zegarek i, przygryzając język, przepisuje z mozołem cyferki, zapisane na wewnętrznej stronie skórzanego paska.

- Proszę - oddała Lilce kartkę.

- O! Na komórkę? - wyrwało się Jagodzie, która zajrzała przyjaciółce przez ramię.

- Ano! - w głosie Mazurowej zabrzmiała prawdziwa dumą. - Wnuczek mi kupił, bo w Warszawie mieszka, a lubi wiedzieć, co u mnie słychać. Tylko pamięć już nie ta, więc sobie numer zapisałam tak, żeby go zawsze mieć pod ręką - zachichotała, zachwycona własnym żartem. - To ta... no... nokia, ale aparatu fotograficznego to nie ma. Chcą panie zobaczyć? - Zaczęła się macać po spódnicy, jednak dziewczyny zgodnie zaprotestowały.

Mazurowa westchnęła.

- I tak nie wzięłam. Ale w domu leży, w kuchni, i zawsze słyszę, jak dzwoni. Rety, przecież ja jajka przyniosłam - przypomniała sobie i zaczęła wyjmować z koszyka tekturowe wytłoczki.

- Dobrze się teraz moje kurki niesą. Trzydzieści mam dla pani, ale pudełeczka na wymianę poproszę. Tam pod zlewem powinny być.

Lilka schyliła się i wyjęła z szafki trzy puste pojemniki.

- Proszę - podała kobiecie. - Pani tu od dawna pracuje?

- Ano, od początku. Jak pani Rudnicka ten hotel kupiła, to szukała we wsi ludzi do pomocy. Tylko wtedy młodsza byłam, więcej siły miałam. No i więcej tych... gości bywało, to i było co robić. Trochę sprzątałam, trochę w kuchni pomagałam... Bardzo to była dobra pani, ta pani Felicja.

- Chętnie bym kiedyś posłuchała więcej na temat ciotki. Właściwie jej nie pamiętam, a przecież to bliska rodzina... Natomiast jeśli chodzi o sprząatanie, to dzisiaj mogłaby się pani zająć tymi pokojami, w których mieszkała kierowniczka. Tak porządnie, dobrze? Aha, jeszcze coś. Nie orientuje się pani, czy tu w okolicy nie ma jakiegoś kucharza, który by chciał u nas pracować?

Mazurowa energicznym ruchem nogi wepchnęła koszyk pod stół, zebrała spódnice i podeszła do drzwi od jadalni.

- Gdzie tam! Kucharz? Tutaj? Szefowo kochana! Młodzi do miasta uciekają, a starzy nie mają tyle siły, żeby cały dzień stać przy garach. Tak mi się jakoś zda je, że będą panienczki same musiały gotować. Ale to i nic trudnego przecież - uśmiechnęła się do nich porozumiewawczo i zniknęła za drzwiami, pozostawiając dziewczyny w nie najlepszych nastrojach.

* * *

- I co, jaka jest sytuacja? - Jagoda oparła się o biurko i nachyliła w kierunku Adama. Zbliżała się ósma. Właśnie przed chwilą skończyły sprzątać po kolacji i, nie mogąc już wytrzymać z ciekawości, zajrzały do dawnego biura Stefy sprawdzić, jak księgowemu idzie praca.

- Lepiej usiądźcie - Adam wskazał im krzesła. - Musimy porozmawiać.

Przez następną godzinę słuchały uważnie tego, co miał im do powiedzenia. Analizował rachunki, tłumaczył zależności i próbował wyjaśniać to, czego i tak nie były w stanie pojąć. Kiedy skończył, Lilka miała prawie łzy w oczach, a Jagoda nerwowo wyłamywała sobie palce.

- Wszystko pięknie - odezwała się w końcu - ale nic nie rozumiem. Poproszę wersję dla blondynek.

Mężczyzna westchnął i zaczął jeszcze raz.

Trochę czasu zajęło, zanim pojęły wreszcie, o co chodzi.

Po pierwsze, piękna Stefa robiła finansowe przekrety. Na różne sposoby. A ponieważ nikt jej nie kontrolował, sumki, które wyciekały do jej kieszeni, były całkiem znaczące, co tłumaczyło to pozornie nagłe, choć najwyraźniej zaplanowane wcześniej odejście.

W konsekwencji tego oraz, jak to fachowo nazwał Adam, braku odpowiedniego obłożenia, kondycja finansowa hotelu była, delikatnie mówiąc, niezadowolająca. W związku z tym, jeżeli natychmiast czegoś nie zrobią, trzeba będzie wszystko sprzedać.

Ale najbardziej niepokojący, przynajmniej w bezpośredniej perspektywie, był przyjazd grupy emerytowanych nauczycieli z Radomia. Już za tydzień. Z pełnym wyżywieniem. Rezerwacji dokonano na początku maja, zaliczka dawno wpłynęła, ale oczywiście w tej chwili nie zostało po niej nawet wspomnienie.

- A nie masz ty dla nas jakiejś pozytywnej informacji?

Adam zamyślił się.

- Całe szczęście, że się teraz za to bierzecie - stwierdził po chwili. - Jeszcze jeden taki sezon i nie byłoby co zbierać.

Jagoda patrzyła przez chwilę za odjeżdżającym samochodem, a potem wróciła do holu i zamknęła drzwi na zasuwkę. Lilka siedziała na wysokim krześle za ladą recepcji i ryczała bez skrępowania nad hotelową książką gości.

- Jagódka! - szlochała. - Przepraszam cię! Przepraszam, ja nie chciałam!

- Lilka, nie przejmuj się, wiesz, że przy mnie możesz płakać spokojnie, ile chcesz. Tylko nie w ten zeszyt, bo się kartki posklejają...

- Ale nie o to chodzi! - chlipnęła Lilka i otarła zasmarkany nos skrawkiem papieru toaletowego, podanego przez przyjaciółkę. - Nie ciągnęłabym cię tutaj ze sobą, gdybym wiedziała, co nas czeka!

Jagoda pogłaskała ją po głowie.

- Dziecino, co nas niby czeka? Trochę pracy? I bardzo dobrze. We dwie zawsze raźniej. Wyobrażasz sobie, jakbyś się teraz czuła, gdyby mnie z tobą nie było? Weź się w garść, zadzwoń do Eweliny i każ jej jutro z samego rana zamawiać ogłoszenie: „Kucharki na stałe, z za mieszkaniem, poszukuję. Warunki do uzgodnienia.”

ROZDZIAŁ 12

Kamil wracał właśnie z kiosku z krzyżówkami dla matki, kiedy na ławce przed blokiem dostrzegł siedzącego Zebra. Gdyby nie to, że i Zebra zauważył jego, Kamil pewnie by zawrócił i uciekł. Spotkanie z tym facetem było ostatnią rzeczą, o jakiej marzył.

Zwolnił, obserwując go z niechęcią. Jasna, płócienna kurtka, czarny t-shirt, wąskie dżinsy, adidas - w tym wydaniu Zebra nie wyglądał groźnie, wyglądał normalnie. Przeciętny trzydziestolatek czekający na swoją dziewczynę albo matkę.

Tyle że Zebra nie czekał na dziewczynę, czekał na Kamil. Podniósł się powoli i zrobił kilka kroków w jego stronę. Szeroki uśmiech rozjaśnił mu twarz, ale w oczach pojawiły się twarde błyski.

- No, stary, co jest? Dzwonię do ciebie od rana, a ty nie odbierasz. Gadać ze mną nie chcesz? - powiedział i nie zabrzmiało to jak żart. Wyciągnął na powitanie rękę.

Kamil uściśnął ją lekko swoją drżącą i wilgotną dłonią.

- Ja... - zająknął się niezręcznie - ja nie słyszałem...

Zebra przez chwilę mierzył go uważnym spojrzeniem.

- Dobra, nie tłumacz się. Chcesz fajkę? - wyciągnął w jego stronę paczkę Marlboro.

- Nie palę.

Zapadła niezręczna cisza. Zebra powoli wyjął papierosa z pudełka, włożył między wargi i zapalił wyjętą z kieszeni dżinsów starą, ciężką zapalniczką na benzynę. Kamil czuł

się coraz bardziej nieswojo. Przełożył gazety do drugiej ręki i zaczął nerwowo przestępować z nogi na nogę. Zebra zaciągnął się głęboko.

- Jest sprawa, musimy pogadać. Tylko nie tutaj. Chodź za winkiel.

Nie czekając ruszył wąską asfaltową uliczką, biegnącą między blokami. Kamil, czując coraz silniejszy skurcz niepokoju w żołądku, posłusznie poszedł za nim.

Nie widzieli się od tamtej nocy, kiedy Zebra zwiedzał zaplecze hotelu. Na szczęście ta wizyta nie miała żadnych konsekwencji. Nikt się o niczym nie dowiedział i wydawało się, że Zebra zniknie z jego życia równie nagle, jak się w nim pojawił. A jednak Kamil cały czas podświadomie czuł, że to jeszcze nie koniec.

Telefon od Zebry dzisiejszego ranka tylko potwierdził jego obawy. Dlatego postanowił nie odbierać. Oczywiście, to nie było rozwiązanie, zwłaszcza że Zebra nie miał zamiaru zrezygnować. Dzwonił później jeszcze trzy razy, ale Kamil za bardzo się bał, żeby odebrać. Rozmowa kojarzyła mu się jedynie z kolejną porcją problemów. I chyba słusznie.

Znaleźli się na tyłach osiedlowego sklepu. Z przepelnionych, metalowych pojemników na śmieci, ustawionych wzdłuż ściany, kolorową kaskadą wylewała się śmierdząca zawartość, a tuż obok, przy krawężniku, stała zaparkowana czarna beemka z przyciemnianymi szybami. Skurcz żołądka zamienił się w paraliżujące uczucie strachu.

- Wsiadaj - rozkazał Zebra tonem nieznoszącym sprzeciwu. Przydeptał butem niedopałek papierosa i otworzył drzwi od strony pasażera. Kamil wsunął się posłusznie na przednie siedzenie. Zebra obszedł auto, usiadł za kierownicą i odwrócił głowę w jego stronę.

- Mam coś dla ciebie. Otwórz schowek.

- Dla mnie? - Uczucie niepokoju, zamiast zniknąć, uwierało Kamila coraz mocniej. - Ale...

- Mówię, otwórz - powtórzył Zebra. W jego głosie pojawiło się złowrogie brzmienie.

Kamil wytarł spocone dłonie o spodnie i nacisnął pokrywę schowka. Ostrożnie włożył rękę do ciemnego wnętrza. Wyobrażenia podsunęła mu niepokojącą wizję...

- Nie pękaj, to nie spluwa - zachęcił Zebra, jakby czytając w jego myślach. - Facet, tobie nie dałbym broni do ręki!

I Zebra roześmiał się ubawiony, co zdenerwowało Kamila jeszcze bardziej. Nagle natrafił dłonią na spore pudełko. Wyjął je i położył na kolanach.

- No, jak?

Kamil patrzył, zdziwiony, na widniejący na wierzchu wizerunek aparatu fotograficznego. Profesjonalna cyfrowa lustrzanka marki Canon. Najnowszy model. Ze wszystkimi bajerami.

Nie mógł się powstrzymać. Zanim pomyślał, już otwierał drżącymi rękami pudełko.

- Mówiłeś, stary, że lubisz pstrykać. To ci sprzęt załatwiłem.

Kamil bez słowa obracał aparat w dłoniach. Ale cacko. Idealny do robienia zdjęć na zawodach. Dokładnie taki, o jakim marzył i na jaki nigdy by sobie nie mógł pozwolić... A raczej - na jaki nie pozwoliłaby mu matka. I tak za dużo wysiłku kosztowało go ukrywanie przed nią wydatków na modele. Niemałych wydatków.

- Nie stać mnie na niego - powiedział po chwili, niechętnie odkładając aparat z powrotem do pudełka. - Ale dzięki, że pomyślałeś.

Zebra odchylił się lekko w fotelu i patrzył na Kamila z uśmiechem na twarzy.

- Jak dają, to bierz. Rewanż taki.

- Nie rozumiem. Za co?
- Za tę wycieczkę po hotelu.

A więc jednak, temat hotelu wrócił. Kamil bawił się bezmyślnie szerokim, czarnym paskiem z napisem „Cannon”, wystającym z pudełka. Co ma teraz, do cholery, zrobić? Jeżeli weźmie to cacko, będzie z Zebra jeszcze bardziej związany niż do tej pory. Jeżeli nie weźmie, będzie... głupi. Taki sprzęt!

- Ale to musiało kosztować.
- Ze cztery tauzeny. Bierz, kurwa, bo się rozmyślę.

Kamil z trudem sięgnął do kieszeni, wyciągnął z niej wymiętą chustkę do nosa i, żeby zyskać na czasie, zaczął powoli i starannie wycierać nos. Co zrobić, kołatało mu się w głowie. A jeżeli Zebra się zdenerwuje, jak mu odmówię? Jeżeli zacznie mi robić jakieś problemy?

- Jest... super... nie wiem, jak ci dziękować.
- Nie pieprz! - Zebra uściśnął mu rękę na pożegnanie. - Skoczmy jeszcze na browar?

- Chętnie. - Kamil, pod wpływem prezentu, przestał się bać. Jeżeli tylko o to chodziło Zebrze, nie ma się chyba czym martwić.

Wysiadł z samochodu. W nozdrza uderzył go intensywny zapach odpadków, nagranych wiosennym słońcem. Obszedł auto i zatrzymał się przy drzwiach kierowcy. Zebra włączył już silnik, ale nagle szyba bezszelestnie zjechała na dół.

- To dzięki jeszcze raz - podali sobie ręce.
- Zebra przytrzymał na chwilę Kamila za rękaw.

- Mówiłem ci, nie pieprz. Kurwa, jeszcze jedno. Taka duperela... - W głowie Kamila zaświeciła się ostrzegawcza lampka. - Za parę dni, jeszcze przekręcę kiedy, wpuścisz mnie w nocy na zaplecze. I to, kurwa, wszystko.

Kamil nie był w stanie wydobyć z siebie głosu. Uczucie strachu powróciło z paralizującą siłą. Przemógł się dopiero po chwili.

- Czy... czy to konieczne? Wiesz, wtedy nam się udało, ale nie chcę mieć jakichś nieprzyjemności.

- Stary! Nie pękaj. Wejdę i wyjdę. Proste? Jak drut. - Zebra wrzucił jedynekę. - Dostałeś zajebisty aparat? To teraz, kurwa, ty mi wisisz przysługę.

BMW ruszyło z piskiem opon, zostawiając za sobą smugę kurzu.

ROZDZIAŁ 13

W czwartkowe południe, trzy dni po odejściu Stefy, Lilka siedziała w recepcji i nudziła się jak mops. Jagoda pojechała swoim samochodem do sklepu, a Lilka została, żeby pilnować interesu. Nawijała teraz na palec pasmo włosów i zastanawiała się, czy na pewno wypisała Jagodzie wszystko, co było potrzebne na dzisiejszy obiad i kolację. Przygotowywanie posiłków okazało się wyjątkowo kłopotliwym zajęciem, z którego niestety, żeby nie wiadomo jak chciały, nie mogły zrezygnować. Co prawda, jak na razie, żadnych wpadek nie było, ale też obiad ugotowały dopiero dwa razy, opierając się wyłącznie na mrożonkach, marynatach i innych sklepowych gotowcach.

Na dłuższą metę nie da rady tak ciągnąć, to pewne.

Spojrzała z rezygnacją na stary, czerwony aparat z szachownicą wytartych numerków. Gdyby tu był normalny telefon bezprzewodowy, to zamiast siedzieć w pustym, zatęchłym holu, przeniosłaby się na ławkę przed budynkiem i wystawiła nogi na słońeczko. Po co tak tutaj tkwić, przecież żaden gość nie zadzwoni, na pewno. Telefon milczy jak zakłęty. Naprawdę ta ławeczka, to niegłupi pomysł. Gdyby zostawiła otwarte drzwi wejściowe, mogłaby w razie czego szybko dobiec i odebrać. Bardzo kuszące to słońeczko... W końcu ruszyła w kierunku drzwi, ale oczywiście kiedy już była prawie na dworze, telefon zaniósł się nagle przenikliwym, brzęczącym warkotem. Okręciła się na pięcie i najszybciej jak mogła podbiegła z powrotem do kontuaru.

- Hotel, słucham?!

- Z kim mówię? - usłyszała w odpowiedzi pytanie, zadane opryskliwym głosem byleż kierowniczkii.

- Tu Liliana Wójcik - odpowiedziała sztywno. Co miała powiedzieć? Zupełnie nie spodziewała się telefonu od tej tlenionej wydry.

- Aaa, to pani. Dzwonię, bo zapomniałam zabrać z hotelu moją własność. Podjadę po to dzisiaj. To tyle.

- Przepraszam bardzo - zareagowała natychmiast Lilka - ale wydaje mi się, że w hotelu nie zostało już nic, co do pani należy.

- No to się pani źle wydaje - odszczeknęła Stefa. - Będę za pół godziny. I żeby moje biuro było otwarte.

No, jeszcze czego, zdenerwowała się Lilka.

- Po pierwsze to już nie pani biuro, a po drugie w ogóle nie życzę sobie, żeby pani tu przychodziła.

Po drugiej stronie słuchawki zapanowała na moment cisza.

- Że co? - wycedziła Stefa.

- Do biura na pewno już pani nie wpuszczę. I w ogóle nie jest tu pani mile widziana.

- Ty bezczelna smarkulo! Jeszcze zobaczymy! - rzuciła wściekle Stefa i rozłączyła się.

A to wstrętne babsko! Po co ja jej się stawiałam? Po co w ogóle z nią rozmawiałam? Zirytowana Lilka ruszyła energicznie w stronę biura, do którego dawno nie zaglądała. Jakoś nie miały z Jagodą ochoty z niego korzystać. Zostały tam tylko rachunki i kwity, którymi raz na miesiąc miał się zajmować Adam, ten znajomy księgowy. Z połowy drogi zawrócił ją powtórny dzwonek telefonu.

- Słucham?! - rzuciła oschle, spodziewając się kolejnego ataku Stefy.

- Czy to hotel „U Felicji”? - zapytał przyjemny, głęboki, męski głos.

- Tak jest! - mówiąc to Lilka odruchowo prawie się ukloniła.

- Ale to nie pani Asieńka?

- Nie, nie pani Asieńka. Słucham pana.
- Jak nie pani Asieńka, to kto?
- Jestem nową właścicielką hotelu. A pani... Joanna już tutaj nie pracuje.
- Wielka szkoda - westchnął przeciągle mężczyzna - ale chyba gości nadal przyjmujecie?
- Oczywiście. - Lilka starała się bardzo, żeby jej głos brzmiał kompetentnie.
- To świetnie, bo ja bym się chciał u państwa zatrzymać.
- Na kiedy mam zrobić rezerwację?
- Ja już, proszę pani, jestem w drodze, będę u was za pół godziny. Nie uprzedzałem wcześniej, bo pani Stefania zawsze miała dla mnie wolny pokój.
- Pani Stefania też już tutaj nie pracuje - uprzedziła Lilka.

Mężczyzna gwizdnął w słuchawkę.

- Ale się porobiło! To co, znajdzie się mimo wszystko dla mnie jakieś miejsce?
- Ma się rozumieć! Czekamy. Będzie pan jadł u nas obiad?
- Jak zawsze. Pani Maria wie, co lubię. Na pewno przygotowuje coś specjalnego.
- To raczej niemożliwe, proszę pana...
- Dlaczego? - mężczyzna był coraz bardziej zdziwiony.
- Ponieważ... - zaczęła niepewnie Lilka, a mężczyzna dokończył za nią:
- ...pani Maria już tu nie pracuje - i w tym momencie oboje wybuchnęli śmiechem.
- W każdym razie za jakieś pół godziny jestem. Do zobaczenia - i rozłączył się.

Lilka rzuciła energicznie słuchawkę na widełki i zaczęła się radośnie rozglądać dookoła. Nasz pierwszy gość, myślała w uniesieniu.

NASZ!

Porzucając bez namysłu dyżur przy telefonie, chwyciła z tablicy kilka kluczy i pobiegła na piętro wybrać pokój. Pierwszy z brzegu za duży - trójka. W drugim ciemno jak w piwnicy, w trzecim na łóżku koc w brzydką kratę... Dopiero ostatnie drzwi na piętrze kryły wewnątrz, które się od biedy nadawało. Otworzyła okno, z magazynku przyniosła pościel, ręczniki i mydło, przetała z kurzu stolik, radio i szafkę nocną. Wychodząc, obrzuciła wewnątrz ostatnim spojrzeniem.

No, przyzwoicie, pomyślała. A może by jakieś kwiatki? Popędziła do ogrodu i uskubała kilka gałązek jaśminu, który nie tylko ślicznie się prezentował w porcelitowym wazoniku, ale w dodatku napenił całe wewnątrz intensywnym, słodkim zapachem wiosny.

W poczuciu dobrze spełnionego obowiązku wróciła do recepcji i przysiadła na wysokim krześle. Co jeszcze, myślała zdenerwowana, co jeszcze? Obiad! Poderwała się i pobiegła do pokoju po komórkę.

- Jagoda - wysapała do telefonu. - Jagoda, zrobiłaś już zakupy?

- Prawie, a co?

- Będziemy miały gościa! Prawdziwego! Musimy na obiad zrobić coś ekstra!

Jagoda nie ekscytowała się tak łatwo.

- A ci goście, którzy teraz są, to co, sztuczni?

- No nie, ale ten będzie NASZ! NASZ PIERWSZY! Nie rozumiesz?

- OK, niech ci będzie, rozumiem. I co z tego?

- Och, Jagoda! - zdenerwowała się Lilka. - Jak to co? Przecież nie możemy mu podać na obiad barszczu z kartonika i mrożonych pyz!

- Rozmrożonych, jeżeli już - uściśliła Jagoda. - A ten horteksowski barszczyk był wczoraj całkiem, całkiem... Dobra, dobra, żartuję. To czym go będziemy karmić? Pamiętaj, że zaopatrzenie tutaj średnie.

- Zdecyduj sama. Tylko pamiętaj, żebyśmy to jeszcze umiały przygotować!!! A, Stefa dzwoniła... - w tym momencie Lilka usłyszała podjeżdżający pod hotel samochód. - Muszę kończyć. Potem pogadamy.

Szybko ściągnęła z włosów frotkę i potrząsnęła głową, żeby choć trochę ułożyć fryzurę, potem nerwowo przyglądała spódnicy i zastygła za kontuarkiem w pełnym napięcia oczekiwaniu.

Po chwili ktoś ujął od zewnątrz klamkę i powoli otworzył drzwi, wpuszczając do środka silny snop światła. Na progu pojawiła się potężna męska sylwetka. Lilka przymrużyła oczy, starając się dostrzec coś więcej.

- Dzień dobry... - zaczęła zachęcająco.

- Dzień dobry! - odpowiedział mężczyzna i zdecydowanym krokiem ruszył w jej stronę. Bardzo wysoki, dobrze zbudowany, był ubrany w luźne, beżowe lniane spodnie i kremowy bawełniany sweter z podciągniętymi rękawami, a w lewym ręku niósł niedużą, sportową torbę. Półdługie, kręcone, jasne włosy przesłaniały mu twarz.

Zbliżył się do recepcji, postawił torbę na podłodze, odgarnął niecierpliwie jasną grzywę i spojrzał na Lilkę błękitnymi, wesołymi oczami.

O Jezu, pomyślała i poczuła, jak nogi się pod nią uginają. Jaki przystojny!

Kiedy pół godziny później pod hotel zajechała Jagoda z zakupami, Lilka od razu do niej wybiegła.

- I co, jaki on jest? - spytała przyjaciółka, otwierając bagażnik. Lilka kręciła się dookoła auta, co chwila nerwowo odgarniając włosy z czoła.

- Ciiiiicho, jeszcze nas usłyszysz! - wyszeptwała. - Daj, pomogę ci nosić.

- E tam, usłyszysz! No mówże, ciekawa jestem!

- Właściwie... Nie ma o czym opowiadać - wzruszyła niechętnie ramionami Lilka. - Prawie nie rozmawialiśmy.

Zaprowadziłam go do pokoju i zostawiłam. O drugiej ma być na obiedzie.

- A przystojny chociaż?

- Bo ja wiem... Sama zobaczysz. Jest rzeźbiarzem.

- Rzeźbiarzem? Skąd wiesz?

- Zostawił swoją wizytówkę. Rzeźbi w kamieniu.

- Serio? Nieźle jaja... Tak czy inaczej, musimy mu dać jakieś porządne jedzenie, żeby się nie zniechęcił i nie uciekł - stwierdziła Jagoda i zaczęła podawać Lilce siatki. - Mówiłaś coś o Stefie, czy mi się tylko wydawało?

- Aha... - odburknęła niechętnie Lilka i po drodze do kuchni zreferowała przyjaciółce dziwny telefon byłej kierowniczkii.

- Ale co ona tu mogła zostawić? - zainteresowała się Jagoda.

- Nie wiem i właściwie nie chcę wiedzieć. Ale sądząc po tej rozmowie, musi jej na tym czymś bardzo zależeć.

- To nie licz na to, że się tak łatwo odczepi.

Lilka z wysiłkiem położyła ciężkie siatki na kuchennym stole i nagle zastygła nad jedną z toreb, w której znajdowała się spora, zakrwawiona paczka.

- Co to jest? - spytała z obrzydzeniem. Wyrzuciła pakunek na stół i chwytając delikatnie w dwa palce róg przybrudzonego papieru odgięła go i zajrzała do środka.

- Wątroba? - jęknęła. - Jaguś! Wątroba?!!!

Jagoda, która rozpakowywała pozostałe zakupy, wzruszyła niechętnie ramionami.

- Wiem, wiem, ale nie było nic innego. Kobieta w mięsnym mnie wyśmiała, że o tej porze w ogóle chcę coś kupić. Dobrze, że chociaż to zostało. Podobno wystarczy usmażyć, a faceci lubią takie obrzydlistwa. Mówię ci, gadała ta baba i gadała, aż mi głupio było, bo kolejka się taaaaka zrobiła.

W ogóle strasznie mały ten sklepik „U Krysi” i w dodatku w piwnicy, wyobrażasz sobie?

Lilka pokręciła sceptycznie głową.

- W każdym razie ja się do tego nie dotknę - oświadczyła i wzięła się za skrobanie ziemniaków.

Jagoda, niezrażona kompletnie, zabrała się fachowo do pracy. Wyszukała największy nóż, podostrzyła go na parapiecie z lastryko i zaatakowała krwistą, gładką bryłę. Udało jej się wykroić osiem równych, zgrabnych kotletów, które ułożyła na talerzu, posoliła od serca, oprószyła mąką i odstawiła do lodówki.

- Zupę jaką robimy? - spytała, przeglądając szafki. - Z braku czasu proponuję pomidorową na kogutku. Co ty na to?

- Znowu? Wczoraj była jakaś podobna...

- Lilka, wczoraj była ogórkowa!

- Ale też na kogutku!

- No to co? Przecież to nie trujące. A wieczorem ugotujemy normalny, porządny rosół, będzie na jutro. Kupiłam włoszczyznę i indycze skrzydła. Może wystarczy już tych kartofli?

Lilka posłusznie odłożyła nóż i przygotowała ziemniaki do gotowania. W tym samym czasie Jagoda wstawiła wodę na makaron, a w drugim garnku - na zupę. Wszystko szło zadziwiająco sprawnie.

Po chwili syczenie na kuchence uświadomiło im, że woda w ziemniakach się zagotowała, więc Jagoda zmniejszyła gaz i zaczęła sypać do sąsiedniego garnka makaron.

- Jak myślisz, ile? - spytała, oglądając niepewnie dużą torbę świderków.

- Tak gdzieś trzy czwarte - zaproponowała Lilka. - Albo wsyp wszystko, przecież jeszcze ogrodnik...

Kiedy dwie minuty później makaron wykypiał, pokrywając całą kuchenkę białą pianą, Jagoda była akurat zajęta szukaniem patelni. Lilka szybko zmniejszyła gaz, nastawiła czerwony, plastikowy minutnik w kształcie pomidora na osiem minut i sprawdziła widelcem kartofle.

- Zaraz powinnyśmy zacząć smażyć mięso - denerwowała się Jagoda - a nie ma, kurczę, na czym!

Lilka rzuciła się do pomocy. Kiedy już wszystkie szafki zostały nerwowo przetrząśnięte, wzrok Jagody padł na kuchenny okap, pod którym wisiały sobie spokojnie trzy patelnie. W coraz większym pośpiechu postawiła największą z nich na kuchence. Wyjęła z lodówki pociętą wątróbkę i przypomniała sobie o czymś jeszcze.

- Olej!

Odruchowo sięgnęła po stojącą obok na blacie butelkę i chlusnęła obficie na patelnię. Rozległo się głośnie skwierczenie, a dookoła rozszedł się intensywny aromat mięty.

- O, cholera! - wyrwało się Jagodzie.

- Jagódka, co tak pachnie? - zdziwiła się Lilka. Zajrzała jej przez ramię i parsknęła śmiechem. - Smażysz wątróbkę na ludwiku?

- Ha, ha, ha, bardzo śmieszne - wymamrotała pod nosem Jagoda, splukując obficie patelnię zimną wodą. - A co za kretyn postawił go koło kuchenki?

Drugie podejście do wątróbki przebiegło już bez niespodzianek - wszystkie osiem kotletów zostały umieszczone na polanej kujawskim patelni, obsmażone na złoto z obu stron, przykryte pokrywką i pozostawione na małym ogniu, żeby doszły.

Czerwony minutnik zaniósł się histerycznym dzwonieniem.

- No dobra, idę nakrywać, a ty się zajmij ziemniakami i makaronem - poprosiła Jagoda i zaczęła wyjmować z kredensu

wyszczerbione talerze. - Czwooro gości, ogrodnik, my dwie...

Lilka wrzuciła ostatni, osuszony z mozolem w ściereczce liść sałaty do salaterki i prędko naciągnęła wielkie, pikowane rękawice ochronne. Potem złapała garnek, zdjęła pokrywkę i szybkim ruchem wylała zawartość na przygotowany w zlewie durszlak.

Kiedy stała zdezorientowana, bezmyślnie obserwując parujące ziemniaki, Jagoda wróciła z sali.

- Lilka, dziecko, odcedza się makaron, nie kartofle - prychnęła zniecierpliwiona.

- Przecież wiem! - zachnęła się przyjaciółka, przerzuciła ziemniaki z powrotem do garnka i odstawiła na kuchenkę. - A jak tam twoja wątróbka?

- Zaraz powinna być gotowa. - Jagoda chwyciła widelec i spróbowała wbić w mięso. - Cholera... - mina jej trochę zrzędła. - Ciągłe podeszwa.

Lilce przez ten czas udało się odcedzić makaron.

- Soliłaś go? - spytała, tknięta przeczuciem.

- Nie - pokręciła głową Jagoda. - Ja soliłam tylko ziemniaki. I wątróbkę.

Lilka zamarła.

- Aha - powiedziała dziwnie spokojnym tonem. - Ja też.

Jagoda przestała odliczać sztuce.

- Co też?

- Też posoliłam ziemniaki i też nie posoliłam makaronu. Natomiast jeśli chodzi o wątróbkę...

- No, mówże! - zdenerwowała się Jagoda.

- Jedyne, co wiem na pewno o wątróbce, tylko się nie denerwuj, to że nie wolno jej solić przed smażeniem, bo stwardnieje na amen...

- Cholera... - wyrwało się Jagodzie.

- A ta woda tutaj po co się gotuje?

- Kurczę, na zupę przecież! Dawaj kogutki!

W tym momencie drzwi do jadalni trzasnęły ostrzegawczo.

- Dzień dobry - w okienku pojawiła się uśmiechnięta, przystojna twarz nowego gościa. - Nie za wcześnie przyszedłem?

ROZDZIAŁ 14

Pomidorowa na pierwszy rzut oka wydawała się trochę wodnista, ale kiedy przelały ją do wazy, doprawiły śmietaną i sypnęły trochę świeżo pokrojonego koperku, jej wygląd od razu się poprawił. Co do smaku trudno powiedzieć, ponieważ ani Lilka, ani Jagoda nie odważyły się spróbować.

- Ja mu zaniosę, ty nakładaj ziemniaki - zarządziła Jagoda. - Ale najpierw spróbuj z nich jakoś wypłukać sól. Dobrze, dobrze, już mnie nie ma - i ruszyła do jadalni energicznym krokiem, starając się nie rozchłapać zupy.

Lilka zaczęła przygotowywać półmiski, zerkając jednak co jakiś czas na salę, gdzie przyjaciółka wdała się w pogawędkę z ICH gościem. Jagoda stała obok niego w swobodnej pozycji, zjedną ręką opartą o stół, a drugą o biodro, i nawet przepasana poplamionym kraciastym fartuchem, wyglądała uroczo - nic dziwnego, że mężczyzna uśmiechał się tak samo miło, jak przedtem do Lilki.

Nie wiedząc czemu, poczuła nagle w żołądku nieprzyjemne ukłucie zazdrości; jednak zaraz o nim zapomniała, ponieważ gość zaczął podnosić łyżkę do ust.

O Boże, żeby tylko nie wypłuł, przebiegło Lilce przez głowę. Odetchnęła dopiero, kiedy przełknął i ponownie zanurzył łyżkę w zupie. Nie miał przesadnie ekstatycznego wyrazu twarzy, ale nie malowało się też na niej obrzydzenie. Jagoda, która przytomnie została, żeby sprawdzić jego reakcję, wbiegła teraz do kuchni i złapała półmiski, udekorowane przez Lilkę w pośpiechu ćwiartkami pomidorów.

- JE! - rzuciła. - Podobno głodny jak wilk!
- Oby miał też wilcze zęby - westchnęła Lilka.

Niestety, nie miał. Po dwudziestu minutach zucia odsunął talerz, na którym została smętnie połowa wątróbki.

- Dziękuję bardzo - powiedział głośno w kierunku uwieszonych do okienka dziewczyn. - Sałata była przepyszna. Czy mógłbym poprosić herbatę?

- Ja już do niego nie idę - syknęła Jagoda, zalewając wrzątkiem torebkę Liptona. - Masz! - podała Lilce nieporęczną, plastikową tacę, na której obok pękatego, szklanego dzbanka do herbaty, stała jeszcze porcelitowa żółta filiżanka i mała cukierniczka, obie znalezione poprzedniego dnia w zakamarkach kuchennych szafek. Lilka patrzeć już wprost nie mogła na te wstrętne przezroczyste szklanki bez uszek, w które hojnie zaopatrzona była kuchnia.

- Uważaj, nie rozlej! - dodała jeszcze Jagoda, po czym otworzyła drzwi i przytrzymała je, przepuszczając przyjaciółkę.

Lilka ruszyła w stronę jedyne zajętego stolika. Czowała, jak palą ją policzki. To pewnie od tej parującej herbaty - pocieszyła się bez przekonania i z rozmachem postawiła tacę przed przystojnym gościem. Podniósł na nią od razu te swoje niesamowicie niebieskie oczy i nagle sympatyczny, ciepły uśmiech rozjaśnił jego twarz.

- Ślicznie pani w tym fartuszk - powiedział miękko.

Nie wiadomo, czy pod wpływem tego zaskakującego komplementu, czy może tonu, którym został wypowiedziany, Lilce, nalewającej właśnie herbatę, drgnęła ręka. Strumień wrzątku zatoczył niekontrolowany luk i zamiast w filiżance, wylądował na ogorzałej dłoni mężczyzny.

- AAAUUUU! - rozdarł powietrze przepętniony bólem okrzyk.

- Ojejku - zawtórował mu słaby jęk Lilki.

Z kuchni natychmiast wyjrzała głowa zaniepokojonej Jagody.

- Co się stało?

- Ja... pana... oparzyłam! - miauknęła Lilka i oparła się o stół.

Ponieważ wyglądała przy tym tak, jakby za chwilę miała zemdleć, Jagoda od razu wkroczyła do akcji. Wbiegła do jadalni, chwyciła zdezorientowanego rzeźbiarza pod pachę i powtarzając pod nosem „trzeba zimną wodą, trzeba zimną wodą” pociągnęła go na korytarz, w kierunku łazienki.

Kiedy po chwili wróciła, zastała przyjaciółkę w kuchni, chlipiącą i zasmarkaną.

- Lilka, do cholery! Co się z tobą dzieje? Czego ty ryczysz? No, weź się w garść!

- Jestem beznadziejna.

- Masz się uspokoić, i to natychmiast! Idź do recepcji, tam widziałam pod ladą apteczkę, i biegnij opatrzyć gościa. Ale już!

- Jagódka, nie! Ty idź, błagam! Ja nie dam rady!

- Będziesz musiała. Wyraźnie zażyczył sobie, żebyś to ty się nim zajęła. Czeka w swoim pokoju. I pospiesz się. Nieźle go urządziłaś, nie ma co.

Lilka chciała jeszcze coś powiedzieć, ale ponieważ przyjaciółka odwróciła się do niej ostentacyjnie plecami, westchnęła tylko cicho i na miękkich nogach wyszła z kuchni.

Jaka ja jestem głupia, myślała, wchodząc po schodach. I niezdarna.

Im bliżej pierwszego piętra, tym wolniejsze wykonywała ruchy.

Jak mogłam się tak idiotycznie zachować? Dlaczego on mnie tak peszy?

Kiedy w końcu zatrzymała się przed drzwiami rzeźbiarza, okazało się, że tak prosta czynność, jaką jest pukanie, wymaga nagle specjalnej odwagi.

Lilka westchnęła ciężko, wzięła głęboki oddech, otarła rękawem zapłakane policzki i w końcu uderzyła delikatnie zgiętym wskazującym palcem w drzwi.

Zadnej reakcji. Westchnęła jeszcze raz i spróbowała mocniej.

- Proszę - rozległ się stłumiony głos.

Nieśmiało wsunęła się do środka. Mężczyzna na jej widok zerwał się z przykrytego zielonym kocem tapczanu. Przez chwilę żadne z nich nie wiedziało, co powiedzieć.

- Naprawdę, nic się nie stało - zaczął rzeźbiarz i uśmiechnął się do Lilki tak, że znowu poczuła słabość w kolanach.

- Ja strasznie pana przepraszam, nie chciałam - bąknęła, ściskając przed sobą apteczkę niczym tarczę. - Musiało bardzo boleć...

- Nie, prawie nic nie poczułem, niech pani sobie nie robi wyrzutów - zapewniał, choć oboje świetnie pamiętali wrzask, jaki z siebie wydał, kiedy go oblała. - Ale gdyby pani mogła mi to czymś zdezynfekować...

Lilka drgnęła.

- Oczywiście. - Podeszła do stołu i położyła na nim apteczkę. - Może niech pan usiądzie... - dodała słabo, a on posłusznie przysiadł z powrotem na tapczanie.

Cały czas wpatrywał się w nią uważnie, co kompletnie mąciło jej myśli. Otworzyła apteczkę i zaczęła w niej grzebać, próbując się skupić.

- Miała pani przed chwilą w ręku pantenol - zauważył mężczyzna. - To chyba będzie najlepsze.

Zawstydzona Lilka chwyciła buteleczkę, którą rzeczywiście już wcześniej oglądała. Rzeźbiarz wyciągnął w jej stronę oparzoną dłoń. Na ciemnoczerwonym, brzydkim śladzie zaczęły pojawiać się pierwsze bąble.

- Och! - wyrwało się Lilce. Delikatnie wzięła jego rękę w swoją, żeby ją przytrzymać, po czym szybko, starając się nie przyglądać skutkom swojego gapiostwa, wyciągnęła spray przed siebie i psiknęła nim obficie na ranę. Mężczyzna syknął z bólu, a Lilka odruchowo zacisnęła palce na jego nadgarstku.

- Zaraz przestanie boleć - szepnęła, zdziwiona tym niespodziewanym fizycznym kontaktem. Niespodziewanym, ale miłym...

- Dziękuję - powiedział ciepło mężczyzna - jest pani wspaniała.

Lilka w jednej chwili oblała się rumieńcem, puściła gwałtownie jego dłoń i odskoczyła pod ścianę. Zachowując się jak idiotka, pomyślała jednocześnie. Co on sobie o mnie pomyśli? Jak deski ratunku uczepiła się okiennego parapetu i wyjrzała na zewnątrz, próbując ochłonać. I w tym momencie dotarł do niej odgłos nadjeżdżającego od strony szosy samochodu. Wychyliła się jeszcze bardziej...

Przed hotelem zatrzymała się taksówka, biały, podniszczony opel astra. Najpierw otworzyły się drzwi od strony kierowcy i z auta wysiadł niski, chudy mężczyzna w szarych spodniach i koszuli w kratkę. Obiegł truchcikiem samochód i chwycił za klamkę tylnych drzwiczek. W jego postaci i ruchach było coś tak usługowego, że Lilka wcale się nie zdziwiła, kiedy pomagając wyjść pasażerowi prawie się uklonił.

- Zostaw, poradzę sobie - usłyszała stłumiony, lecz niewątpliwie męski głos. Kierowca odsunął się posłusznie, robiąc miejsce wysiadającemu z taksówki siwemu, wysokiemu mężczyźnie. Pasażer wyprostował się z trudem, strzepnął

coś z klapy eleganckiej, jasnej marynarki, którą pomimo upału miał na sobie, rozejrzał uważnie dookoła i oświadczył gromko:

- Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej!
- O Boże! - jęknęła Lilka. - To niemożliwe!
- Przepraszam - rzuciła w kierunku lekko zdezorientowanego rzeźbiarza. - Ja muszę... - i wypadła na korytarz. To niemożliwe, powtarzała do siebie półgłosem, zbiegając po schodach, to niemożliwe! Minęła recepcję i w drzwiach wejściowych prawie wpadła na pasażera taksówki, który obrzucił ją uważnym spojrzeniem spod siwych, krzaczastych brwi.

- Wu... wu... wujek Stanisław? - wykrztusiła.

* * *

Godzinę później siedziały z Jagodą przy niedużym, okrągłym stole na rzeźbionej nodze, przykrytym płócienną kremową serwetą z haftem richelieu, na której tu i ówdzie rysowały się ciemniejsze plamy. Naprzeciwko nich, w wygodnym, głębokim fotelu rozparł się wujek Stanisław. Mieszkanie miało identyczny układ jak to, które teraz zajmowała Lilka, tylko znajdowało się po drugiej stronie holu, w przeciwnym korytarzu, tuż obok wejścia do piwnicy. Na drzwiach nie było numerka i prawdę mówiąc nie zainteresowały się wcześniej, co się za nimi znajduje ani gdzie może być do nich klucz. Lilka nie mogła sobie tego wybaczyć, bo gdyby zdążyły zapytać o te drzwi Stefę, przyjazd wujka tak by ich nie zaskoczył.

Starszy pan po powrocie zdążył się już przebrać w wisiówką bonzurkę związaną plecionym sznurem w tym samym kolorze i świeżą koszulę, w której rozciąciu pysznił się

misternie zawiązany, jedwabny fular. Wuj miał przystojną, pociągłą twarz o klasycznych rysach, poprzecinaną siecią głębokich zmarszczek, i raczej nie wyglądał na swoje osiemdziesiąt lat. Idealnie wyprostowany, kręcił na palcu koniuszek siwych, sumiastych wąsów i przyglądał się dziewczynom uważnie, a w jego oczach migotały wesołe błyski.

- Na pogrzebie wydawałaś mi się szczuplejsza, moje dziecko! - zwrócił się do Lilki, pesząc ją, o ile to możliwe, jeszcze bardziej.

- Ależ wujku... - jęknęła.

- Może to dlatego, że byłaś w czerni... Oczywiście, całkiem dobrze teraz wyglądasz, tak... zdrowo. Wyrosłaś, nie ma dwóch zdań. Ile ty masz teraz lat, przypomnij mi?

- Trzydzieści dwa - zgarbiła się Lilka.

- Hmm, to już duża z ciebie dziewczyna. A Ewelina?

- Dwadzieścia osiem. Wujku, tak mi przykro z powodu cioci... Nie miałam okazji jeszcze złożyć kondolencji...

- Oczywiście, że nie miałaś okazji, bo matka was odciągała ode mnie jak najdalej. Ale rozumiem, nie kochały się z moją siostrą, dlatego na mnie też krzywo patrzyła. A może było jej trochę głupio, że tak się te nasze stosunki ułożyły... Zresztą nieważne. Napijecie się wiśnióweczki?

Lilka nie zdążyła zaprotestować, bo Jagoda uśmiechnęła się ujmująco do staruszka i odpowiedziała, że chętnie. Wujek najwyraźniej się ucieszył. Wyjął z niewielkiego, przeszklonego kredensu trzy małe, delikatnie rżnięte kryształowe kieliszki i ciężką, prostokątną karafkę, w której szklanym korku światło załamywało się w tęczowe smugi. Ciemnoczerwony, gęsty płyn zamigotał rubinowymi refleksami,

rozsiewając wokół intensywny, owocowo-słodki zapach z ostrzejszą spirytusową nutą.

- Sam pilnowałem nastawiania. Wiśnie drylowane, bez pestek, wtedy nie ma goryczki. Powinno wam smakować. Wszystkim paniom smakuje.

Dziewczyny spojrzały na siebie.

- Wujku, ja muszę wujkowi wszystko wytłumaczyć. Trochę niezręcznie się czuję, że to my odziedziczyliśmy ten hotel, nie wujek...

- Niesłusznie, kochanie, niesłusznie, bo to ja uprosiłem Felicję, żeby go wam zapisała - uśmiechnął się starszy pan.

- Wujek?! - Lilka otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia.

- Oczywiście. Co w tym dziwnego? Co prawda Felicja była wyjątkowo zacięta, ale jakoś udało mi się jej wyperswadować. Tłumaczyłem, że ja już jestem za stary, żeby się tym wszystkim zajmować, a wy jesteście najbliższą rodziną... Szkoda przecież, żeby dorobek jej życia poszedł w zupełnie obce ręce. Ona naprawdę dużo serca włożyła w ten hotel. No i jak wam smakuje moja wiśnióweczka?

Jagoda, która jeszcze nie zdążyła spróbować alkoholu, podniosła kieliszek do ust i wychyliła jednym haustem.

- Pyszna - przyznała.

- Następnym razem poczęstuję was pigwówką. Bo orzechówka może być dla was za gorzka. A teraz opowiedzcie mi, co słychać w hotelu.

Lilka była zdecydowanie coraz mniej skąpowana. Nie wiedziała, czy to zasługa nalewki, sympatycznego sposobu bycia wuja czy może tego, że przestały gryźć ją w stosunku do niego wyrzuty sumienia, ale coraz wyraźniej czuła, że go lubi. Ani się obejrzała, jak zaczęła opowiadać o hotelowych perypetiach.

Wujek Stanisław słuchał uważnie, a kiedy relacjonowała kłótnię z byłą kierowniczką, kiwał w zamyśleniu głową i w końcu podsumował:

- Dobrze, że się wam w końcu udało pozbyć tej Stefy. Ta kobieta była zupełnie bez klasy, zupełnie. Nie sędzę, żeby mi jej brakowało. Tylko szkoda, że wzięła ze sobą Joasię, to była taka miła dziewczuszka... a przy tym całkiem ładniutka, bardzo ją lubilem - starszy pan westchnął i podkreślił wąsa. - Nawet nie myślałem, że zastanę takie zmiany... Bardzo się cieszę, że tu będziecie, bardzo. Odkąd Felicja umarła, Stefa zrobiła się zupełnie nie do wytrzymania. Dlatego skorzystałem z pierwszej okazji i uciekłem na miesiąc do sanatorium. Całe szczęście, stać mnie na to. Mam wysoką emeryturę, a od pięciu lat, odkąd tu zamieszkałem, prawie nic na siebie nie wydaję. Taką mieliśmy z Felicją dżentelmeńską umowę... Teraz oczywiście, jeżeli sobie życzycie, mogę wam płacić czynsz i tak dalej. Martwi mnie jednak, że Maria odeszła. Może nie gotowała rewelacyjnie, ale jej zupy były naprawdę świetne! A naleśniki, palce lizać! Ciekawe, gdzie teraz będzie pracować. Słyszałem, że ksiądz proboszcz miał na nią od dawna oko. To znaczy nie w tym sensie, moje drogie, nie w tym sensie - starszy pan uśmiechnął się do nich porozumiewawczo. - No dobrze, ale skoro Maria odeszła, to kto w takim razie gotuje?

Odpowiedział mu nerwowy wybuch śmiechu.

ROZDZIAŁ 15

W sobotę drzwi jadalni trzasnęły o siódmej pięćdziesiąt osiem.

- Kto to? Wujcio czy nasz przystojny pan Wojtek? - spytała Jagoda, zajęta rozkładaniem zakupów. A ponieważ nie uzyskała odpowiedzi, mruknęła pod nosem:

- Znaczy, przystojniak. Liliś, łap tacę, kochana. Tylko błagam, zdejmij z głowy tę ścierkę!

Lilka spojrzała na nią z wyrzutem, ale posłusznie ściągnęła z włosów brązową, indyjską chustę, której używała, przygotowując posiłki. Poprawiła grzywkę, a wychodząc na salę sprawdziła kątem oka swoje odbicie w lusterku wiszącym na bocznej ścianie jednego z kredensów. Od biedy może być. W końcu dopiero ósma rano... Tylko dlaczego Jagoda mimo to wygląda kwitnąco?

Rzeźbiarz siedział pod oknem. Kiedy weszła, uśmiechnął się od ucha do ucha, jakby naprawdę się ucieszył, że ją widzi. Ją, nieatrakcyjną safandulę, która wczoraj oblała go wrzątkiem. Dziwne...

- Dzień dobry! Jak się spało? - Jego głos był głęboki i ciepły.

- Dziękuję, dobrze. - Bała się spojrzeć mu w oczy, których intensywny błękit zapamiętała aż za dobrze, więc wbiła wzrok w opatrunek na jego dłoni. - A panu?

- Ja tutaj zawsze dobrze śpię. Czyste powietrze robi swoje - cały czas przyglądał jej się z uśmiechem, czuła to wyraźnie. - Odniosłem apteczkę do recepcji. Zapomniała jej pani wczoraj.

No tak, przypomniała sobie. Przecież wczoraj wyskoczyła od niego jak z procy. Pewnie inaczej jak „ta roztrzepana wariatka” to on o niej nie myśli. Przelknęła ślinę i odważyła się zapytać:

- Czy... ręka w nocy nie dokuczwała?

- Nie, nie miała prawa. Pani tak wspaniale ją opatrzyła!

Lilka zarumieniała się i przygryzła wargi. Poczowała się idiotycznie, zupełnie jak w czasach liceum, kiedy chichotały z koleżankami na widok przystojnych chłopaków, ukryte bezpiecznie w załomie szkolnego korytarza.

- Co panu podać? - spytała słabo.

- Jajecznice na bekonie, to nie będzie za duży kłopot?

- Ależ skąd - potrząsnęła gwałtownie głową i po prostu uciekła. Z ulgą schroniła się za drzwiami kuchni. - Kupiłaś bekon? - szepnęła do Jagody.

- Kupiłam. A tobie co się stało?

- Mnie? Nic. Daj patelnię.

W tym momencie leżąca na okiennym parapecie komórką Lilki zatrzęsała się, wydając z siebie jednocześnie delikatne dźwięki *Błękitnej Rapsodii* Gershwina. Lilka zastygła nad kuchenką w skomplikowanej pozie.

- No, odbierz wreszcie - zdenerwowała się Jagoda. - I uważaj, do licha, bo się zapalisz! Lilka!

Lilka odsunęła się posłusznie od palnika, ale nadal patrzyła przed siebie nieobecny wzrokiem. Jagoda podeszła do niej i przyjrzała się uważnie przyjaciółce.

- Liluś, co ci jest? O co chodzi? Strasznie wyglądasz! Co się stało?

Lilka odpowiedziała szeptem, jakby się bała, że ktoś ją usłyszy:

- To Tomek!

Po chwili komórka ucichła. Jagoda sięgnęła po aparat. Jedno połączenie nieodebrane, Tomek, przeczytała na ekranie.

- Ależ on w tobie ciągle siedzi - pokręciła głową i w tym momencie komórka odezwała się znowu. Jagoda wyciągnęła telefon w kierunku przyjaciółki. - Odbierz!

- Nie, Jagódka, nie chcę go słyszeć! - Lilka wyglądała tak, jakby się miała za chwilę popłakać. - Wyłącz to!

Jagoda zdecydowanym ruchem wetknęła jej komórkę w rękę.

- Odbieraj, ale już! Nie możesz się go bać! Nie możesz chować głowy w piasek! Zaczęłaś nowe życie, jesteś silna, szczęśliwa, a ten palant ci zwisa. No, dalej, pokaż mu! Niech sobie nie myśli!

Lilka westchnęła z rezygnacją i wzięła telefon.

- Tak, słucham - starała się, żeby jej głos zabrzmiał pewnie i rzeczowo. - Nie, nie jestem w Warszawie. Na kiedy? Nie wiem, czy mi się uda... No, dobrze... Tak, będę.

Przysiadła ciężko na metalowym taborecie i ukryła twarz w dłoniach.

- Chce się spotkać - wyznała cicho podłódze.

- Co tam szemrzesz?

- Tomek chce się ze mną spotkać. Przyjechał na kilka dni z Dublina, a na Saskiej zostały jego dokumenty ze stażu i teraz akurat ich potrzebuje... Pamiętam, że chowałam je do jednego z pudeł. Muszę jechać do Warszawy, on przecież nie ma kluczy do mieszkania.

- Czyli nie CHCE się spotkać, tylko MUSI, a to podstawowa różnica - uściśliła Jagoda. - Na pewno nie będzie cię prosił na kolanach, żebyś do niego wróciła. A nawet jeśli, to niech ci czasem nie przyjdzie do głowy się zgodzić. Obiecujesz?

- Obiecuje. Nie, nie obiecuje. Teraz, jak uslyszalam jego glos... Nie ma sie co oszukiwac, ja po prostu ciagle za nim tesknie. Wolę sobie nie wyobrazac, co bedzie, jak go zobaczę!

- Halo, halo - odezwal sie tuż obok wesoly glos rzeźbiarza. - Wiem, że macie tu w kuchni mnóstwo roboty i w ogóle, ale gdybyście mi, drogie panie, jednak usmażyły tę jajecznicę, byłbym wdzięczny. Za pół godziny jestem umówiony w Czerwińsku na spotkanie...

* * *

Lilka przykleiła twarz do szyby autobusu numer 158, którym jechała z Dworca Centralnego na Pragę. Nie była w Warszawie raptem kilka dni a już miała wrażenie, że miasto przez ten czas bardzo się zmieniło. Było głośniejsze, brudniejsze i bardziej zatłoczone niż poprzednio. Farby do włosów ustąpiły miejsca na billboardach najnowszemu serialowi TVN, na wystawach sklepów pojawiły się wielkie napisy „Letnia kolekcja”. Feeria barw, uliczny zgiewk, a w środku autobusu spocony, napierający coraz mocniej tłum...

Jeszcze dwa przystanki i będzie się musiała jakoś przechnąć do wyjścia.

Przytrzymała mocniej torebkę.

Jeszcze jeden przystanek...

Im bliżej Ronda Waszyngtona, tym bardziej była zdeenerwowana. Tomek... Tyle czasu się nie widzieli. Tyle razy układała sobie w myślach to, co by mu chciała powiedzieć. Tyle razy marzyła, że staną naprzeciwko siebie i rzuca się sobie w ramiona, że wszystko będzie jak dawniej... Jak ma się teraz zachować? Jak ma rozmawiać z człowiekiem, który

był jej jeszcze niedawno tak bliski? Ale przede wszystkim jak ma rozmawiać z człowiekiem, który ją zdradził?

- Przepraszam, przepraszam... - Nagle zorientowała się, że przejechała swój przystanek, więc zaczęła się gorączkowo przepychać w kierunku drzwi.

W pewnym momencie poczuła szarpnięcie - to pasek od torebki zaczepił o kasownik. Uwolniła się jakoś, wyskoczyła na chodnik i ruszyła szybkim krokiem przed siebie, w kierunku ulicy Zwycięzców. Jakiś mężczyzna, mijając ją, spojrział na nią z wyraźnym zainteresowaniem. Następny też. I kolejny. To było nawet miłe...

Jagoda przypilnowała, żeby Lilka ubrała się „szalowo” i starannie umalowała, w celu, jak to określiła, zrobienia odpowiedniego wrażenia na pewnym palancie, ale żeby aż do tego stopnia? No, nie, niemożliwe. Lilka zatrzymała się na chwilę przed mięsnym i przejrzała w przyciemnianej szybie.

- Ojejku! - jęknęła i odruchowo skuliła ramiona.

Bluzka, którą miała na sobie, śliczna, obcisła, z zielonkawego cienkiego jedwabiu, pożyczona na tę okoliczność od Jagody, prawdopodobnie podczas przepychania w autobusie straciła górny guzik.

O Boże, nie, dwa górne guziki!

W efekcie dekolt, który już przedtem wydawał się Lilce zbyt śmiały, teraz przybrał rozmiary absolutnie nieczuwalne. Migotliwy materiał rozchyłał się kusząco, ukazując nie tylko przerwę między piersiami, ale też fragment stanika, który rzucił się w oczy jaskrawą bielą. Lilka zgarbiła się jeszcze bardziej. Przecież nie mogła pójść na spotkanie z Tomkiem w takim stroju! Co on by sobie o niej pomyślał?!

Zacząła się gorączkowo zastanawiać, jak sobie poradzić z tą idiotyczną sytuacją. Gdyby gdzieś niedaleko była pasmanteria, mogłaby sobie kupić agrafkę, a dobrze wiedziała, że pasmanterii w pobliżu nie ma.

Co robić?! Nie namyślając się, ruszyła szybko przed siebie, przytrzymując rozchełstaną bluzkę ręką i rozglądając się rozpaczliwie dookoła.

Spożywczy, drogeria, fryzjer, kiosk Ruchu, sklep hydrauliczny... Lilka, coraz bardziej spanikowana, przystanąła na środku chodnika, po czym zawróciła w stronę kiosku.

Pośrodku niewielkiego pomieszczenia, oświetlonego nieprzyjemnym jarzeniowym światłem, za wytartą ladą, królowała ogromna, otyła kobieta w nieokreślonym wieku. Obrzuciła wchodzącą Lilkę obojętnym spojrzeniem i wydmuchnęła leniwie obłok dymu. Palila cienkiego, wytwornego papierosa, który wyglądał dziwnie nie na miejscu w jej tłustej, pokrytej plamami dłoni.

- Słucham panią - rzuciła na powitanie tonem, który zapewne w jej mniemaniu miał być zachęcający.

- Przepraszam najmocniej, ale czy... nie miałyby pani czegoś...? - wyjęczała Lilka, demonstrując problem w całej okazałości.

- Biła się pani z kim czy co? - skomentowała gruba.

Starannie umieściła papierosa na brzegu stojącej przed nią popielniczki, poprawiła krótkie włosy, mocno ondulowane i ufarbowane na wściekły kasztan, i w końcu podniosła się z trudem z wymoszczonego poduszka krzesła.

- Agrafek to nie mam, ale... zaraz, zaraz...

Znowu usiadła i zaczęła grzebać w wysuniętej spod lady szufladzie.

- O, jest - ucieszyła się i jej grube jak konar ramię wykonało zamaszty gest, a na blacie przed Lilką wyładowało małe, plastikowe pudełeczko.

Lilka chwyciła je kurczowo i otworzyła drżącymi palcami. W środku były kolorowe biurowe spinacze.

- Nic innego nie mam. Zepnie sobie pani... Pięć pięćdziesiąt.

Lilka posłusznie wysupłała z portmonetki monety, uśmiechnęła bez przekonania do sprzedawczyni i w końcu zajęła się bluzką. Wybrała trzy ciemnozielone spinacze, zebrała brzegi materiału i jakoś połączyła je ze sobą, przywracając dekolтови normalne rozmiary.

- Dziękuję, do widzenia - rzuciła pośpiesznie pod adresem ekspedientki i wybiegła na ulicę. Obcasiki pożyczonych od Jagody kłapek stuknęły energicznie o płyty chodnika.

Skręciła w Walecznych i prawie przebiegła następnymi kilkoma przecznicami, zwalniając dopiero przy Saskiej.

Z daleka dostrzegła szczupłą postać Tomka, kręcącego się niecierpliwie przy wejściu do budynku. Ubrany w wąskie, ciemne dżinsy i koszulkę polo, której nie знаła, wyglądał raczej na studenta niż pana doktora z pierwszym stopniem specjalizacji.

Schudł, zauważyła to od razu. I zmizerniał.

W pierwszym odruchu chciała mu się rzucić na szyję i przytulić mocno jak dawniej, ale na szczęście udało jej się powstrzymać. W porę przypomniała sobie wszystkie ostrzeżenia Jagody. Lepiej nawet nie podawać mu ręki.

- Cześć - postarała się, żeby jej głos zabrzmiał jak najbardziej oficjalnie.

Tomek uśmiechnął się lekko i obrzucił ją taksującym spojrzeniem, które na niebezpiecznie długą chwilę zatrzymało się na dekolcie. W jego oczach zauważyła wyraźny błysk zainteresowania.

Bluzka! - Odruchowo chwyciła za sklecone w kiosku misterne zapięcie i z przerażeniem zorientowała się, że puściło.

- Ładnie wyglądasz - stwierdził Tomek, nie odrywając od niej uważnego spojrzenia, po czym zrobił coś, na co zupełnie nie była przygotowana, a mianowicie złapał ją za rękę,

przyciągnął do siebie niedbałym gestem i pocałował w policzek. Jakby była jego własnością.

- Dziękuję - wyjąkała oszołomiona, przestępując idiotycznie z nogi na nogę. Ciągle trzymał jej dłoń w swojej.

- Idziemy? - spytał, po czym, nie czekając na odpowiedź, pociągnął ją w stronę drzwi do klatki schodowej.

Lilka chciała zaprotestować, ale nie mogła. Zarejestrowała tylko, że Tomek otwiera drzwi własnym kluczem - a myślała, że oddał jej cały komplet - i zaraz ogarnęły ją chłód i półmrok starych schodów. Jak zwykle nie działało światło.

Nie zdążyła pomyśleć nic więcej, tylko nagle poczuła, jak Tomek popycha ją na ścianę, pomiędzy skrzynki na listy. Poczula jego dłonie na swoich biodrach i intensywnie znajomy zapach wody kolońskiej.

- Tęskniłem za tobą - wyszeptał i musnął wargami jej ucho. W następnej chwili całowali się jak szaleni i dopiero odgłos kroków piętro wyżej sprawił, że odskoczyli od siebie, oddychając szybko.

- Chodźmy na górę... - Tomek chwycił ją mocno za rękę i pociągnął za sobą na schody.

ROZDZIAŁ 16

Zapadał wieczór. Jagoda kręciła się niespokojnie po stacji kolejki podmiejskiej w Czerwińsku, o tej porze dziwnie opustoszałej i ciemnawej.

Nie, żeby była strachliwa, ale... Oprócz niej na peronie były tylko dwie osoby. Jakiś niechlujnie wyglądający wyrostek, oparty o latarnię, palił papierosa i rozmawiał przez komórkę, używając słów powszechnie uznawanych za wulgarne, a wysoki, barczysty trzydziestolatek o intensywnie rudych włosach przystrzyżonych najeża, który schronił się pod spadzistym dachem zabytkowej poczekalni, mierzył ją od dłuższego czasu bezczelnym spojrzeniem. Cholera, ta kiecka - uświadomiła sobie, zakrywając ręką dekolt. Trzeba było włożyć džinsy.

Mogliby już przyjechać... po raz kolejny spojrzała nerwowo na maleńki złoty zegarek na przegubie lewej ręki. W tym momencie najbliższej położona latarnia nagle zgasła, pograżając pół peronu w ciemności.

Coraz lepiej, pomyślała Jagoda, ale zanim zaczęła się naprawdę bać, zza zakrętu wyłoniła się kolejka.

Kiedy po chwili, zgrzytając hamulcami, zatrzymała się na stacji, z czerwono-żółtych wagonów wysypali się podróżni - całkiem sporo, jak na tę późną porę. Rudy trzydziestolatek podszedł leniwie do starszej, równie rudej kobiety o obfitych kształtach, objuczonej zakupami. Rzucając ostatnie, tęskne spojrzenie w kierunku Jagody, czy raczej jej głębokiego dekoltu, przejął bez entuzjazmu siaty i oddalił się w kierunku miasteczka.

Nagle spomiędzy wysiadających pasażerów wystrzeliła w stronę Jagody niewielka postać w przydużych džinsach, przytłoczona pękatym, czerwonym plecakiem.

- Maciuś! *Querido! Meu garotinho!* - Chłopiec wpadł z impetem w rozpostarte szeroko ramiona Jagody. Przytuliła go mocno, a potem odsunęła od siebie i przyjrzała mu się uważnie. - Ale urosłeś!

- Mamo, coś ty! Przez tydzień? - zaprotestowało dziecko.

- Tak się za tobą stęskniłam, jakby to był miesiąc. - Jagoda zmierzwiła mu włosy pieszczotliwym gestem. - Urosłeś i już. Ciekawe, czy przy okazji zmądrzałeś...

- To nie fair! Jak możesz od razu pytać o szkołę!

- Szkołę? Ani słowem nie wspomniałam o szkole! Gdzieżbym śmiała? Ja tylko... A tak w ogóle to co ty masz w tym plecaku?

- Wziąłem parę rzeczy, żeby mi się nie nudziło. Piłkę, rolki...

- Rower...

Przekomarzając się ruszyli w kierunku samochodu. Lilka, która przyholowała małego z Warszawy, szła kilka metrów za nimi, lekko powłócząc nogami.

- Hej, ciotka, wsiadaj szybko! Kolację jeszcze musimy zrobić! - Jagoda wrzuciła do bagażnika torbę z rzeczami Maćka i zatrzasnęła kufer tak mocno, że aż się zatrzęsło auto. - Maciek, zapinaj pas! Jedziemy! - Była tak podekscytowana pojawieniem się syna, że w ogóle nie zauważyła, w jakim fatalnym nastroju jest przyjaciółka.

Z Czerwińska do hotelu jechało się niecałe dziesięć minut. Przez ten czas Jagoda bez przerwy zadawała pytania o kolegów, dziadków i inne codzienne okoliczności, na które Maciek odpowiadał półsłówkami, wierząc się jak pchła na tylnym siedzeniu i bystro rozglądając dookoła. W zapadającym półmroku niewiele już było widać, ale mimo to chłopiec co chwila wydawał z siebie zachwycone okrzyki. Kiedy

był tu poprzednio, jechali od strony szosy, więc nie miał jeszcze okazji zobaczyć miasteczka.

- Maciek, *calma menino*, co jest wspaniałego w tej ruderze? - pokręciła głową Jagoda. Mijali właśnie rozpadającą się, pochyloną stodołę, stojącą samotnie na polu.

- Jakbym poznał jakichś kolegów, to moglibyśmy tam sobie zrobić bazę - ekscytowało się dziecko. - Albo udawać duchy, tak jak w tym filmie *Wakacje z duchami*.

- W życiu nie słyszałam, żeby w jakiejś stodole straszyło. Ale tobie to, rozumiem, nie przeszkadza. W każdym razie Białą Damę to sobie od razu możesz wybić z głowy.

- Dlaczego? - nadąsał się Maciek.

- Bo takie porządne duchy są zarezerwowane dla zamków i pałaców. Tu może straszyć co najwyżej... biała mysz.

Maciek odburknął coś urażonym tonem, na szczęście w tym momencie skręcili na drogę do hotelu. Zapadające ciemności zatuszowały architektoniczne niedociągnięcia, a dzięki palącym się w oknach ciepłym światłom budynek sprawiał zadziwiająco przytulne wrażenie.

Lilka poczuła nagle w gardle jakiś dziwny ucisk. Przecież wybrała to miejsce po to, żeby zapomnieć o Tomku, o tym, jak ją skrzywdził. Tylko dlaczego teraz wołałaby, żeby on był tu razem z nią?

Mogłoby przecież być tak dobrze... mogliby teraz wspólnie cieszyć się tym miejscem, planować zmiany, może nawet pomyśleć o dziecku?

Tomek... Tomaszek... Tak strasznie za nim tęskniła!

To, co się dzisiaj między nimi stało, przeraziło ją, ale jednocześnie dało nadzieję, że może jeszcze nie wszystko

stracone. Może mogliby znowu być razem? Te wspólne lata były takie cudowne...

Hmm, skoro tak, zreflektowała się nagle, to dlaczego ją zdradził z tą... flądą?

Na wspomnienie sceny w pokoju lekarskim zrobiło jej się zimno z żalu, bólu i złości.

Na końcu nosa już zaczęły jej się zbierać łzy, ale wtedy właśnie Jagoda zahamowała z piskiem opon na podjeździe i zatrąbiła radośnie.

- Ciiii... Co ty robisz? - Lilka odruchowo zmieniła tor myślenia. - Obudzisz gości!

Jagoda wyskoczyła z auta i trzasnęła energicznie drzwiczkami.

- Dziewczyno! - roześmiała się. - Po pierwsze o tej porze nikt normalny nie sypia, a po drugie w zasadzie gości nie ma. Tylko wujek i my. Aha, jeszcze rzeźbiarz... ale on wyjeżdża.

- Dzisiaj? - posmutniała nagle Lilka.

Jagoda rzuciła jej uważne spojrzenie.

- Nie, nie dzisiaj. Jutro z samego rana. Wspominał za to, że zajrzy znowu w przyszłym tygodniu. Zresztą Mazurowa mówiła, że on tu często wpada. Idziemy?

Maciek już otwierał drzwi do hotelu.

- Jaki rzeźbiarz? - zainteresował się nagle. - I jaki wujek?

Odpowiedź, przynajmniej częściowa, pojawiła się, kiedy tylko weszli do środka. W holu, obok recepcji, zastali wuja Stanisława.

Starszy pan ubrany był w wysokie buty do konnej jazdy i elegancką, sportową kurtkę w odcieniu dyskretnej zieleni. Wyglądałby wyjątkowo nobliwie i dystygowanie, gdyby nie fakt, że prawą ręką próbował utrzymać na smyczy młodego, energicznego irlandzkiego setera, który szarpał nim niemiłosiernie.

- Pies! - uszczęśliwiony Maciek rzucił się w jego stronę i już po chwili chłopiec i szczeniak tarzali się radośnie po podłodze.

- Jakie miłe dziecko! - zauważył wujek Stanisław, przyglądając mu się z aprobatą. - Może chciałby wybrać się ze mną i Hugonem na spacer?

- Aaa, oczywiście, na pewno by chciał - odparła słabo Jagoda, którą widok psa co najmniej zaskoczył. - Panie Stanisławie, jeśli wolno spytać, co to za zwierzę?

- Prawda, że piękny? Rasowy seter irlandzki, po championie Europy. Ma niecałe trzy miesiące. To prezent od mojego przyjaciela, nadleśniczego Kordeckiego. Właśnie wyszedł, musiałyście się, moje drogie, minąć z nim dosłownie o włos.

- Ale, ale skąd ten pomysł? - Jagoda, zdenerwowana, obejrzała się na Lilkę, czekając na jakieś wsparcie, jednak przyjaciółka najwyraźniej miała wszystko gdzieś. Stała z boku, zgarbiona, z nieobecny wyrazem twarzy i ściskając kurczowo torebkę, zamyślonym wzrokiem wpatrywała się przed siebie.

- No cóż, stary Kordecki doskonale wiedział, że ja od dawna, w przeciwieństwie do kierowniczkki tego hotelu, chciałem mieć psa. Stefa się wyniosła, więc... - starszy pan uśmiechnął się do Jagody porozumiewawczo. Pochylił się, żeby wziąć do ręki smycz, ciągnącą się za szczeniakiem po ziemi. - Co byście, moje drogie, powiedziały na małą kolacyjkę?

Niemożliwe, pomyślała Jagoda. Zaprasza nas na kolację? Pewnie chce nas przekupić. Ciekawe, co przygotował?

- Byłoby nam bardzo miło...

- Wspaniale. W takim razie za kwadrans spotkamy się w jadalni. Mam ogromną ochotę na naleśniki, ale naprawdę, nie chciałbym wam sprawiać kłopotu. Równie dobrze może być jakaś sałatka albo parówki... - i ruszył w kierunku wyjścia,

ciągnąc za sobą opierającego się psa i wczepionego w niego Maćka.

Na progu odwrócił się jeszcze na chwilę. - Tak sobie pomyślałem... a czy nie znalazłybyście w kuchni trochę kaszy dla Hugona? - I, nie czekając na odpowiedź, wyszedł w ciemność.

Oniemiała Jagoda stała przez chwilę patrząc, jak Maciek biegnie w podskokach za wujkiem Stanisławem, wykrzykując co chwila: „Spuścimy go ze smyczy? Spuścimy go ze smyczy?”. Kiedy zniknęli jej z oczu w wieczornym mroku, pokręciła głową, westchnęła i zamknęła drzwi wyjściowe.

- No to do roboty - zarządziła. - Nie możemy przecież być gorsze od pani Marii. Ty się zabieraj za ciasto na naleśniki, a ja zaniosę bagaże do pokoju i zaraz ci pomogę.

Podeszła do leżącego na środku podłogi plecaka Maćka.

Lilka osunęła się na jeden z foteli stojących w holu, opuściła ramiona i skuliła się w sobie. Nie wyglądała najlepiej.

- Coś nie tak? - bardziej stwierdziła niż spytała Jagoda.

- Nieee - wyszemrała Lilka. - Tylko mi zimno.

- Słucham? Jak do mnie mówisz, to tak, żebym słyszała. Więc?

- Zimno mi - pożaliła się już normalnym głosem przyjaciółka. - Pójdę się przebrać...

- Faktycznie, dobry pomysł. Lepiej, żebyś nie machała patelnią w mojej najlepszej bluzce. A swoją drogą jakbyś się nie rozpinęła do pępka, to by ci było cieplej. Do zobaczenia w kuchni. O Tomeczku pogadamy wieczorem, OK? - Chwycała plecak dziecka i aż się po nim ugięła.

- OK.

Poszły do swoich pokoiów powłócząc nogami, każda z innego powodu.

Kiedy Lilka, w dresach, weszła do kuchni dziesięć minut później, Jagoda właśnie wystawiała z lodówki jajka i mleko.

- No, nareszcie. Czy ty może wiesz, jak się robi ciasto na naleśniki?

- Nie bardzo. Właściwie... nigdy nie smażyłam. Chyba mleko, jajka i mąka, ale w jakich proporcjach, pojęcia nie mam.

- A mnie się coś kojarzy, że woda sodowa do tego idzie. Mamy wodę sodową?

- Jak kupiłaś, to mamy.

Jagoda zajrzała do spiżarki, wyciągnęła litrową butelkę gazowanej wody i postawiła na blacie obok innych produktów. Całość wydała jej się odrobinę... przerażająca.

- Cholera, dlaczego ja się nie oddawałam klasycznym domowym zajęciom, tylko jak głupia siedziałam całe życie przed komputerem? Lilka, dzwoń do matki.

- Do matki? O nie.

- Czemu?

- Bo mnie najpierw zagada, a potem wpędzi w poczucie winy. Lepiej zadzwoń ty. I powiedz, że ten przepis jest ci potrzebny do książki.

- Ale przecież ja tłumaczę, nie piszę!

- Nie bój się, ona się nie orientuje. - Lilka wybrała numer i podała przyjaciółce telefon.

W efekcie konsultacji z lekko zdziwioną Emilią ciasto jakoś powstało, choć przez telefon trochę trudno wytłumaczyć konsystencję. Może dlatego pierwszy naleśnik został z patelni zeszkrobany łąpatką. Drugi właściwie też. Kiedy w jadalni pojawił się wujek Stanisław z Maćkiem i Hugonem, Lilka smażyła trzeci.

Wujek popatrzył z uznaniem na nakryty białym obrusem stolik, zastawiony przez Jagodę wszystkim, co znalazła w lodówce, po czym otworzył kuchenne drzwi i wszedł do środka.

- No to co, moje drogie, siadamy? - zapytał, rozglądając się dookoła. - Hmm, jak tu apetycznie pachnie! Co tam smażysz, kochanie? - Podszedł od tyłu do Lilki i zajrzał jej przez ramię. - Omlecek? Przepysznie! To my z Maciusiem poczekamy na panie w jadalni.

Lilka przez pół sekundy miała ochotę rzucić patelnią o podłogę, ale powstrzymała ją wizja sprzątanania.

- Jagódka, ja się do tego nie nadaję! Mogę robić wszystko, tylko nie gotować! Nie miałam pojęcia, że to jest takie... skomplikowane. I niewdzięczne!

- Niewdzięczny to jest wujek! - stwierdziła spokojnie Jagoda. - Omlecek! A kto powiedział, że naleśnik musi być przezroczysty? Ale rzeczywiście, bez kucharza długo nie pociągniemy. Zwłaszcza że ta cholerna wycieczka przyjeżdża.

Demon wycieczki krążył nad nimi od momentu, kiedy się o niej dowiedziały, i zataczał coraz ciaśniejsze kręgi. Dziesięć osób to nie w kij dmuchał. Nie można ich przecież przez pięć dni karmić wyłącznie kanapkami.

- To co będzie? - Lilka ostrożnie wylała na patelnię następną porcję ciasta.

- Damy to ogłoszenie. W poniedziałek. Może się ktoś pojawi. Jeśli nie, poprosimy o pomoc Mazurową. Ona na pewno potrafi ugotować jakąś zupę. A w najgorszym wypadku... Będziemy dowozić obiady z najbliższej knajpy. Poradzimy sobie, zobaczysz - to mówiąc chwyciła talerz z naleśnikiem. - Zaniosę, a ty smaż dalej.

* * *

Na białej poduszce ciemna główka Maćka wyglądała rozczulająco i niewinnie. Krótkie włoski sterczały co prawda niesforne, zdradzając w ten sposób pewną niezależność ich właściciela, ale zaróżowione po wieczornym prysznicu policzki, równomierny oddech i delikatne cienie rzęs stwarzały bardzo silne pozory, że przykryte kołderką śpi oto najgrzeczniejsze, najspokojniejsze i najmiłsze dziecko pod słońcem.

Jagoda pocałowała go czule w skroń, wciągając w nozdrza zapach mydła, pasty do zębów i ciepłego, czystego ciała, odłożyła na półkę *Rekreacje Mikołajka*, które czytała synowi na dobranoc i zgasła lampkę przy łóżku.

Na elektronicznym budziku migały czerwienią cztery dwójki. Właściwie nie było jeszcze tak późno. Normalnie, kiedy miała jakieś tłumaczenia, dopiero o tej porze mogła usiąść nad nimi w spokoju. Jak to dobrze, pomyślała sobie, wyjmując z szafy czerwony polar i wciągając go przez głowę, że do końca miesiąca nic na nią w wydawnictwie nie czeka. Zwłaszcza, że do tłumaczenia potrzebowała jednej jedynej rzeczy, która tutaj mogła się okazać towarem deficytowym - spokoju. Przez ostatnich kilka dni działo się wokół niej tyle, ile wcześniej przez co najmniej pół roku. Właściwie bardzo jej się to podobało, lubiła wyzwania i naprawdę byłoby świetnie, gdyby nie Lilka, czy raczej jej aktualny stan ducha.

Znały się jeszcze z piaskownicy, później chodziły do tej samej podstawówki, chociaż wtedy nie były jeszcze przyjaciółkami od serca. Potem ich drogi rozeszły się na dłużej - Lilka razem z matką i siostrą wyjechały z miasta, kontakt się urwał, nie pisały do siebie ani nie dzwoniły. Ale kiedy kilka

lat temu Lilka wróciła do Warszawy na studia i przypadkowo wpadły na siebie z Jagodą w bibliotece uniwersyteckiej, znajomość odżyła. Lilka, uciekając od gwaru akademika, stała się prawie domownikiem w malutkim mieszkaniu Jagody i jej męża Michała. Jagoda godzinami wysłuchiwała zwierzeń Lilki na temat pewnego przystojnego studenta medycyny, szykowała ją na randki, a w końcu została poproszona na świadka na ich ślubie. Zgodziła się bez entuzjazmu, bo za Tomkiem nie przepadała. Wiele razy próbowała delikatnie zwrócić Jagodzie uwagę na fakt, że jej narzeczony wykazuje odrobinę zbyt entuzjastyczne podejście do płci przeciwnej, ale Lilka, zakochana po uszy, nie chciała słyszeć ani słowa krytyki na jego temat. Jagoda podświadomie przeczuwała, że przyjaciółka będzie kiedyś płakać z jego powodu, i niestety nie pomyliła się. Przyłapanie męża na zdradzie i rozwód to dla delikatnej Lilki była prawdziwa trauma. Na szczęście jakoś się później wzięła w garść i wydawało się, że zaczyna zapominać. Aż do dzisiaj.

Jagoda dałaby wiele, żeby ten cholerny, czarujący przystojniak zniknął z życia jej przyjaciółki na zawsze, pozwolił jej zapomnieć, nie rozdrapywać ran, dlatego jego nagły wyjazd do pracy w Irlandii ucieszył ją ogromnie. Ale nie, musiał się znowu pojawić i zamieszać biednej dziewczynie w głowie.

Bo Jagoda odniosła niepokojące wrażenie, że dzisiejszy dzień raczej Lilkę do Tomka przybliżył, niż ją oddalił. Żeby to sprawdzić, wzięła z łóżka koc, przymknęła delikatnie drzwi i zapukała do sąsiedniego pokoju.

Odpowiedzi nie było. Niewiele myśląc, nacisnęła klamkę i weszła ostrożnie do środka. W saloniku panował półmrok, rozproszony miodowym światłem starej porcelanowej lampy z abażurem ze złotego aksamitu. Lilka, zwinięta w kłębek, leżała w rogu kanapy i szłochała bezgłośnie, a podłoga

u jej stóp była usiana mokrymi chusteczkami.

- Obraz nędzy i rozpaczy - westchnęła Jagoda i przysiadła obok przyjaciółki. - Cholera, ależ on ci załazł za skórę...

Objęła Lilkę ramionami i mocno przytuliła, głaszcząc jednocześnie po plecach.

- No już, już, cichutko. - uspokajała. - Nie płacz, nie warto. I pomyśl, jak ty jutro będziesz wyglądać...

Być może ten argument okazał się najbardziej skuteczny, ponieważ po chwili Lilka przestała płakać i wysunęła się delikatnie z objęć Jagody. Kunsztowny makijaż, który zrobiła sobie na wyjazd, rozpląnął się po policzkach, tworząc tragicznie smutną mapę drobniutkich kresek i plam.

- Przespałam się z nim - szepnęła Lilka i pociągnęła nosem, przez co wyznanie nie zabrzmiało aż tak dramatycznie, jak powinno. - Jagódka, słyszysz? POSZŁAM Z NIM DO ŁÓŻKA!

Jagoda pokręciła głową z niedowierzaniem.

- No, pięknie! Przecież cię ostrzegałam! Jak mogłaś być taka głupia? - spytała ze złością, po czym szybko się zreflektowała. - Wiem. Rozumiem. To znaczy nie rozumiem, ale próbuję... przepraszam. Mów, Liluś.

- Wszystko przez tę twoją bluzkę - zaczęła Lilka tonem pretensji.

- Bardzo cię proszę, na mnie nie zwałaj. Ja ci się każałam ładnie ubrać, a nie uprawiać z nim seks. A swoją drogą rzeczywiście ten zielony pięknie podkreśla kolor twoich oczu.

- On w ogóle nie patrzył w moje oczy, tylko w dekolt - jęknęła Lilka. - Zupełnie nie wiem, jak to się stało... Kiedy mnie dotknął, pocałował, wszystko odżyło. Takie uczucie, zupełnie jakbym się rozpuszczała... O Jezu... Czy to znaczy, że ja go ciągle kocham?

- No właśnie, i to jest problem. Musisz go odciąć, amputować jak kończynę z gangreną. Wykarczować z serca, rozumiesz? Po pierwsze, ten drań nie jest wart twojej miłości. Po drugie, nie kocha cię, nie łudź się. Po trzecie, on zawsze będzie bolał, to taki typ. Po czwarte, musisz o nim zapomnieć, żeby zacząć wreszcie normalnie żyć. Masz dopiero trzydzieści dwa lata, nie możesz ich spędzić, tęskniąc za facetem, który skacze z kwiatka na kwiatek. Naprawdę, nie wszyscy są tacy popaprani jak on. Znajdziesz sobie kogoś normalnego i uczciwego, zobaczysz. Zresztą nie musisz nawet daleko szukać.

Lilka czujnie nadstawiła uszu.

- Co masz na myśli?

- Nie co, tylko kogo - ożywiła się Jagoda, zadowolona z reakcji Lilki. - Przecież widzę, jak ten yeti na ciebie patrzy.

- Jaki yeti!?

- Ojej, no ten rzeźbiarz przecież. Duży taki, włochaty i jasny, tak mi się skojarzyło. W każdym razie gapi się na ciebie jak sroka w gnat, więc jakbyś sobie wreszcie dała spokój z tym całym Tomeczkiem...

Lilka odruchowo wyprostowała się i poprawiła włosy, choć nie wpłynęło to jakoś specjalnie na polepszenie jej wizerunku.

- Uważasz, że... ja mu się podobam? - spytała nieśmiało.

- Bo mnie się wydawało, że to raczej ty...

- Oczywiście, że mu się podobasz! I to jak! Nawet Mazurowa zauważyła!

Lilkę zatkało.

- Mazurowa? Co ty mówisz?

- Była dzisiaj po południu, dopadła mnie w recepcji i zagadła na śmierć. Kopalnia informacji! Po pierwsze, zachwycała się tym panem Wojtusiem, jakby jej za to płacili: że taki przystojny, miły, grzeczny, w ogóle ideał, a najważniejsze, że do tego samotny. Podobno żona od niego odeszła

jakiś rok temu, Mazurowa twierdzi, że niezła z niej była żołą. W każdym razie, panu Wojteczkowi to chyba nawet ulżyło, przeniósł się gdzieś pod Toruń, całymi dniami siedzi w pracowni i rzeźbi. Do nas tak często przyjeżdża tylko dlatego, że w Czerwińsku mieszka jakiś kowal, u którego zamawia metalowe elementy do tych swoich instalacji. Podobno całkiem dobrze się sprzedają. Oczy Lilki robiły się coraz większe ze dziwienia.

- Niesamowite... skąd ta Mazurowa tyle wie?

- Pewnie jakoś z niego wyciągnęła. No i powiedziała, że on się o ciebie strasznie dopytywał. Skąd się tu wzięłaś, co robiłaś wcześniej w Warszawie, czy jesteś mężatką... Poważnie. A ty co o nim właściwie, Liluś, myślisz?

- Sama nie wiem... - Na twarzy Lilki pojawił się nieśmiały uśmiech. - Ma takie niesamowite oczy... I miło się uśmiecha... strasznie mnie to peszy, nie wiem zupełnie, dlaczego.

- Nie wiesz dlaczego! Dobrze sobie! Bo ci się podoba! Żeby jeszcze ten Tomuś jakoś z ciebie wyparował...

Na wspomnienie o byłym mężu Lilka automatycznie znowu posmutniała.

Chwilę siedziały, nic nie mówiąc.

- I co teraz zamierzasz? - spytała wreszcie Jagoda.

- Mam nadzieję, że nie będziesz się więcej z nim spotykać?

Za oknami szumiały drzewa, poruszane coraz silniejszym wiatrem. Zapowiadała się zmiana pogody. Lilka wytarła nos i popatrzyła niepewnie na przyjaciółkę.

- Wiem, że nie powinnam. I sama do niego nie zadzwonię... chyba - dodała po chwili cichutko. - Zresztą on już niedługo wraca do Irlandii.

Jagoda wzniosła ostentacyjnie oczy ku niebu.

- Dobra, rozumiem, lepiej nie kończ, bo zaraz mi się znowu rozkleisz. Wiesz co, a jakbyśmy tak podłączyły to twoje DVD i obejrzały sobie *Notting Hill*?

ROZDZIAŁ 17

Ostre promienie porannego słońca precyzyjnie się z łatwością przez tkaną w duży kwiatowy wzór starą firankę i zatrzymały na policzku śpiącej spokojnie Lilki. Ich delikatny, ciepły dotyk sprawił, że po chwili otworzyła oczy i rozejrzała się zaspanym wzrokiem w poszukiwaniu budzika. Dochodziła szósta. Lilka przeciągnęła się, poprawiła poduszkę i jeszcze przez chwilę leżała, rozmyślając. Nie wiedziała, czy to z powodu pięknej pogody za oknem, czy może jakiegoś miłego snu, po którym nie pozostało żadne konkretne wspomnienie, w każdym razie czuła się o niebo lepiej niż poprzedniego wieczoru.

Wszystkie smutki, obawy i wątpliwości gdzieś znikły, ustępując miejsca radosnej energii, która nie pozwoliła Lilce ponownie usnąć. Pokręciła się więc jeszcze trochę w pościeli, po czym nagle postanowiła wstać i jeszcze przed śniadaniem pójść na spacer.

Szybko ubrała się w swój ulubiony, brązowy dres i adidasy, niecierpliwym gestem zebrała opadające włosy w luźny kucyk i zajrzała do saloniku, gdzie na kanapie smacznie spała Jagoda. Przyjaciółka miała na sobie ten sam czerwony polar, w którym poprzedniego wieczoru wpadła na plotki, a na jej smągłym policzku widać było czarne smugi tuszu, rozmazanego podczas snu. Lilka uśmiechnęła się na jej widok, przeszła obok na palcach i ostrożnie wymknęła się na korytarz.

O tej porze hotel był jeszcze kompletnie uśpiony. Codzienny ruch miał się zacząć najwcześniej za godzinę. Lilka szybkim krokiem minęła recepcję, podeszła do drzwi wyjściowych, odsunęła ciężką zasuwę i wydostała się na zewnątrz.

Uderzyło ją w twarz rześkie, pachnące świeżością powietrze. Na sztywnych igłach srebrnych świerków, rosnących obok, i na dywanie krótko przystrzyżonej trawy migotały w słońcu krople rosy, a z pobliskich zarośli dobiegało delikatne poćwierkiwanie budzących się ptaków.

Lilka odetchnęła głęboko, poprawiła opadający kucyk i ruszyła w lewo, alejką między tujami. Szła szybkim, energicznym krokiem, a żwir chrząścił pod jej stopami. Minęła garaż, stary basen i ścieżka zaprowadziła ją aż pod płot opasujący posesję, do kiedyś zielonej, teraz rdzawoburej bocznej furtki.

Lilka położyła rękę na klamce i nacisnęła ostrożnie. Przy niemiłym akompaniamencie zgrzytania zawiasów furtka powoli stanęła otworem. Lilka miała teraz przed sobą otwartą, zazielenioną młodym owsem przestrzeń pola, wśród której osiadła duża, nastroszona kępa sosnowego zagajnika. Niewiele myśląc, ruszyła w jego kierunku wąską ścieżką, biegnącą wzdłuż płotu. Już po kilku krokach musiała zwolnić, bo stopy co chwila trafiały na kamienie, zapewne wyorane i odrzucone z pola. Na jednym z nich o mało nie zwichnęła sobie kostki. Zaczęła więc patrzeć uważnie pod nogi, a w którymś momencie schyliła się, żeby podnieść jeden wyjątkowo piękny, kanciasty, chropowaty i nakrapiany, poprzecinany siecią jaśniejszych, błyszczących żyłek.

Zważyła go w dłoni. Był ciężki, chłodny, a w jego wnętrzu wyczuła uwięzioną moc. Za to właśnie lubiła kamienie. Chciałaby być taka jak one - silna, twarda, niezmienna. Może wtedy wiedziałyby, co robić dalej ze swoim życiem...

Z zamyślenia wyrwało ją skrzypienie furtki. Odwróciła się, zaskoczona, i zobaczyła na ścieżce za sobą wysoką, męską postać. Jasne, rozwichrzone włosy, jasna, pogodna twarz i opatrunek na lewej dłoni. Rzeźbiarz.

W pierwszym odruchu miała ochotę uciec, ale zdała sobie sprawę, że wyglądałoby to idiotycznie. Została więc na miejscu, a chłodny kamień w rękę dodawał jej odwagi. Ścisnąc go mocno, spokojnie obserwowała zbliżającego się szybko mężczyznę.

- Dzień dobry! - przywitał się, uśmiechając do Lilki szeroko. - Co pani tutaj porabia tak rano?

Zatrzymał się tak blisko, że poczuła zapach wody po goleniu. Jego obecność dziwnie ją peszyła. Nogi, już tradycyjnie, ugięły się jej w kolanach, a na twarzy pojawił się rumieniec. Żeby go jakoś ukryć, opuściła nisko głowę, z przesadnym zaciekawieniem przyglądając się zupełnie nieinteresującej w tym miejscu ścieżce.

- Zbierałam kamienie - bąknęła pierwsze, co jej przyszło do oszołomionej głowy. Na potwierdzenie wyciągnęła w jego stronę prawą dłoń, na której wciąż spoczywał znaleziony kawałek skały. Rzeźbiarz ujął jej rękę w swoje.

- Granit... - uśmiechnął się do niej jeszcze szerzej i nagle zapadło między nimi dziwne milczenie. Stali tak nieruchomo naprzeciw siebie, a rzeźbiarz ani myślał puścić jej dłoni.

Dopiero po chwili, która dla Lilki trwała kilka lat, mężczyzna drgnął i odchrząknął, a następnie zapytał głębokim głosem, zaglądając jej uważnie w oczy:

- Lubi pani kamienie?

- Bardzo... - wyszeptała i delikatnie wyjęła dłoń z jego rąk. Było niezwykle miło stać z nim tak blisko i czuć jego dotyk, ale robiło to na Lilce zbyt silne wrażenie. A silnych wrażeń po wczorajszym dniu miała dosyć. Jedyne, czego obecnie potrzebowała, to dystansu.

Ruszyli wolno z powrotem.

- Ja też je lubię. Mają w sobie ukrytą siłę, są twarde, niełatwo je pokonać. - Kiedy to mówił, zdziwiona Lilka słyszała w jego słowach własne myśli. - Coś o tym wiem, bo używam

ich do niektórych instalacji. Łączę je z żelazem, miedzią, czasami z drewnem... Niestety, nigdy nie wiadomo, jaki będzie efekt końcowy. Kamienie, tak jak ludzie, potrafią mieć swoje kaprysy. I bardzo trudno jest z nimi wygrać.

- Wie pan - zaczęła, zdziwiona własną odwagą - ja czasami im zazdroszczę. Że są takie mocne, jednoznaczne, ale przede wszystkim - że nie czują...

- Naprawdę uważa pani, że dobrze jest nic nie czuć? - zapytał, zatrzymując się przed furtką. Patrzył na Lilkę uważnie, a jego błękitne oczy na chwilę przestały się uśmiechać.

- Czasami... Wtedy mniej się cierpi. - Poczwała, że głos nabrzmiewa jej łzami.

Mężczyzna też musiał to zauważyć. Otworzył furtkę przed Lilką i przytrzymał, kiedy przechodziła.

- No cóż, pani nie wygląda na osobę z kamienia - powiedział, a po chwili dodał cicho: - Na szczęście.

Przez chwilę szli w milczeniu, wsłuchując się w odgłos swoich kroków i ptasi harmider dobiegający z żywopłotu.

- Dziś po śniadaniu wyjeżdżam - odezwał się nagle rzeźbiarz. - Ale niedługo wpadnę znowu, i to chyba na dłużej, będę musiał przypilnować zamówienia.

- A... kiedy? - spytała odruchowo Lilka, i w tym momencie potknęła się o wystający z ziemi korzeń.

Na krótką chwilę straciła równowagę, zachwiała się i żeby nie upaść, chwyciła rzeźbiarza za rękę. Przytrzymał ją i, choć nie było to potrzebne, otoczył troskliwie ramieniem. Pod wpływem jego dotknięcia Lilka zadrżała, a pod wpływem spojrzenia, które zatrzymało się, nie wiedzieć czemu, na jej ustach, zarumieniła się ponownie.

- Kto to słyszał, spaceruje o tej porze... - rozległ się tuż obok szorstki, gderliwy głos. Odskoczyli od siebie, jakby

oboje byli namagnesowani ujemnie. Zza wielkiego krzaka azalii wyszedł stary ogrodnik, a tuż za nim jego włochaty, skudłacony pies. Przecięli ścieżkę i, nie oglądając się za siebie, zniknęli między tujami.

- To pan Antoni, nasz ogrodnik - wyjaśniła potwornie speszona Lilka, nerwowo poprawiając opadający kucyk. - Przepraszam, on bywa czasami trochę... niemiły.

- Nie ma mnie pani za co przepraszać - uśmiechnął się rzeźbiarz. - A teraz chyba powinniśmy już wracać, bo syn pani przyjaciółki za chwilę wypadnie z tego okna.

Lilka popatrzyła w kierunku hotelu i zamarła. Na parapecie jednego z okien pierwszego piętra siedział okrakiem Maciuś, machał nogami i najbezcelniej w świecie podglądał ich przez lornetkę.

Querido,

Siedzę sobie właśnie w recepcji, ale nie naszej, tylko w pałacu w Radziejowicach, korzystając z dobrodziejstwa nowoczesnej technologii, czyli internetu... którego u nas na razie nie ma i kiedy będzie, nie wiadomo. Ale poza tym: *tudo em ordem...* czyli OK, co innego można napisać :-), a zresztą przypadkiem to prawda. Siedzimy od kilku dni z Lilką na wsi, usiłując prowadzić ten hotel po jej ciotce. Zaraz pierwszego dnia kierowniczką, o której Ci poprzednio pisałam, no wiesz, ta okropna tleniona raszpla z pazurami, obraziła się i uciekła.

W pierwszym momencie nawet nam się to spodobało, ale ta mała cholerna zabrała ze sobą recepcjonistkę, a co gorsza kucharkę! Wyobrażasz mnie sobie w kuchni? No właśnie...:-) Ale jesteśmy dzielne. U Maćka też wszystko gra. Przyjechał tu na weekend, to się trochę wyszaleje, bo wiesz jak Twoja Matka go tam trzyma przy spódnicy. Ani zipnie, biedaczek, ale za to poprawił się z matmy. Pewnie już nie

wiedział, co ma ze sobą w domu zrobić, to się z nudów do nauki zabrał. Byłbyś z niego dumny, ostatnio znowu urósł i już się nie da wziąć publicznie za rękę, bo to wstyd. Co poza tym? Skończyłam jedno tłumaczenie, wiesz, dla Ambera i teraz mam trochę wolnego. Ostatnio nie mam właściwie czasu na pracę koncepcyjną, ale z drugiej strony dobrze mi robi taka mała przerwa... wakacje od myślenia :-).

Ale wracając do hotelu... dziura zabita dechami, gdzieś na tyłach Radziejowic, no wiesz, co to nawet pies z kulawą nogą... ale za to powietrze świeże, prosto od krowy, warzywa z ogródka, co prawda ogrodnik straszny mruk, ale żenić się z nim przecież nie musimy, a swoją robotę zna... poza tym jest tu jeszcze niejaka Mazurowa, klasyczna wiejska baba, o której złego słowa nie powiem, bo bez niej byśmy całkiem przepadły. Przynosi nam świeże jajka i jeszcze świeższe wiadomości, a sprzęta jak jakiś robocop. Na razie wszystko w powijakach, co Ci będę szczególnie opisywać, tylko się znudzisz, ale w każdym razie droga daleka przed nami zanim coś z tego hotelu będzie.

Ale i tak się cieszę, to wielka frajda pracować z Lilką, a poza tym każda odmiana dobra po ciężkostrawnej atmosferze na Madalińskiego. Już widzę, jak się tam pod nosem uśmiechasz, ale przecież wiesz, jak jest z Twoimi rodzicami, co Ci będę w bawełnę owijać.

Co u Ciebie, kochanie? Jak idzie praca? Nie dopadła Cię aby jakaś malaria czy inna denga? Ciągłe się tym martwię. Uważaj na siebie, kochany, napisz coś. Nie wiem, co prawda, kiedy znowu uda mi się zajrzeć do poczty. Mimo to napisz, koniecznie. Napiszesz coś, *queridinho*... choć parę słów *palavras especialmente para me, ta bom*? Ja Ciebie jak zawsze bardzo-bardzo... wiesz co... tęsknię, tęsknię, tęsknię, *ate!*

ROZDZIAŁ 18

Wielki, czerwony teletubiś kołysał się nad brezentowym daszkiem straganu. Lekki wiatr poruszał jego plastikowym błyszczącym ciałkiem, przywiązany do sznurka owiniętego wokół metalowej poprzeczki. Obok, na trochę krótszych uwięziach, kiwały się słoniki, króliczki, delfinki i tęczowe rybki, tworząc wyjątkowo malowniczą i optymistyczną grupę.

- Mamo, mamoo, kup mi balona! - miauknął Maciek, ciągnąc Jagodę za rękaw krótkiej, sztruksowej kurtki, którą miała na sobie. - Mamooo!

Jagoda, która rozglądała się ciekawie dookoła, zareagowała w sposób charakterystyczny dla lingwisty.

- Po pierwsze, nie mówi się balona, tylko balon. Po drugie, przed chwilą wyciągnąłeś ode mnie dziesięć złotych, więc może byś przystopował? Po trzecie, ty już chyba trochę za stary jesteś na baloniki, co?

- Oj, mamuś! - Maciek zaczął skakać dookoła matki jak na sprężynach, machając jednocześnie świeżutko nabytym plastikowym karabinem na kulki. - Będę sobie do niego strzelać!

Jagoda wybuchnęła śmiechem i pociągnęła synka leciutko za ucho.

- Ech ty, geniusz! Raz trafisz i koniec. Lilka, tutaj! - pomachała do przyjaciółki, która stanęła po drugiej stronie ulicy i rozglądała się bezradnie za nimi. Od prowadziła właśnie wuja Stanisława do kościoła i teraz próbowała odnaleźć wzrokiem Jagodę i Maćka wśród tłumu elegancko ubranych mieszkańców miasteczka, ściśle wypełniających niewielką przestrzeń rynku, otoczoną ustawionymi prowizorycznie straganami.

Kiedy rano, przy śniadaniu, zastanawiały się, jak zaplanować niedzielę, wujek Stanisław zapytał, czy Jagoda nie zawiozłaby go na mszę do miasteczka. Dało to dziewczynom świetny pretekst, żeby nareszcie ruszyć się z hotelu w innym niż aprowizacyjny celu. Maciek radość z wyjazdu wyraził tak energicznie i szczerze, że o mało nie przewrócił stolika. Co prawda jego entuzjazm odrobinę osłabł na wieść, że Hugon się na wycieczkę nie załapie, ale i tak przez następne pół godziny, czyli do momentu wyjazdu, nie mógł usiedzieć na miejscu. Zdażył przez ten czas wymusić na matce obietnicę lodów, obejrzenia miejscowej szkoły oraz odwiedzenia Mazurowej, która w sobotę podczas sprzątania wspomniała coś o świeżo wyklutych kurczakach.

Lilka wyobrażała sobie, że spędzi miłą godzinkę snując się niespiesznie po opustoszałych uliczkach, toteż widok pełnego ludzi rynku nieco ją zaskoczył.

- Zupełnie zapomniałem - chrząknął wujek. - Dziś odpust w tutejszej parafii. Liliano, czy będziesz tak miła i odprowadzisz mnie do kościoła? Jakoś tak... słabo się czuję.

Lilka posłusznie podała mu ramię, łowiąc po drodze rozradowane spojrzenie Jagody. Wujek Stanisław, okaz zdrowia, najwyraźniej postanowił wykorzystać sytuację i pokazać się wszystkim z ładną dziewczyną u boku.

- I co, nie zemdłał ci po drodze? - spytała Jagoda, puszczając oko do nadchodzącej przyjaciółki.

- Daj spokój, on naprawdę blado wyglądał - stanęła Lilka w obronie wujka. - Prosił, żebyśmy na niego poczekały.

Zaczęły krążyć między straganami, pełnymi przeróżnego kolorowego badziewia. Plastikowe piłeczki na gumce, kłapiące skrzydełkami kaczki na kółkach, pierścionki ze złotej blaszki, kubki z imionami, wisiorki ze znakami zodiaku...

Można było dostać oczopląsu. Maciek co chwila wybuchał zachwytem nad kolejnym gadżetem i głośno wyrażał pragnienie wejścia w jego posiadanie, czego Jagoda nawet nie próbowała komentować. Gdyby zgodziła się na kupno chociaż połowy tego, na co miało ochotę jej dziecko, do hotelu musieliby wracać ciężarówką.

W końcu, żeby mieć choć chwilę spokoju, wręczyła Maćkowi dwie pięćdziesiątówki i pozwoliła mu buszować po rynku samodzielnie. Dopiero wtedy mogły się z Lilką skupić na oglądaniu tak nieatrakcyjnych dla dziesięcioletka towarów, jak jedwabne chustki, naczynia gliniane czy ludowe wycinanki z papieru. Obeszły już prawie wszystkie stoiska, kiedy nagle Jagoda zatrzymała się gwałtownie, przytrzymując Lilkę za rękę.

- Patrz! - syknęła. - Tam, obok budki telefonicznej! - i wysunęła brodę w prawo, wskazując kierunek.

Lilka przez chwilę nie mogła skojarzyć, skąd zna stojącą do niej bokiem kilka metrów dalej kobietę. Poznała ją dopiero po chwili, kiedy tamta odwróciła się przodem.

- O jejku! Stefa?! A co ona tutaj robi?

Odruchowo cofnęły się, próbując ukryć za przeszkloną budką z watą cukrową w kolorze różu.

- Właściwie dlaczego my się przed nią chowamy? - spytała szeptem Lilka, śledząc wzrokiem byłą kierowniczkę hotelu, która, stojąc ciągle w tym samym miejscu, rozglądała się uważnie dookoła.

- Nie wiem - odparła również szeptem Jagoda. - Ale ciekawa jestem, co ona tu robi?

Na odpowiedź nie musiały długo czekać, bo właśnie w tym momencie do Stefy, ubranej w obcisłą kreację, bardzo błyszczącą i bardzo przypominającą skórę lamparta, podszedł jakiś młody mężczyzna. Przez chwilę widziały tylko jego szerokie plecy w dżinsowej, kusej kurtce i rude kosmyki

wychodzące spod bejsbolowej czapki.

Stefa na jego widok uśmiechnęła się łaskawie i wyciągnęła rękę na powitanie. Mężczyzna szybkim ruchem ściągnął czapkę, chowając ją sobie pod pachę, i pochylił się skwapliwie, żeby pocałować upierścienioną dłoń.

- Jaki dżentelmen, kto by pomyślał – zauważyła Jagoda.
- Mnie się wydaje, że ja już go gdzieś widziałam...

Stefa z zaferowaną miną wzięła mężczyznę pod łokieć i pociągnęła w kierunku jezdni, okalającej rynek. Szła, nachylona do niego i coś mówiła, gestykulując jednocześnie wolną ręką. Kiedy podeszli do starego, białego mercedesa, którego kierowca najwyraźniej czekał na Stefę, młody człowiek otworzył przed nią drzwiczki i przytrzymał czekając, aż kobieta wsiądzie. Potem przez chwilę patrzył za odjeżdżającym autem, w końcu odwrócił się i szybkim ruchem naciągnął z powrotem na głowę czapkę.

- Jasne, to ten rudy, widziałam go w piątek na stacji! - Jagoda wychyliła się zza budki z wata, żeby mu się lepiej przyjrzeć.

- Dzień dobry, pani Jagódko kochana! Za kim tak pani oczy wypatruje? - rozległ się nagle tuż obok radosny głos Mazurowej. - O, i pani Lilusia też jest. A wzięłyście ze sobą małego?

Jagoda, przyłapaną na gorącym uczynku, aż podskoczyła.

- Wzięłyśmy, wzięłyśmy! Gdzieś tu biega. Dzień dobry! - przywitała się, uśmiechając niewinnie. - Właściwie to ja się rozglądałam za panią, bo Maciuś strasznie chciał te kurczaki zobaczyć, a my przecież jeszcze nie wiemy, gdzie pani mieszka.

Mazurowa poprawiła żabot białej, aksamitnej bluzki, spięty pod szyją owalną, srebrną broszką z bursztynem.

- Tu niedaleko, zaraz za kościołem. To gdzie ten mój aniołeczek? Ja już po mszy świętej jestem, chętnie go ze sobą wezmę, może i panie się przejdą, kawki u mnie na piją? - zwróciła się do Lilki.

Jagoda, która postanowiła rozejrzeć się za swoim wszędobylskim synkiem, zrobiła krok do tyłu i uniosła lekko na palcach. W tym momencie ktoś przechodząc za nią popchnął ją tak mocno, że straciła równowagę i musiała oprzeć się na ramieniu stojącej obok Lilki. Odwróciła się wściekła i stanęła twarzą w twarz z rudym w bejsbolówce.

- Pan mnie popchnął - warknęła.

Młody człowiek obrzucił ją lepkiem spojrzeniem wąskich, jasnoblękitnych oczu.

- No i co? Chciałem, to kurwa pchnąłem... nieźła z ciebie laseczka... - Jego wzrok przesunął się taksująco po dekolcie Jagody i zatrzymał na jej biodrach.

- Bezczelny cham!

Rudy roześmiał się, pstryknął palcami w daszek bejsbolówki i, pogwizdując pod nosem ostatni przebój disco polo, odszedł leniwym, kołyszącym się krokiem.

Mazurowa aż rękę do serca przyłożyła ze zdenerwowania.

- Pani Jagodo! Ja panią strasznie za niego przepraszam! Ten Rysiek, Laskowskiej syn, to nieźle ziółko. W okolicy wszyscy się go boją, mówią, że gangster i w ogóle. W bójki się ciągle jakieś wdaje, rozróby, w poprawczaku nawet kiedyś siedział. Niech pani na niego uważa, bo jak się na kogoś uweźmie, to szkodę może jaką zrobić, nie daj Bóg.

Ale zanim Jagoda zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, obok Mazurowej wyrósł nagle, jak spod ziemi, niewysoki facecik

w średnim wieku. Miał sympatyczną, choć zdecydowanie brzydką twarz i rzadkie, ciemne włosy, zaczesane starannie do tyłu i pociągnięte grubą warstwą brylantyny. W granatowym, trzyczęściowym garniturze w prążki, śnieżnobiałej koszuli i czarnych lakierkach wyglądał tak, jakby się wybierał na własne wesele.

- Władzio! - ucieszyła się na jego widok Mazurowa.

- Jak to miło tyle pięknych pań naraz spotkać! - Mężczyzna uklonił się szarmancko, obrzucając ciekawym spojrzeniem Lilkę i Jagodę.

Mazurowa wydała z siebie pensjonarski chichot i odruchowo poprawiła żabot bluzki.

- A bo wy przecie jeszcze naszego Władzia nie znacie... On jest złota rączka, najlepszy fachowiec w całej okolicy.

- Bardzo nam miło - uśmiechnęły się dziewczyny.

- Ale od czego fachowiec? - chciała wiedzieć praktyczna jak zawsze Jagoda.

- No, jak to od czego? Od wszystkiego. Jakby się coś, tfu, nie daj Boże, w hotelu zepsuło, to tylko jego wołać. Bo to widzisz, Władziu, panie są nowe właścicielki hotelu.

- O Jezusieńku, jaki zaszczyt! - rozczulił się pan Władek.

- Ja naprawię, co tylko trzeba będzie: dostroję, dokręcę, wyreguluję... Szczególnie, że to dla takich ślicznych pań! - z entuzjazmem wycisnął na dłoniach zażenowanych dziewcząt soczyste pocałunki.

A potem się rozgadał. O wsi, o sołtysie, o nieboszczce pani Felicji, a kiedy zaczął wychwalać pod niebiosa zalety miejscowego proboszcza, Jagoda postanowiła zdezerterować.

- Bardzo przepraszam, muszę poszukać syna - oznajmiła niewinnie. - Bardzo było miło pana poznać.

- Ale wróci pani do nas, pani Jagodzieńko, prawda?! - zaniepokoił się pan Władzio, korzystając z pretekstu i całując ją na pożegnanie w rękę. - A ja teraz postawię paniom świetne piwko z sokiem...

- To naprawdę bardzo miło z pana strony - bąknęła Lilka, patrząc z zazdrością na plecy oddalającej się Jagody.

- Drobiazg, drobiazg - zapewniał, ciągnąc ją w kierunku stoiska z piwem. - Przecież ja dla ślicznych pań wszystko! Każdy kran, każdą nieszczelność...

Na szczęście Mazurowa się nad nią zlitowała.

- A dajże wreszcie spokój, Władek, całymi dniami dziewczyniny w hotelu siedzą, wyrwały się biedule na chwilę, a ty żyć nie dasz. Dość już tego! Idź na strzelnicę, kwiatka ustrzel dla pani Lilki, a my tu sobie na ławeczce poczekamy.

Jagoda instynktownie skierowała się w stronę największego zagęszczenia ludzi. Pod rozłożystą, starą lipą, rosnącą na środku rynku, zebrał się spory tłumek, skupiony wokół kawałka asfaltu, po którym z przejmującym, metalicznym skrzypieniem poruszało się kilka wysłużonych gokartów na pedały. Jagoda przepchnęła się do przodu.

- Mamuś, patrz!

W jednym z gokartów, oczywiście w tym, który poruszał się najszybciej i co chwila z impetem uderzał o inne, siedział Maciek. Pomachał teraz do Jagody radośnie, stracił panowanie nad kierownicą i walnął w wielkie, tekturowe pudło, którym zabezpieczono tor.

- Brawo! - krzyknęła w jego kierunku. - Uważaj na głowę!

- Jeszcze pięć minut! - wrzasnął mały, wycofał swój pojazd i ruszył w kolejną rundkę dookoła lipy.

Jagoda parzyła za nim z czułością. Jak ten czas szybko leci, pomyślała. Przecież niedawno leżał spokojnie w wózku i najwyżej grzechotką machał, a teraz... Taki samodzielny facecik wyrósł...

Tłumek wokół niej gęstniał z minuty na minutę, przepychając ją w kierunku miejsca, gdzie stało jeszcze kilka niewypożyczonych gokartów. Ale ponieważ widoczność stamtąd była zdecydowanie gorsza, Jagoda postanowiła, że nie da się ruszyć więcej ani o milimetr.

- Proszę się nie pchać - zaprotestowała ze złością.

Mimo to osoba stojąca z tyłu napierała na nią coraz mocniej.

Nagle poczuła, jak czyjaś dłoń przesuwają się jedno znaczącym ruchem po jej pośladku.

- Niektóre lubią, jak się pcha... - usłyszała tuż nad uchem. Zamarła. Ten głos, zaczepny, prostacki, już dzisiaj słyszała.

Rozwścieczona próbowała się odwrócić, ale Laskowski przytrzymał ją za ramiona.

- Będę miał na ciebie oko... cały czas - wydyszał, wtulając twarz w jej włosy. Kiedy oburzona gwałtownie się szarpnęła, mężczyzna zacisnął jeszcze mocniej ręce na jej ramionach i jeszcze bliżej przyciągnął ją do siebie.

- Spokojnie, lalka. Jeszcze żadna mi nie odmówiła...

- Puszczaj, ty chamie! - Jagoda szarpnęła się z całej siły.

O dziwo, napastnik ustąpił. Jagoda odwróciła się gwałtownie, przygotowana na konfrontację, ale zobaczyła już tylko jego plecy. Laskowski przeciskał się przez tłum, nie oglądając za siebie.

Ktoś pociągnął ją mocno za rękaw kurtki.

- Ale było super, wiesz?! - Maciek stał przed nią, wpatrując się z niepokojem w jej twarz. - Mamo, mamo, co się stało? No, co się stało?

* * *

Przez całą drogę powrotną do hotelu Jagoda, zdenerwowana zajściem z Laskowskim, prowadziła jeszcze ostrzej niż zwykle, a Maciek z tylnego siedzenia nawijał non stop, wymachując jednocześnie karabinem, więc na widok hotelowej bramy reszta pasażerów odetchnęła z ulgą. Jagoda wzięła gwałtownie zakręt, na ostatniej prostej docisnęła gaz, po czym nagle z całej siły zahamowała.

Na podjeździe, w miejscu, gdzie zwykle parkowała, stało małe czarne suzuki.

- Ewcia! - ucieszyła się Lilka, odpinając pas i wyskakując z auta. - Eeeewcia! - krzyknęła, rozglądając się w poszukiwaniu siostry, ale nie było jej nigdzie w zasięgu wzroku.

- Maciuś, sprawdź w garażu, dobrze?

Chłopcu nie trzeba było dwa razy powtarzać. Wystartował z przyspieszeniem formuły jeden i już po chwili wrócił ze zgubą. Ewelina miała na sobie obcisłe, czarne dżinsy z wystrzępionym pęknięciem na kolanie i czarny t-shirt. Czarne do łokci były również jej ręce.

- Cześć, kochane! - zaczęła wesoło i w tym momencie dostrzegła stojącego za nimi wuja Stanisława. - Wujku! - ucieszyła się i podbiegła do niego. - Pamiętasz mnie?

Starszy pan położył Ewelinie dłonie na ramionach i przez chwilę wpatrywał się w nią z zachwytem.

- Ostatni raz, kiedy cię widziałem, miałś dziewięć lat. To była twoja komunia, upał, wszystkie dziewczynki z gołymi nogami, tylko ty w białych rajstopach... Dopiero w domu się okazało, że matka kazała ci uszyć za krótką sukienkę i trzeba było jakoś zamaskować poobijane kolana - uśmiechnął się na to wspomnienie. - Kto by wtedy pomyślał, że taka piękna kobieta z ciebie wyrośnie... Witaj! - ucałował ją serdecznie w policzek.

- Żeby wujek teraz zobaczył moje kolana - roześmiała się, oddając mu pocałunek. - Jeszcze gorsze!

- A to, przepraszam, dlaczego? - nie mógł oderwać od niej wzroku.

- Bo ona, wujku, chodzi po skałkach, skacze ze spadochronem i jeszcze inne uprawia zwariowane sporty. - wyjaśniła Lilka.

- No proszę, wykapany ojciec - wuj z uznania aż klasnął w rękę.

Lilka zwróciła się do siostry z nutą pretensji w głosie:

- Dlaczego nie uprzedziłaś, że przyjedziesz?

Ruszyli wszyscy w kierunku wejścia. Maciek podskakiwał wokół wujka, czekając z niecierpliwością, aż wejdą do środka i starszy pan wreszcie wypuści z pokoju Hugona.

- A jak myślisz? Zajrzyj w telefon. Chyba z pięć razy dzwoniłam, nie odbierałaś.

Lilka posłusznie sięgnęła do torebki i wyjęła z niej komórkę.

- Oj, rzeczywiście, masz rację. Cztery nieodebrane połączenia. Ale byłyśmy na festynie, nie słyszałam.

Ewelina westchnęła.

- Ty nigdy nie słyszysz. Wejdź sobie, dziewczyno, w menu i ustaw głośność dzwonka na najwyższą. Po co komu komórka, jak jej nie odbiera...

- Wujku! - Chciała wziąć starszego pana pod ramię, ale w ostatniej chwili się zreflektowała. Elegancka marynarka niechybnie wyładowałaby wtedy w praniu, i to chemicznym.

- Musi wujek koniecznie obejrzeć, jakie cacko znalazłyśmy w garażu! Teraz już się takich samochodów nie spotyka.

- Mówisz o trabancie? Rzeczywiście, nie spotyka się... Tylko nie wiem, czy określenie „samochód” w jego kontekście nie brzmi zbyt dumnie. – Odchrząknął i spojrzał na zegarek. - Moje drogie, dochodzi południe. Idealna pora na kawę, nie sądzicie?

Wszystkie trzy przytaknęły skwapliwie, przy czym Jagoda i Lilka nie miały żadnych wątpliwości, kto tę kawę będzie musiał zrobić.

- W takim razie idziemy prosto do jadalni, a ty, młodzieńcze, weź proszę Hugona na smycz i wyprowadź na spacer. Tu masz klucze.

Kwadrans później kuchnię wypełnił intensywny aromat. Lilka przelała czarny, esencjonalny płyn z ekspresu do filiżanek i ustawiła je na tacy. Z jadalni dochodził dziarski głos wuja, który zabawiał konwersacją Ewelinę i Jagodę. Kiedy podeszła do ich stolika, właśnie uderzył z całej siły dłonią w kolano i zaśmiał się tubalnie.

- Niemożliwe, Ewelinko, nie zmyślasz czasem?

- Skąd, wujku, takiej historii bym nie wymyśliła. Ale teraz, jak już jest Lilka, musi nam wujek koniecznie opowiedzieć o tym trabancie, obiecał wujek przed chwilą...

Starszy pan chrząknął i podkręcił wąsa.

- No więc, moje drogie, kiedyś, dawno, dawno temu, za siedmioma lasami, za siedzioma górami, za siedzioma rzekami...

- WUJKU!!!

- ... we wschodnim Berlinie żył sobie pewien bardzo miły i przystojny Niemiec, Thomas, artysta. Trochę malował,

trochę projektował, nawet nieźle mu się powiodło. W połowie lat siedemdziesiątych postanowił wybrać się z rodziną na wakacje do Bułgarii. Załadował po dach swój piękny, nowy, zielony samochodzik marki trabant, oprócz bagaży umieścił w nim jeszcze żonę i dwie córeczki, i wyruszyli nad Morze Czarne. Zatrzymali się w niewielkim miasteczku niedaleko Warny. Pierwszego dnia żona wysłała Thomasa po owoce. Kiedy wychodził ze sklepiku, wpadła na niego jakaś kobieta. Przeprosiła go, razem pozbierali rozsypane brzoskwynie, zaczęli rozmawiać... Mówiła bardzo dobrze po niemiecku, ale była Polką. Okazało się, że mieszka w sąsiednim domu wczasowym. Thomas zakochał się bez pamięci. Po dwóch tygodniach ona musiała wracać do Polski, a on do Niemiec. - Starszy pan przerwał na chwilę i podniósł do ust filiżankę kawy.

- Wujku, ja wiem! To musiała być ciotka Felicja, prawda? - Ewelina pochyliła się do przodu z wypiekami na twarzy.

- Oczywiście, moje dziecko. Ona też była w nim zakochana, ale... No wiecie, on miał rodzinę, zresztą to były inne czasy. Wtedy nie patrzono przychylnie na kontakty z cudzoziemcami, zwłaszcza jeśli ktoś był pracownikiem ministerstwa. W każdym razie jakoś tak się stało, że kontakt im się urwał. Ona nie odpisywała na listy, i on w końcu przestał pisać, mało tego - zgubił jej adres. Ale rok później zaproszono go do Polski w ramach wymiany kulturalnej. Uparł się, że zamiast ze wszystkimi autokarem, pojedzie tym swoim zielonym trabantem. Pamiętał, że Felicja pracowała w MSZ-cie, więc dopytał, gdzie to jest i zaparkował naprzeciwko głównego wejścia. Czekał, czekał... Pierwszego dnia nic, drugiego też nic...- Wujek znowu sięgnął po kawę, doprowadzając tym dziewczyny do rozpacz.

- I co. i co?!!! Spotkali się?!!! Wujku!!!

- No i w końcu wypytał strażnika i okazało się, że jest jeszcze boczne wejście, od Litewskiej. Więc trzeciego dnia czekał tam. Felicja stanęła w drzwiach, zobaczyła ten jego samochodzik i pobiegła jak na skrzydłach. Zupełnie jak w filmie, wyobrażacie sobie? A potem... No cóż... On co jakiś czas przyjeżdżał do Polski, odwiedzał ją na kolejnych placówkach. Bardzo go kochała, on ją też, ale nie wzięli ślubu. Potem moja siostra kupiła ten hotel... Myśleli, że spędzą tu razem jesień życia, niestety Thomas zmarł nagle, na serce. To był koniec lat osiemdziesiątych. A kilka miesięcy po jego śmierci przyjechała z Berlina jego córka i przywiozła ze sobą...

- Trabanta!

- Tak, trabanta. Thomas był do niego strasznie przywiązany, pielęgnował go i dbał, żeby był ciągle na chodzie, i w końcu zapisał go w testamencie Felicji. Od tamtej pory stoi w garażu. Widzisz więc, Ewelino moja droga, że to naprawdę nie jest zwyczajny samochód.

Dziewczyny przez dłuższą chwilę milczały, a potem zadzwoniła komórka Eweliny.

- Cholera, muszę jechać - powiedziała, wyłączając telefon po krótkiej wymianie zdań. - Pstryknę tylko szybko zdjęcie od frontu i zmykam. Może wpadnę w tygodniu. Kiedy wycieczka?

- W środę. Po co zdjęcie? - zdziwiła się Lilka.

- A, tak sobie. Mam jeden pomysł, chyba niezły, ale to zobaczycie później. Lece. Coś wam załatwić w mieście?

Lilka z Jagodą spojrzały na siebie i chórem odpowiedziały:

- KUCHARZA!

ROZDZIAŁ 19

- Kto robi sałatkę cesarską na ósemkę? Kamil? No, rusz się, chłopie! Co się z tobą dzisiaj dzieje?

Kamil drgnął, wyrwany z zamyślenia. Trudno mu się było dziś skupić na pracy. Burcząc pod nosem przeprosiny, postawił gotowy talerz obok dużej cyfry osiem, namalowanej na blacie lady, przy której czekał już kelner, i z tablicy obok zerwał kolejne zamówienie. Cholera, carpaccio z sosem malinowym. Jak ma pociąć polędwicę na płatki grubości kartki papieru, kiedy tak mu się trzęsą ręce?

Za dwa dni mijał termin wykupu obrazu z lombardu, a jemu nie udało się jeszcze zorganizować żadnych pieniędzy. Cholera, tyle forsy... Nawet gdyby sprzedał ten aparat od Zebry, nic by to nie dało. Jak ma wytłumaczyć matce, że przepuścił jej Kossaka? I to na co? Na modele. Chyba by umarła, gdyby się dowiedziała.

Wierzchem dłoni wytarł pot, wypływający mu cienką stróżką spod obramowania kucharskiej czapki i sprawdził godzinę na zegarze wiszącym nad wyjściem na salę. W dodatku zbliżała się północ, a przecież Zebra uprzedził, że odezwie się między dwudziestą trzecią a dwudziestą czwartą. Bez względu na okoliczności, podkreślił.

- Jak zadzwonię, to masz mnie wpuścić na zaplecze. Żeby, kurwa, nie wiem co się działo, rozumiesz? - powiedział dziś rano przez telefon. Miał ostry, nieprzyjemny głos i Kamil wyczuł w nim pogroźkę. Teraz był już pewien. Sprawa była śliska i śmierdząca. Czy inaczej Zebra dawałby mu w prezencie aparat fotograficzny za cztery kafle?

Kamil był na siebie naprawdę wściekły, że go przyjął. Mógł przecież przewidzieć, że będą konsekwencje i że na pewno nie będą mu się one podobały. Nikt nie daje takich prezentów bezinteresownie. A już na pewno nie ktoś pokroju Zebry.

Sięgnął nerwowo do kieszeni spodni po telefon i zwiększył głośność dzwonka do maksimum. W tym samym momencie zawyły syreny.

Nie, tylko nie to, pomyślał ze złością. Co prawda personel hotelu był przyzwyczajony, że co jakiś czas przeprowadzano próbną ewakuację całego budynku - standardowa procedura, wprowadzona we wszystkich hotelach sieci po 11 września, ale kiedy nagle wszyscy musieli opuścić swoje miejsca pracy, robiło się potworne zamieszanie. Teraz też, pomimo późnej pory, powoli zaczęły się formować kolejki do wyjścia ewakuacyjnego.

Kamil chwilę się wahał, po czym ruszył w przeciwnym kierunku zastanawiając się jednocześnie, co ma robić. Gdyby nie wyraźne polecenie Zebry, wyszedłby spokojnie ze wszystkimi na zewnątrz. Ale jeżeli tamten mimo wszystko zadzwoni? „Żeby nie wiem co się działo”, tak powiedział. Dlatego najlepiej będzie przeczekać alarm w kuchni bankietowej. Gdyby Zebra się odezwał, wpuści go korytarzem od strony kasyna. Otworzył tylne drzwi prowadzące do cateringu i zamarł w pół kroku. Między stolikami na kółkach przepychali się ludzie - kelnerzy, kelnerki, obsługa sąsiedniej kuchni, pokrzykując na siebie i nawołując znajomych.

- Stary, co się dzieje? - chwycił za ramię przebiegającego obok kumpla z ochrony. - Dlaczego wszyscy uciekają?

- Jak to, nie słyszałeś? To nie jest próbny alarm, tylko prawdziwy. Podobno w hotelu podłożono bombę!

- O kurwa! - wyrwało się Kamilowi. Odnalazł w rozmowach przychodzących numer, z którego rano dzwonił Zebra, i nacisnął zieloną słuchawkę. Dokładnie po pięciu sygnałach włączyła się poczta głosowa. Zaklął i spróbował jeszcze raz - to samo. „Żeby nie wiem, co się działo, rozumiesz?” znowu wróciły do niego te słowa. Czy to możliwe, żeby Zebra... wiedział?

Ostry dźwięk komórki niemal przyprawił go o zawał serca. Na ekranie migał ten sam numer, pod który przed chwilą próbował się dodzwonić.

- Za minutę pod drzwiami - usłyszał chrapliwy głos i rozmowa się urwała.

Rzucił się biegiem w stronę prowizorycznego łącznika z hotelem. Na szczęście na tamym korytarzu nie było nikogo. Dopadł drzwi, przesunął identyfikator przez czytnik i nacisnął kłamkę.

Oślepiło go jasne światło lobby. Zmrużył oczy. Na kolorowym tle kłębiącego się nerwowo tłumu hotelowych gości, cisnących się do wyjścia ewakuacyjnego, wyrosła wysoka sylwetka Zebry. Wbiegł na zaplecze, utykając, a za nim jeden z jego kumpli. Obaj nieśli w rękach wypchane, sizalowe torby. Kamil stał, patrząc na nich, niezdolny do jakiegokolwiek ruchu.

- No, co się kurwa gapisz? Zamykaj - syknął Zebra i, zgięty w pół, oparł się o ścianę. Kamil zatrzaskał drzwi. Na jasnej wykładzinie korytarza, obok nogi Zebry, pojawiła się wilgotna, czerwona plama.

* * *

Otulał go chłód. Wcisnął się pod flanelową koszulę i zeszywniał od wilgoci dżinsy, łaskotał w policzki i prowokował coraz silniejsze drżenie całego ciała. Kamil próbował

rozetrzeć ramiona szybkimi, energicznymi ruchami, ale niewiele to pomogło. Może powinien się podnieść i zacząć biegać w miejscu, ale był zbyt odrętwiały, niezdolny do żadnego bardziej zdecydowanego działania. Oparł się mocniej plecami o metalową ścianę wiaty, która dawała schronienie przed wiatrem i siąpiącym od godziny drobnym, nieprzyjemnym deszczem. Ohydny świt, w dodatku szare niebo zaciągnięte grubą warstwą chmur nie dawało nadziei na szybką poprawę.

Kamil przyciągnął do siebie niebieską sizalową torbę, oparł na niej głowę i podkulił nogi pod siebie. Cholera, co ja najlepszego zrobiłem? Tyle forsy! Tyle forsy!!! I co teraz?

Pomimo przenikliwego zimna i twardej ławki czuł, że ogarnia go zmęczenie nie do opanowania. Jego wzrok przeslizgnął się jeszcze po tablicy z napisem „Czerwińsk”, betonowym peronie, drzewach ocieniających pobliski parking i po chwili Kamil zapadł w niespokojny, nie dający wypoczynku sen.

Pierwszą rzeczą, jaką zobaczył po przebudzeniu, był wielki, czarny, foliowy worek. Poderwał się i usiadł, a serce zaczęło mu walić jak oszalałe.

- Ty pijany czy chory?

Za workiem stał niski, chudy facecik z pasmem siwych włosów zaczesanym na czoło. Był ubrany w granatowy, mocno przybrudzony kombinezon i rozczłapane tenisówki bez sznurowadeł. Wyglądał tak wątle, jakby to worek ciągnął jego, a nie odwrotnie.

- Gdzie ja jestem? - zapytał Kamil chrapliwym głosem i zakasłał. Deszcz już nie padał, ale ciągle było zimno i wilgotno.

- Znaczy pijany - człowieczek w kombinezonie odślonił w uśmiechu bezżębne usta. - Na stacji jesteś. W Czerwińsku. A myślałeś, że gdzie?

Kamil powoli się uspokajał.

- To duże miasto? - chciał wiedzieć.

- Jakie tam duże. Rynek, kościół i pięć sklepów. Nawet gmina w Górkach, a nie tutaj. Szukasz kogoś?

- Nieee, tak przyjechałem - objął ramionami torbę. - Można tu gdzieś zjeść śniadanie?

Z oddali dobiegło pogwizdywanie pociągu.

- Szósta pięćdziesiąt z Warszawy. Jak chcesz se śniadanko zjeść, to nie tutaj, bo w naszej dziurze żadnej restauracji nie ma. W ogóle nic nie ma, kurwa. - Chłopina splunął Kamilowi pod nogi, chwycił mocniej worek i pociągnął w kierunku betonowego kosza na peronie.

Zza zakrętu pojawił się czerwono-żółty wagon. Kamil poderwał się, chwycił torbę i zanim pociąg wtoczył się na stację, przeskoczył przez tory, przeciął niewielki parking i wybiegł na drogę w kierunku miasteczka. Po kilkudziesięciu metrach obejrzał się za siebie, a ponieważ nikt za nim nie szedł, zwolnił i uspokoił oddech. Czego się boisz, durniu, pomyślał. Przecież nikt tu za tobą nie trafi. Nikt.

W tym momencie odezwał się jego telefon komórkowy. Kamil zamarł w pół kroku, ale nie był w stanie sięgnąć po aparat. Liczył tylko bezwiednie dzwonki. Drugi, trzeci. Po siódmym sygnał ucichł. Dopiero teraz Kamil zanurzył dłoń w kieszeni. Bał się spojrzeć na wyświetlacz, doskonale wiedząc, jaki numer tam znajdzie. Przecież oni tak tego nie zostawiają, nie ma się co łudzić, pomyślał, zaciskając palce na gładkiej obudowie.

Telefon znowu zaczął dzwonić. Kamil wyszarpnął go z kieszeni, coraz bardziej zdenerwowany. Miał idiotyczne poczucie, że komórka parzy go w palce. Odebrał.

- Już, kurwa, po tobie! - usłyszał głos Zebry. Nie zastanawiając się, co robi, wziął szeroki zamach i rzucił telefon z całej siły w przydrożne krzaki. W miejscu, gdzie upadł, lekko zafalowały liście. A Kamil, zamiast ulgi, poczuł skurcz

strachu w żołądku. Znalazł się w pułapce. I co teraz?

Po kilku minutach dotarł do rynku. Był przeraźliwie głodny. Zatrzymał się i rozejrzał niepewnie - apteka, przemysłowy, dwa spożywcze, kwaciarnia i oczywiście kościół. Cholera, co za dziura, pomyślał i omijając kałuże pokrywające nierówny bruk, ruszył w kierunku spożywczego. Sięgnął do kieszeni i wśród drobniaków namacał dwie pięciozłotówki.

Akurat starczy na coś do jedzenia i na kartę telefoniczną. Musiał przecież koniecznie zadzwonić. Gdyby nie wyrzucił wcześniej komórki, nie byłoby problemu...

Pchnął drzwi spożywczego, pomalowane olejną brązową farbą i aż podskoczył na przeraźliwy odgłos, który rozległ się w tym momencie. Mały, brązowy świstak, ustawiony na regale przy wejściu, patrzył na niego ironicznie czerwonymi plastikowymi ślepkami. Dziewczyna za ladą roześmiała się serdecznie.

- Ale pana przestraszył! - Miała na sobie obcisły, mocno wydekolтовany sweterek w intensywnie cytrynowym kolorze. Tym samym odcieniem żółci przyciągały wzrok zabójczo długie tropy, którymi ekspedientka stuknęła z nudów o ladę. - Pan to chyba z Warszawy, co? Tym szóstą pięćdziesiąt? - uśmiechnęła się zachęcająco do Kamila, mrużąc oczy pokryte grubą warstwą makijażu. Kamil odchrząknął, zaskoczony, ale dziewczyna najwyraźniej nie oczekiwała odpowiedzi.

- Śmieszna zabawka, co nie? Tak tu postawiłam i klientów wita. - Przyglądała się gościowi z zaciekawieniem. - To co podać?

Sklep był nieduży, ale niezłe zaopatrzone. Kamil przebiegł wzrokiem ciasno zastawione półki i znowu odchrząknął. Pomimo głodu nie miał ochoty na nic konkretnego.

- Może... kajzerkę. Nie, dwie kajzerki, maślankę i „Wyborczą”. A, i kartę telefoniczną, najtańszą jaką pani ma.

Dziewczyna uniosła brwi. Też coś! Po tych ze stolicy, co prawda, wszystkiego się można spodziewać, ale ten młody wyglądał na faceta z fasonem. Nawet przystojny i dobrze ubrany... A tu dwie kajzerki i maślanka! Ale zakupy!

Postawiła na ladzie wyjętą z lodówki półlitrową butelkę, do foliowej torebki wrzuciła bułki i kartę, na końcu z trudem wyciągnęła spod lady gruby plik gazet, związany plastikową taśmą. Rozcięła ją wielkim nożem, wyjęła jeden egzemplarz i podała Kamilowi.

- Dziesięć dwadzieścia będzie.

Wysupłał z kieszeni garść drobnych i skrupulatnie odliczył należność. Wziął siatkę, gazetę włożył pod pachę i rozejrzał się dookoła niezdecydowanie.

- Czy... czy nie miałaby pani nic przeciw temu, żebym tu na chwilę usiadł? - pokazał ruchem głowy na szeroki okienny parapet tuż obok drzwi. – Strasznie zimno dzisiaj...

Dziewczyna w odpowiedzi wruszyła ramionami.

- A niech pan siada. Pogoda taka, że psa by na dwór nie wyrzucił.

- Dziękuję - spróbował się do niej uśmiechnąć. - Ja tylko zjem...

Najpierw położył na parapecie dużą, niebieską sizalową torbę, po czym przysiadł obok, wyjął bułkę i otworzył gazetę na dodatku „Praca”.

- Ma pani może coś do pisania? - zapytał jeszcze.

Podała mu ołówek, lekko obgryziony na końcu. Zaczął uważnie, jedno po drugim, przeglądać ogłoszenia. Nagle przy jednym się zatrzymał.

- Ta wieś to Czerwińsk, tak?

- Pewnie! - Dziewczyna, zajęta przrzucaniem chleba z plastikowych skrzynek do sklepowych pojemników, spojrziała na niego szczerze zdziwiona pytaniem.

- Hotel „U Felicji”... czy to gdzieś blisko?

ROZDZIAŁ 20

Poniedziałkowy ranek wstał wilgotny, pochmurny i wietrzny. Lilkę obudziło łomotanie niedomkniętego okna w saloniku. Przykryła głowę poduszką i przez chwilę łudziła się, że uda jej się jeszcze usnąć, ale głucho uderzenia dochodziły nawet przez grubą warstwę pierza.

Cudowny początek dnia.

Niechętnie odrzuciła kołdrę, usiadła na łóżku i opuściła stopy na podłogę. Zadrzała. Cienki, wytarty ze starości dywan nie dawał ochrony przed chłodem, więc szybko wsunęła na nogi kaptcie. Była szósta trzydzieści.

Gdzieś z dworu dobiegło ją szczekanie psa. Po trawniku wokół fontanny biegał Hugon, ujadając radośnie i nosem popychając przed sobą kolorową piłkę. Była to ulubiona piłka Maćka, którą chłopiec podarował szczeniakowi poprzedniego dnia w nagłym przypływie miłości. Lilka pokręciła głową z dezaprobatą dla tych porannych szaleństw i zamknęła okno, ale w pokoju nie zrobiło się ani trochę cieplej.

Dlaczego Polska nie leży w tropikach? - pomyślała z pretensją. Kiedy człowieka budzi słońce, od razu chce się żyć, tak jak przedwczoraj na przykład. Uśmiechnęła się odruchowo, ale raczej nie na wspomnienie pogody.

Ten pan Wojtek... Było w nim coś takiego - wewnętrzne ciepło, spokój, szczerłość - co przyciągało Lilkę jak magnes. Czuła się z nim zupełnie inaczej niż z Tomkiem. Nie krępował jej, nie podkreślał na każdym kroku swojej gatunkowej wyższości, a przede wszystkim - budził zaufanie. Promocyjny bonus w postaci urody okazał się dużo mniej istotny, niż się Lilce na początku wydawało.

Brr!!! Wzdrygnęła się, otrząsając z zamyślenia. A gdyby tak wymoczyć się w gorącej wodzie? Weszła do łazienki, zamknęła dokładnie drzwi i przysiadła na brzegu starej wanny. Okrągły, żeliwny kurek od ciepłej wody, kiedy go odkręcała, wydał dziwny, wysoki, metaliczny dźwięk. Po kilku minutach pomieszczenie nagrzało się na tyle, że Lilka odważyła się zrzucić nocną koszulę i zanurzyła w ciepłej, pachnącej pianie z mocnym postanowieniem, że poleży w niej tylko chwilę, żeby nabrać sił przed nowym dniem.

A zapowiadał się pracowicie.

Pojutrze miała się przecież pojawić wycieczka nauczycieli, a im nadal brakowało wykwalifikowanego kucharza. Całe szczęście, że właśnie dzisiaj powinno się ukazać ogłoszenie w „Wyborczej”. Więc albo będą przez cały dzień przeprowadzały rozmowy wstępne z kandydatami, albo, z braku takowych, zajmą się gotowaniem na zapas i mrożeniem, żeby się przygotować na różne okoliczności.

Kiedy piętnaście minut później spotkały się z Jagodą w kuchni, brak personelu stał się oczywiście głównym tematem rozmowy.

- Nie damy rady - oświadczyła z przekonaniem Lilka, krojąc pomidory. - Ewelina miała rację. Co innego przygotować śniadanie dla dwóch osób, a co innego ugotować obiad dla dwudziestu. Nie damy rady - powtórzyła, a w jej głosie pojawiła się lekko rozpaczliwa nuta.

- Musisz tak od rana siać defetyzm? - Jagoda, z charakterystycznym dla siebie optymizmem, przyszłość widziała wyłącznie w różowych barwach. — Dziś poniedziałek, ma się ukazać nasze ogłoszenie, nie opędzimy się od chętnych. Zobaczysz. Wstaw lepiej wodę na herbatę.

Lilka posłusznie pstryknęła czajnik, ale nie wyglądała na specjalnie przekonaną.

- Jaguś, ale kto będzie chciał pracować na takim odludziu i za takie pieniądze?

- Daj spokój, przecież jakoś ten hotel od dwudziestu lat funkcjonuje, no nie? I zawsze tu była jakaś kucharka. Mówię ci, ktoś się znajdzie. W najgorszym wypadku będziemy musiały poczekać do końca roku szkolnego i złowić jakąś pannę tuż po szkole gastronomicznej. A na razie nie ma co smęcić. Lepiej się skupmy i ustalmy, co trzeba przygotować przed środą.

Dziesięć minut później, kiedy siadały do śniadania, miały już zarysowany plan. Polegał on z grubsza na tym, że wezwą Mazurową, wypytają, jak sobie wcześniej radzili w hotelu z większymi grupami, dokooptują kogoś ze wsi do pomocy i jakoś to będzie... Na pewno w pierwszej kolejności trzeba będzie posprzątać pokoje, a przede wszystkim zrobić zaopatrzenie.

- Lilka, powinnyśmy zacząć już dzisiaj. Potem się nagle okaże, że mamy pustą lodówkę. Kończ szybko i jedziemy do Czerwińska. Przy okazji kupimy „Wyborczą” i sprawdzimy, czy jest nasze ogłoszenie.

- Może ja zostanę - zaproponowała Lilka. - Gdyby się ktoś pojawił.

Jagoda pokręciła energicznie głową.

- Najpierw na pewno będą dzwonić. Poprosimy pana Stanisława, żeby przez ten czas, jak nas nie będzie, odbierał telefony. Poradzi sobie przecież. No, zbieraj się, a ja tylko powiem Maćkowi, że jedziemy. Cholera, nie wiem, czy dobrze zrobiłam, że pozwoliłam mu dzisiaj nie iść do szkoły. - Zerknęła przez kuchenne okno, przy którym stała - O! Ogrodnik już idzie!

Zakupy poszły im nadspodziewanie sprawnie, głównie dlatego, że zapomniały gotówki. To znaczy - Lilka zapomniała, a właściwie nie wzięła z rozmysłem, przyzwyczajona do tego, że w Warszawie używała głównie karty. Tutaj, po nerwowych poszukiwaniach sklepu, który akceptowałby

karty płatnicze, okazało się, że można nimi płacić tylko w przemysłowym. Chcąc nie chcąc zrobiły więc solidny zapas środków czystości, a za dwa złote znalezione w samochodzie kupiły w kiosku gazetę i po godzinie były już z powrotem w hotelu. Jagoda zaparkowała na podjeździe i wyjęła kluczyki ze stacyjki.

- Następnym razem uprzedź mnie, kiedy będziesz miała zamiar sprawdzać, jak daleko sięga cywilizacja. - Była naprawdę zła na Lilkę, bo w zasadzie nie posunęły przygotowań ani o krok do przodu.

Wysiadła energicznie z auta i poszła otworzyć bagażnik. W tym momencie z hotelu wypadł jak wystrzelony z procy Maciek i z trudem wyhamował tuż obok matki.

- A wujek przyjął kucharza! - obwieścił radośnie. Fajnego! Pyszne kakao robi! I grzanki. Hugon, chodź! - gwizdnął na szczeniaka, zakręcił się wokół Jagody i już go nie było.

- Że co proszę? - wrzasnęła za nim Jagoda, wypuszczając z rąk siatkę. Na szczęście nie było w niej jajek.

- Jak to? - Lilka przykryła dłonią usta, zaskoczona nieoczekiwaną informacją. Ale zanim zdążyła się z nią oswoić, w otwartych hotelowych drzwiach pojawił się uśmiechnięty i nad wyraz z siebie zadowolony wujek Stanisław w swojej najlepszej wiśniowej bonzurce.

- Aaa, już jesteście? To bardzo dobrze, bo ja mam dla was małą niespodziankę... - poprawił od niechcienia jedwabny fular. - Mamy kucharza.

- Jak to, mamy kucharza? - wydusiła wreszcie Lilka.

- Ano mamy. Przyjąłem go, kiedy byliście na zakupach! - Wujka rozpieła duma. Podkręcał raz po raz wąsa i gładził z zadowoleniem jedwabne klapy bonzurki.

- Ale jak mógł go pan tak od razu przyjąć? - jęknęła Jagoda. - Czy on w ogóle umie gotować?

- Oczywiście, że umie! - obruszył się starszy pan. - Przecież go przeegzaminowałem!

Dziewczyny patrzyły na niego w osłupieniu.

- Przeegzaminował go wujek? W jaki sposób?

- Och, bardzo prosto. Zapytałem go o moje ulubione potrawy i okazało się, że doskonale wie, jak je przygotować. Kaczkę w pomarańczach, zrazy po nelsonsku, *crème brûlée*, wszystko umie.

- Aaa... gdzie on teraz jest? - spytała słabo Lilka, opierając się o samochód. Cała ta sytuacja trochę ją przerastała.

- Jak to gdzie? Tam, gdzie jego miejsce. W kuchni. Możecie mi pogratulować. To będzie świetny nabytek, zobaczycie.

Kiedy weszły do kuchni, uderzył je niezwykle rozgardiasz, który tam panował. Szafki były pootwierane, a ich zawartość w postaci puszek, pudełek oraz słoików porostawiana została na całej długości blatu. Kuchenny stół pokrywały pęczki najprzeróżniejszej zieleniny, przyniesione zapewne przez ogrodnika, a pośrodku tego wszystkiego, odwrócony tyłem do drzwi, stał obcy facet, w dżinsach i flanelowej koszuli z podwiniętymi do łokci rękawami, i siekał coś zapamiętane. Na odgłos kroków odwrócił się gwałtownie, a w jego dłoni błysnął ogromny nóż. Lilka drgnęła. Przez chwilę patrzyli na siebie w napięciu, po czym mężczyzna odłożył nóż na blat, wytarł dokładnie ręce w ścierkę i spróbował przywołać na twarz coś w rodzaju uśmiechu.

Lilka szybko otrząsnęła się i zrobiła krok w jego kierunku, on jednak nie ruszył się z miejsca. Stał, oparty o szafkę, wlepiając w dziewczynę uważne spojrzenie dużych, ciemnych oczu.

Zdecydowanie nie zrobił na niej dobrego wrażenia. Około trzydziestki, wysoki i raczej szczupły, ale przy tym niezgrabny - miał wąskie, wątłe ramiona, zapadniętą klatkę piersiową i dziwnie szerokie jak na mężczyznę biodra. A do tego wszystkiego jeszcze się garbił. Jego pociągła, bardzo blada twarz byłaby nawet przystojna, gdyby nie to, że jej rysy były dziwnie rozmyte i nieostre, a w oczach czaiła się niepewność.

Wujek Stanisław, czując się widocznie w obowiązku dokonania prezentacji, podszedł parę kroków w kierunku kucharza.

- Moje drogie, poznajcie, to właśnie jest pan Karol, prawdziwy mistrz kuchni. Zresztą same zobaczycie... - oznajmił.

- Dzień dobry - odezwał się kucharz bezbarwnym, cichym głosem i nerwowo zatarł dłonie.

- Dzień dobry panu. - Lilka i Jagoda spojrzały na siebie.

Wujek roześmiał się, zadowolony, i zaproponował:

- To co, może pan Karolek coś dla was przygotuje?

- Właściwie my już jesteśmy po... - zaczęła Lilka, ale Jagoda natychmiast jej przerwała.

- Bardzo dobry pomysł. Poczekamy przy stoliku.

- I pociągnęła przyjaciółkę do jadalni. Ledwie usiadły, wlepiła w Lilkę uważne spojrzenie migdałowych oczu i zapytała:

- No i co ty na to?

Lilka westchnęła.

- Sama nie wiem... - przeczesała palcami grzywkę.

- On mi się wydaje - zniżyła głos - trochę dziwny. Chyba go nie polubię. Ale jeżeli potrafi gotować... Przecież potrzebujemy kucharza. Bardzo. A co ty myślisz?

- To samo. Nie podoba mi się. Mętny jest. Zauważyłaś, jakie ma rozbiegane spojrzenie? Może to tylko pierwsze wrażenie, ale... Zresztą i tak nie mamy żadnego pola manewru,

bo wujek już go przyjął. Swoją drogą nie uważasz, że przesadził?

- Może trochę... Ale miał dobre intencje - Lilka stanęła w obronie starszego pana.

- Dobrymi intencjami to jest piekło wybrukowane - burknęła Jagoda. - O, idzie śniadanko. Ciekawa jestem...

Jej ciekawość została zaspokojona pół minuty później, kiedy przełknęła pierwszy kęs przygotowanego przez pana Karola omletu. Puszysty i delikatny, rozpływał się w ustach, pozostawiając po sobie łagodną, korzenną nutę. Spojrzała na Lilkę i mlasnęła z uznaniem.

- Pyszne, co?

- Przepyszne - potwierdziła Lilka trochę niewyraźnie, bo z pełnymi ustami. - Wyjątkowe!

Do jadalni zajrzał wujek Stanisław.

- I jak wam smakuje? - Wszedł do środka i usiadł przy ich stoliku. - Prawda, że arcydzieło? Dodam, moje drogie, że pan Karol nie miał pola do popisu. Pusta lodówka, pusta spiżarnia, połowa zapasów przeterminowana. Dobrze, że byliście na zakupach, może przynajmniej będzie miał z czego zrobić obiad.

- O ile jest na tyle zdolny, żeby ugotować zupę z domostosa - zaśmiała się Jagoda. - Musimy jechać jeszcze raz. Najlepiej, żeby nam pan Karol przygotował listę. Ale zanim ruszymy, powinnaś, Lilka, załatwić formalności. Żeby się nagle nie okazało, że jednak nic z tego.

- Ależ ja już wszystko załatwiłem - obruszył się wujek Stanisław. - Pan Karol godzi się na taką samą pensję, jaką miała Maria, plus wikt i opierunek, że tak powiem - odchrząknął, obserwując z satysfakcją zaskoczone miny dziewczyn. - Tylko umowy o pracę na razie nie podpiszecie, bo tydzień temu ukradli mu w autobusie dowód.

ROZDZIAŁ 21

Tuż po północy uchylił drzwi pokoju i zaczął nasłuchiwać. Nic, cisza. Odczekał chwilę i ostrożnie wyszedł na korytarz. Gdzieś na dole skrzypnęło niedomknięte okno. Zamarł, potem ruszył na palcach w kierunku schodów, poprawiając pasek dużej, ciężkiej szalowej torby, którą miał na ramieniu. Oczy powoli przyzwyczajały się do ciemności. Położył rękę na poręczy, wychylił się i znowu zamienił w słuch. Po minucie, uspokojony, ruszył na dół.

Żeby domknąć za sobą tarasowe drzwi, musiał się o nie oprzeć z całej siły, w końcu wypaczona framuga poddała się z lekkim stuknięciem. Kamil zadrżał. Flanelowa koszula, którą miał na sobie, nie dawała wystarczającej ochrony przed chłodnym powietrzem nocy. Dobrze, że nie pada, pomyślał i ruszył w głąb ogrodu. Pod jego butami cicho zachrząsał żwir. Gruba warstwa chmur przesłaniała niebo i ciemność pokrywała wszystko wokół szczelnym kokonem.

Szedł ostrożnie ścieżką między tujami, aż do niewielkiej przerwy w żywopłocie, którą wypatrzył po południu, kiedy wyszedł na chwilę na krótki rekonesans. Skręcił w bok, mijając jakąś szepę, i po kilku minutach przedzierania się przez krzaki znalazł się przy murze posesji. Z ulgą rzucił torbę, ukucnął i zaczął niecierpliwie rozrywać poszycie.

Ziemia, do której dotarł, była wilgotna i miękka, ale pełna korzeni. Sięgnął za pasek dżinsów, wyciągnął dużą, stołową łyżkę i zaczął dźgać nią glebę, jednak nie udało mu się jej wbić nawet na centymetr. Spróbował kawałek dalej - to samo. Coraz bardziej zdenerwowany nacisnął mocniej, wyginając niebezpiecznie trzonek sztućca. Nie da rady, pomyślał,

zły na siebie, że nie przewidział tego wcześniej.

Nagle tuż obok coś zaszeleściło, o mały włos nie przyprawiając go o zawał serca. Odwrócił się gwałtownie, ale w ciemnościach nie udało mu się nic dostrzec. Czuł tylko, jak po plecach spływa mu strużka zimnego potu. Znowu szelest... Tuż obok jego stóp coś przemknęło. O Boże, przecież to tylko kot, uświadomił sobie z ulgą, wycierając rękawem wilgotne czoło. Muszę się zebrać do kupy, dotarło do niego. Muszę skądś wziąć jakąś łopate, grackę, cokolwiek...

I wtedy przypomniał sobie o szopie, obok której przed chwilą przechodził.

Gdyby matka go teraz widziała, pobrudzonego ziemią, drżącego z zimna i strachu! Ukochany, wypieszczony synek mamusi! Jej chore serce pewnie by tego nie wytrzymało. Dlatego musiał ją chronić, za wszelką cenę.

Kiedy dziś rano do niej dzwonił, nie było mu łatwo wymyślić powód, dla którego pierwszy raz w życiu nie wrócił z pracy do domu. Przecież nigdy z nikim się nie spotykał, nie miał żadnych kumpli, żadnej dziewczyny, właściwie oprócz wyścigów modeli w ogóle nie miał swojego życia. Co ja jej powiem? - zastanawiał się gorączkowo, próbując zamknąć za sobą przechylone pod jakimś dziwnym kątem drzwi budki telefonicznej.

Co ja jej powiem? - denerwował się, drugą ręką szukając w kieszeni karty. Co ja jej... poradził sobie wreszcie jakoś z drzwiami i kiedy odwracał się, żeby zdjąć słuchawkę z widełek, przez szklaną ścianę zauważył przechodzącą obok dziewczynę.

Była wysoka, zgrabna, cholernie atrakcyjna. Pomimo porannego chłodu miała na sobie dżinsową mini, cienki, biały sweterek z wielkim dekoltem i czerwone pantofle na szpilkach. Ale laska, pomyślał odruchowo.

Gdybym ja miał taką dziewczynę, na minutę nie spuszczałbym jej z oka.

I nagle już wiedział, jak wytłumaczy matce swoją nieobecność.

- Mamo! Mamo! Wstała mama już, nie obudziłem? - zaczął sztucznie ożywionym tonem. - No, niepotrzebnie się mama denerwowała, niepotrzebnie, przecież ja już dorosły jestem. Nie mogłem odebrać, bo mi się komórka popsowała. Spadła na ziemię i pękła. Wiem, wiem, niech mama nie krzyczy. Trudno, stało się. Kupię nową. Poza tym wszystko w najlepszym porządku. No i mam wspaniałą nowinę. Zakochałem się.

Odczekał chwilę, żeby do matki dotarło.

- Nie, nie przeszłyś się mama. Mówię, że się mama nie przeszłyś! Jaka ona jest? No... Ładna, miła, na pewno się mamie spodoba. Wiem, że nagle, ale czasami tak się zdarzy, przecież mama wie, nawet w filmach pokazują... Po pracy kolega mnie na piwo zaprosił i tam ją poznałem... Nie, nie jest tancerką w nocnym lokalu., skąd mamie to przyszło do głowy? I teraz... no, nie wiem, jak to mamusi powiedzieć, ale... na kilka dni wyjeżdżam, tak, razem z nią, bo ona... musi wracać do siebie, do domu i ja jej nie chcę samej puszczać, więc z nią jadę i za kilka dni wrócę. Niech się mama o mnie nie martwi, nic mi nie będzie, w końcu jestem mężczyzną. Dokąd? No więc... jedziemy do tego... no, do Zakopanego. Tak, kawał drogi, ale niech się mama nie niepokoi, naprawdę. Eeee, no, góralka, to co, że góralka?! Tak, wszystko przemyślałem... Urlop z pracy wziąłem, znaczy dzwoniłem do kadr, miałem zaległych dwanaście dni, akurat sobie odbiorę. Że jaki mam głos? Zdenerwowany? Bo się martwię, jak sobie mama sama da radę... Na pewno? To ja będę dzwonił, a jak kupię nową komórkę, dam zaraz mamie numer. Niech mama na siebie uważa i o lekarstwach pamięta.

Na wspomnienie tej rozmowy Kamil lekko się uśmiechnął. Tak, to było bardzo sprytnie posunięcie. Matka kupiła całą historię bez zastrzeżeń. Nie podobało jej się oczywiście, że syn tak się nagle wyrwał spod jej skrzydeł, ale za to będzie się miała czym chwalić przed sąsiadkami. A najważniejsze, że on dzięki temu zyskiwał na czasie.

Gdzieś blisko zahukała sowa i znowu coś zaszeleściło w krzakach. Nasłuchiwał przez chwilę, ale odgłos się nie powtórzył. Pewnie znowu ten kot, pomyślał i wzdrygnął się. Nieprzyjemna noc... Musi szybko skończyć to, co zaczął.

Wsunął torbę w krzaki i ruszył w kierunku szopy. Ciekawe, która godzina, pomyślał nagle i odruchowo sięgnął do kieszeni po telefon, zapominając, że przecież go tam nie ma.

Faktycznie, muszę sobie kupić nowy, uświadomił sobie. Nowy telefon, nowe życie...

Chmury rozchyliły się na moment i w słabej poświacie księżyca Kamil zauważył niewyraźny zarys ścian. Zaczął obchodzić szopę naokoło, w poszukiwaniu wejścia, kiedy nagle coś potrącił. Rozległo się ciche uderzenie o ziemię. Pochylił się i namacał drewniany trzonek, a potem metalową płaszczynę. Łopata. Chwycił ją i prawie pobiegł z powrotem w kierunku miejsca, gdzie zostawił torbę.

Drogę rozpoznawał łatwo, bo zostawił po sobie wyraźny ślad zdeptanych chwastów i połamanych gałęzi. Zatrzymał się przed murem, wbił łopatę w ziemię i ukucnął, żeby wyciągnąć torbę z ukrycia.

Wsunął rękę w krzaki, ale nie natrafił na nic, oprócz liści.

Co, u licha? Pomacał obok - to samo.

Przecież to na pewno było tutaj, między tymi gałęziami!

Zdenerwowany zaczął sprawdzać raz koło razu, centymetr po centymetrze. Rozgarniał gwałtownie trawę, nie zwracając uwagi na rosnące w niej pokrzywy. Ręce zaczęły mu się trząść, w żołądku czuł narastający ucisk. Po chwili dygotał już cały. Zgiął się w pół i opadł na kolana, próbując powstrzymać gwałtowną reakcję organizmu. Strach powrócił ze zdwojoną siłą.

Torba zniknęła.

ROZDZIAŁ 22

- Oj, to my chyba obudziliśmy?

Zmartwiona Mazurowa wepchnęła do środka szczupłą, najwyżej dwudziestoletnią dziewczynę w dżinsach, po czym weszła za nią i energicznie zamknęła za sobą kuchenne drzwi.

- Renatka, przywitaj się, no!

Lilka otuliła się szczerzej szlafrokiem. Chłodne powietrze, które zdążyło wpaść z dworu, przyprawiło ją o dreszcze.

- Nic się nie stało, naprawdę. I tak miałam już wstawać. A to jest pani bratanica, o której rozmawialiśmy, prawda? Dzień dobry - wyciągnęła rękę w jej kierunku.

Zawstydzona dziewczyna opuściła głowę i leciutko dygnęła.

- Dzień dobry pani, ciocia powiedziała, że się mogę na coś przydać... - bąknęła, nie patrząc Lilce w oczy.

- No przecie, że możesz - Mazurowa zakręciła się po kuchni, rozglądając ciekawie dookoła. - Ona tak na początku zawsze nieśmiała, ale się rozkręci, pani zobaczy. A do roboty pierwsza. Sprzątać może, do stołu podawać, na recepcji też posiedzieć, jakby trzeba było. Maturę właśnie zdała i tera wakacje ma, niech popracuje, zawsze się parę groszy przyda. Dopiero od września do pomaturalnej kosmetycznej idzie. A ten nowy kucharz to gdzie? - zmieniła nagle temat.

Lilka, przybiegając w pośpiechu, włożyła kapcie na gołe nogi i teraz bardzo wyraźnie poczuła, że od kamiennej podłogi ciągnie.

- Dopiero wpół do siódmej, pewnie się niedługo zjawi. Ja już pójde do siebie, bo tu zimno, ale pani sobie przecież świetnie poradzi beze mnie, prawda?

Mazurowa kiwnęła energicznie głową.

- Pewnie, pani Lilko, pewnie, niech pani ucieka, bo tu kataru można dostać. My się z Renatką przeberzemy i do roboty. Zobaczysz pani, wieczorem wszystko będzie błyszcząło!

Kiedy Lilka pojawiła się ponownie, dochodziła ósma. W holu najpierw uderzył ją w nozdrza intensywny zapach detergentów - to Renatka, klęcząc na podłodze w starych, wypłowiałych i poprzecieranych gdzieniegdzie legginsach, szorowała zawzięcie szczotką ryżową zapyziałe linoleum. Następną wonią, która do niej dotarła, był intensywny aromat gorącego pieczywa i czegoś jeszcze, co skojarzyło jej się z... wigilią? Poczowała delikatny skurcz żołądka. Ciekawe, co będzie na śniadanie, pomyślała. Nowy kucharz gotował lekko, pomysłowo, wykwintnie i Lilka przyłapała się ostatnio na tym, że czeka niecierpliwie na każdy kolejny posiłek. Trzeba przyznać, że wuj Stanisław świetnie się spisał, przyjmując do pracy pana Karola.

- Hej, poczekaj na mnie!

Od strony swojego pokoju nadbiegła Jagoda z ręcznikiem w ręce. Zatrzymała się obok recepcji i szybkimi ruchami zaczęła wycierać mokre włosy.

- Właśnie kończyłam myć głowę, jak cię usłyszałam na korytarzu. Słuchaj, dlaczego woda jest ledwo ciepła? Coś się popsuło?

- Nie daj Boże! Akurat teraz! Jak brałam prysznic pół godziny temu, była jeszcze gorąca. Mazurowa od rana sprząta, może ona zużyła?

Jagoda strzepnęła ręcznik i przewiesiła go przez oparcie fotela.

- No, coś ty, basenu przecież nie napełniała. To jest hotel. Tu się ciągle ktoś kąpie albo się coś myje, powinien być porządny bojler. Boję się, że trzeba będzie wezwać...

- Nie! Proszę! Tylko nie pana Władzia! - zaprotestowała gwałtownie Lilka i obie jednocześnie zaczęły się śmiać. - Chodźmy lepiej na śniadanie, potem będziemy myśleć.

Weszły do jadalni i usiadły przy stoliku tuż obok okienka, z którego natychmiast wychyliła się głowa kucharza w białej, płóciennej czapce.

- Dzień dobry! Mogę podawać?

Dziewczyny spojrzały po sobie, niezdecydowane.

- Dzień dobry Panie Karolu. Właściwie... powinniśmy może poczekać na wujka, ale tak pięknie pachnie...

Na twarzy mężczyzny pojawiło się coś w rodzaju uśmiechu.

- Bruschetta z grzybami i serem, koktajl z krewetek, ciasto francuskie z konfiturą z malin. Co mam podać do picia? Kawę czy herbatę?

Jagoda westchnęła i mimowolnie dotknęła ręką brzucha.

- Poproszę herbatę.

- Ja też - dodała Lilka, a kiedy kucharz zniknął z powrotem w kuchni, nachyliła się do przyjaciółki i wyszeptła: - Słuchaj, czy on zwariował? Koktajl z krewetek? Na śniadanie?

Ale nie zdążyły wymienić dalszych uwag, bo w tym momencie otworzyły się energicznie drzwi prowadzące do jadalni od strony holu i stanął w nich, zarumieniony od szybkiego marszu, wujek Stanisław. W ciemnozielonej, myśliwskiej kurtce, małym kapelusiku koloru khaki i brązowych spodniach do konnej jazdy wyglądał tak, jakby właśnie przed chwilą wrócił z polowania. Stylowy efekt psuł nieco

gruby plik gazet i tygodników, który wuj trzymał pod pachą.

- Przepiękny poranek! - huknął gromkim głosem.
- Witajcie, moje drogie! Smacznego!

Rzucił gazety na sąsiedni stół i przysiadł się do dziewcząt.

- Zrobiliśmy sobie z Hugonem piękny spacer, do wioski i z powrotem. Pięć kilometrów dla zdrowia, a przy okazji kupiłem prasę.

Rozejrzał się dookoła i nagle nachylił w kierunku Lilki.

- A co to za śliczna dzierlatka myje podłogę koło recepcji? - zapytał konfidencjonalnym szeptem.

Lilka zaczerwieniła się, a Jagoda wydała z siebie dziwne parsknięcie, które na szczęście zagłuszył pan Karol, wnosząc półmisek pełen przypieczonych na brązowo bułeczek.

- Witam, drogi mistrzu! - ucieszył się na jego widok starszy pan. - Jak się spało pod nowym dachem?

Kucharz odchrząknął.

- Ekhm, dziękuję panu, dobrze - mruknął i wycofał się z powrotem na swój teren.

- Wyśmienicie gotuje - stwierdził wujek, nakładając sobie na talerz trzy największe grzanki - ale rozmowny za bardzo to nie jest. Proszę, dziewczynki, częstujcie się.

Dwadzieścia minut później Jagoda oparła się wreszcie wygodniej na krzesło, odsuwając je lekko do tyłu i wyprostowując nogi pod stołem.

- Ale się obzarłam! - westchnęła, rozpinając dyskretnie guzik przy spodniach. - Ten koktajl... rewelacja! Jeżeli codziennie będziemy dostawać takie śniadania... Wolę nawet nie myśleć, jaki to będzie miało wpływ na moją figurę!

- Na twoją figurę, drogie dziecko - wuj Stanisław obrzucił ją wymownym spojrzeniem - nic nie może mieć złego wpływu. Nie wiem jak wy, ale ja mam jeszcze ochotę na kawę. Panie Karolu, można pana prosić na chwilkę?

- My chyba powinniśmy się raczej zabrać do pracy - westchnęła Lilka, której wcale nie chciało się wstawać od stołu.

- Żeby dobrze pracować, trzeba mieć dużo energii. Panie Karolku, trzy kawki poprosimy, dobrze?

- A właśnie, jak tam przygotowania do przyjazdu tych nauczycieli?

- W toku - uśmiechnęła się Lilka. - Ale najważniejsze, że mamy pana Karola. Tak ich nakarmi, że nie będą chcieli wyjeżdżać. Cudownie gotuje, naprawdę. Może trochę za bardzo... wykwintnie, ale to nawet dobrze. Podniesie nam trochę poziom.

- Oby nie cholesterolu - zastrzegła Jagoda. - Ale potwierdzam. Jest naprawdę niezły.

- A widzicie? - starszy pan wypiął dumnie pierś, przejmując całkowicie odpowiedzialność za geniusz kucharski pana Karolka. - Jakbyście kiedyś znów miały jakiś problem, wystarczy zwrócić się do mnie.

Obiekt zachwytów pojawił się właśnie, niosąc na tacy trzy żółte filiżanki aromatycznego płynu i dzbanuszek z ciepłym mlekiem.

- O, jaki ładny dzbanuszek! - zdziwiła się Lilka. - Gdzie pan go znalazł?

Kucharz wzruszył obojętnie ramionami.

- W szafce stał, tylko był wciśnięty w kąt. Zrobię w kuchni trochę porządków... Przejrzę talerze, sztucce, zapasy, wypiszę, co potrzeba na jutro. - Zabrał ze stołu wylizane dokładnie pucharki po koktajlu oraz półmisek po grzankach i poszedł z powrotem do kuchni.

Przy stole na chwilę zapanowała cisza, przerywana tylko lekkimi stuknięciami łyżeczek o porcelit. Lilka umoczyła usta w gorącym płynie, wpatrując się zamyślonym wzrokiem gdzieś przed siebie, a Jagoda sięgnęła po leżącą na stoliku obok gazetę. Przerzuciła szybko kilka pierwszych stron poświęconych polityce i zatrzymała się na części stołecznej.

- Remont torów tramwajowych w Alejach do jesieni - westchnęła. - Jak to dobrze, że nas to już nie dotyczy! Zakorkuje się centrum na amen... Kolejki w urzędach po nowe dowody osobiste... Ojej! Słuchajcie! - ożywiła się. - Napad z bronią w rękę! Na kasyno!

Pochyliła się uważnie nad tekstem i zaczęła czytać głośno:

- „„Jak donosi Komenda Główna Stołecznej Policji, trwa intensywne śledztwo w sprawie niedzielnego, wyjątkowo zuchwałego napadu na kasyno w jednym z pięciogwiazdkowych warszawskich hoteli. Jak oświadczył rzecznik Stołecznej Komendy, policja jest już na tropie sprawców...”

W tym momencie z kuchni dobiegł potworny brzęk tłuczonego szkła. Lilka i Jagoda przez chwilę patrzyły na siebie, przerażone, a potem poderwały się od stołu i pobiegły zobaczyć, co się stało.

Cała podłoga między zlewem a lodówką zasłana była grubo odłamkami białego porcelitu. Pan Karol stał obok i z dziwną miną patrzył na pobojuwisko.

- Panie Karolu, co się stało? - jęknęła Lilka, szacując w głowie straty. Na pierwszy rzut oka musiało tu leżeć ze dwadzieścia dużych, obiadowych talerzy. Aktualnie w kawałkach.

Mężczyzna rozłożył bezradnie ręce.

- Ja... bardzo przepraszam. Tak jakoś... Wyjmowałem z szafki...

- Nic się nie stało, moje drogie, nic się nie stało! - zagrmiał wuj Stanisław, stając w drzwiach. - Przy porządkach zawsze jakieś straty muszą być. Pan Karolek tu teraz elegancko posprząta, a te talerze i tak wyszczerbione były, aż wstyd. Jeśli trzeba, to ja za nie zwrócę, ot co! - I oddalił się w kierunku holu.

Dziewczyny nie zamierzały protestować, w końcu skoro brał na siebie wszystkie zasługi nowego kucharza, może dobrze, że poczuwał się również do jego win?

- My teraz będziemy w biurze - poinformowała Lilka. - Jak pan już tutaj trochę ogarnie, to poproszę o listę zakupów. Tylko, panie Karolu, proszę pamiętać, że my jesteśmy skromnym hotelem. I to będzie zwykła wycieczka nauczycieli.

- Czy w ten sposób chciałaś mu zaszyfrować, żeby nie szalał? - zachichotała Jagoda, kiedy już wyszły z kuchni. - Bardzo okrężny sposób...

- Przecież wiesz, że ja nie potrafię tak wprost. Oby tylko zrozumiał aluzję...

* * *

- Łosoś wędzony, mozzarella, suszone pomidory, kapary, oliwki, rukola... - Lilka ścisnęła w dłoni kartkę w kratkę, którą dwie minuty wcześniej wręczył jej kucharz, i mozolnie odszyfrowywała rozchwiane litery. - Nie wierzę własnym oczom! Czy on to robi złośliwie?

- A jednak aluzju nie poniał - zaśmiała się Jagoda. - Co on myśli, że gdzie trafił, do jakiegoś spa? A podobno wcześniej pracował w małej knajpce w Wołominie... Pokaż mi - Jagoda odebrała kartkę przyjaciółce i sama zaczęła czytać. - A niech mnie! Nieźle! Oby mu to starczyło na tydzień, a nie tylko na jutro, bo zbankrutujemy.

Rozległo się energiczne pukanie do drzwi i do pokoju zajrzała Mazurowa.

- Można? - Wsunęła się do środka. - No, poszedł stąd! - rzuciła zirytowanym głosem w stronę szpary w drzwiach, w której na moment ukazał się rudy pysk Hugona. - Skaranie boskie z tym zwierzakiem. Albo nasika, albo nabrudzi. Renatka tylko biega za nim i sprząta, tak jakby innej roboty nie było. A ja chciałam tylko powiedzieć, co się kończy, to jak raz w miasteczku panie kupią...

Nie zważając na popłoch, który pojawił się w oczach Lilki, zaczęła wymieniać:

- No to papier toaletowy najważniejszy, potem mydło, ale jakieś pachnące, a jeszcze te niebieskie kostki do muszli i ze dwa płyny do mycia podłogi, bo tego dużo idzie. No i te... worki do odkurzacza, tu mam zapisane, jaka marka: Cobra, i może szmaty jakieś, bo Renatka to dziś wszystkie jakie były całkiem zużyła.

Lilka odetchnęła z ulgą i zaczęła szybko notować.

- W naszym przemysłowym wszystko mają, nie trzeba nigdzie dalej jeździć - oznajmiła Mazurowa. - A jak już ten wielki supermarket wybudują przy szosie, co tam od wiosny robota ruszyła, to dopiero będzie wygodna!

- I tak pojedziemy. Pan kucharz sobie zażyczył takich frykasów, że... - Jagoda ugryzła się w język, ale Mazurowa już nadstawiła ucha.

- Bo on to jakby taki trochę dziwny. Rano w kuchni widziałam, co on na to śniadanie nawyprawiał - pokręciła głową z dezaprobatą. - Kombinował, kombinował i w końcu bułki dał z różowym kiślem. Kto to słyszał? W ogóle taki niby elegancki, a skarpetek na zmianę nie ma! Nic, żadnych rzeczy! Tylko ten biały strój, śmieszny taki: kurtka jakaś kusa i portki, i to wszystko.

- A skąd pani wie? - zainteresowała się Lilka.

- Jak to, skąd! - obruszyła się sprzątaczką. - Przecież musiałam mu odkurzyć w pokoju... No właśnie, to ja już lepiej pójdę, robota czeka. - Zakręciła się na pięcie i już jej nie było.

- Musiała mu po prostu grzebać w szafie - stwierdziła Jagoda. - A swoją drogą to dziwne, że nie przywiózł ze sobą rzeczy.

- Nie, dlaczego? Mógł się nie spodziewać, że zacznie od razu. Słuchaj, co my teraz robimy? Czy przed wyjazdem nie powinnyśmy jeszcze czegoś załatwić?

Jagoda zajrzała do małego notesika w biało-błękitną kratkę, który wyjęła z kieszeni džinsów.

- Po pierwsze: powiedzieć ogrodnikowi, że ma pomagać przy walizkach. Ty czy ja?

- Ja. Zajrzę do niego po południu, bo teraz pewnie i tak jest zajęty.

- Po drugie: zadzwonić do pana Władzia, żeby dziś koniecznie przyszedł. W łazience na parterze jest popsuty prysznic, a w szóstce się okno nie domyka. Aha, przy okazji mógłby rzucić okiem na bojler... Ty czy ja?

- Ty, Jagódka! W końcu to twój wielbiciel. Ale jak się będziesz z nim umawiała, to najlepiej po obiedzie. Przydzielimy mu wtedy wujka do konwersacji. Jego może nie zagada...

Pan Władzio pojawił się jednak już około południa. Lilka, która właśnie odkładała na stolik w holu przejrzone przez wuja tygodniki, zauważyła przez okno, że nadchodzi, wyprostowała się więc szybko i odruchowo podciągnęła bluzkę pod samą szyję.

Co za pech, że Jagoda akurat teraz musiała wyjechać z wujkiem do biblioteki po książki!

Pan Władzio bezceremonialnie wpakował się do środka, naniósł błota i swoim zwyczajem rzucił się do całowania rączek. Ubrany w szare, drelichowe spodnie na szelkach i flanelową koszulę w czerwonej kratę, owinięty grubym,

skórzanym pasem, w który powtykane były jakieś narzędzia, prezentował się bardzo fachowo.

- Witam szanowną panią właścicielkę! Witam serdecznie, panie tego! - zapał falsetem, wyciskając na dłoniach zrezygnowanej Lilki soczyste pocałunki.

- Dzień dobry - bąknęła, wrywając mu rękę i odsuwając się profilaktycznie pół kroku do tyłu.

- A pani Jadziuni to nie ma? - zaniepokoił się pan Władek.

- No właśnie, nie ma. Ale ja panu zaraz pokażę, co jest do zrobienia.

- Kochana pani, przecież się nie pali. Robota nie zając, nie ucieknie. Tu trzeba, jak kulturalni ludzie, najpierw kilka słów zamienić.

Rozejrzał się uważnie bystrymi, niebieskimi oczkami po lśniącym czystością wnętrzu.

- Jakichś gości wreszcie będziecie miały, co nie? - mrugnął porozumiewawczo do Lilki, a jego ogorzała, brzydka twarz rozciągnęła się na chwilę w szerokim uśmiechu. - I dobrze. Szkoda, panie tego, żeby taki duży, piękny hotel ciągle pusty stał.

- No właśnie, dlatego pana wezwaliśmy. W łazience na parterze cieknie prysznic...

- Kochaniutka, zrobi się, zrobi, wszystko w swoim czasie. Jak taka piękna kobieta prosi, to ja przecież nie odmówię. Tylko że teraz bym się chętnie herbatki napił. Na dobry początek, pani rozumie...

- Oczywiście. Poproszę kucharza, żeby panu zrobił.

- Ale co pani?! Razem się przecież napijemy! Szkoda, że pani Jadziuni nie ma, ale z pani też, panie tego, niczego sobie kobitka. - Ku przerażeniu Lilki zrobił dwa kroki w jej stronę.

O matko, jak jeszcze raz mnie dotknie... pomyślała Lilka w panice, rozglądając się za jakąś drogą ucieczki. Na szczęście przed domem rozległ się dziwny, ostry terkot i pan

Władzio odwrócił się, żeby wyrzeć przez okno.

Lilka skwapliwie to wykorzystwała, odskakując zręcznie w tył.

Ścieżką nadchodził stary ogrodnik, ciągnąc za sobą wielką, przerdzewiałą kosiarkę, o której metalową pokrywę z impetem uderzał żwir. Zatrzymał się tuż przed drzwiami hotelu, zdjął z uchwytu kłęb kabla i trzymając go pod pachą wszedł spokojnie do środka.

- Dzień dobry, panie Antoni - odezwała się Lilka, którą widok ogrodnika po raz pierwszy szczerze ucieszył. W tym momencie wołała jego mrukiwe towarzystwo niż przerost formy nad treścią w postaci pana Władzia.

- Pana Władysława pan zna?

- Pewnie, że znam - burknął, posyłając mu niechętnie spojrzenie. - Kto by go nie znał. Wszędzie wliwie. - Rozejrzał się w poszukiwaniu gniazdka elektrycznego. - Zresztą wszyscy wszędzie włązą - dodał z przekąsem. - Żadnej prywatności człowiek nie ma, nic nie uszanują.

Lilka trochę się zdziwiła, słysząc w jego głosie tak wyraźną niechęć.

- Co pan mówi, panie Antoni? Czego nie uszanują? Kto nie uszanuje?

- Kto, kto, a bo to ja wiem, kto? Może ten wasz smar-kacz?

- Maćka nie ma, wyjechał. Ale co się stało, proszę pana? Coś panu ukradziono?

Stary włożył wtyczkę do kontaktu i wyprostował się.

- Ano, ukradziono - popatrzył na dziewczynę wyzywającym wzrokiem. - Tylko nikogo to nie obchodzi.

Lilka zdenerwowała się od razu strasznie.

- Panie Antoni, tak mi przykro! Coś cennego?

- Cenne, nie cenne, ja bez tego jak bez ręki. Wczoraj wieczorem koło szopy postawiłem, rano patrzę, nie ma. Nic nie uszanują... - Przez chwilę wyglądał, jakby miał splunąć na podłogę, ale powstrzymał się i ciągnąc za sobą kabel ruszył w kierunku wyjścia.

- Ale, panie Antoni, co panu zginęło?

Ogrodnik odwrócił się do niej i dramatycznym głosem oświadczył:

- Szpadel. Mój najlepszy, amerykański szpadel.

ROZDZIAŁ 23

Aż w końcu nadeszła środa.

Najpierw Lilka nie mogła spać. Obudziła się tuż po piątej i przewracała na łóżku, rozmyślając. Na szczęście nie o Tomku, tylko o zbliżającej się klęsce żywiolowej w postaci wycieczki. Na dobrą sprawę nie potrafiła powiedzieć, czego się bała - przecież wszystko było dopięte na ostatni guzik, hotel wysprzątnany, pokoje przygotowane, zapasy zrobione. Ale mimo to denerwowała się strasznie. A jak im się wnętrze nie spodoba, a jak jedzenie nie będzie smakować, a jak się znowu grzałka w bojlerze przepali? Oczami wyobraźni Lilka zobaczyła nawet, jak po pierwszej nocy spędzonej w hotelu goście wynoszą cichcem walizki i nie czekając na śniadanie ani transport, uciekają na piechotę przed siebie, byle jak najdalej.

Więc w końcu o szóstej wstała, niewyspana i zła.

Potem nie mogła jeść. Z nerwów żołądek tak jej się skurczył, że nie była w stanie przełknąć nic poza kawą. Jagoda ją namawiała, wuj Stanisław namawiał, a ona po prostu nie mogła.

- Może trochę później - bąknęła i zaczęła wyłamywać sobie palce.

Jagoda spojrzała na wujka, wujek na Jagodę i pokiwali głowami ze współczuciem.

- Wrażliwe biedactwo - skomentował wuj.

- Nadwrażliwe - dodała Jagoda i oboje zajęli się śniadaniem.

Lilka widząc, że nie znajdzie u nich ani zrozumienia, ani właściwego wsparcia, ostentacyjnie wyszła z jadalni.

Hol lśnił i pachniał czystością oraz jaśminem, którego pełne wazony dziewczyny poustawiały, gdzie się tylko dało. Przez umyte szyby wpadały do środka promienie słońca, załamując się w drobnutkich kryształkach starego żyrandola. Nawet fotele pod oknem, wyczyszczone dokładnie przez Mazurową, nieoczekiwanie nabrały eleganckiej barwy starego złota. Lilka ze zdziwieniem zauważyła, że to miejsce ma jednak swój urok.

Oby tylko goście to docenili...

Jejku, kiedy oni wreszcie przyjadą? Musi znaleźć sobie jakieś zajęcie, żeby uspokoić trochę nerwy. Podeszła do recepcji i po raz kolejny w ciągu ostatnich dwóch dni otworzyła teczkę, w której trzymały karty meldunkowe, leżącą na ladzie. Między okładką a pierwszą stroną spoczywał arkusik papieru, wypluty wczoraj przez faks. Było to potwierdzenie rezerwacji dla dwunastu osób na pięć nocy oraz krótka informacja, że grupa pojawi się około południa.

Jeszcze trzy godziny czekania...

Trzasnęły drzwi od jadalni - wujek i Jagoda skończyli właśnie śniadanie. Starszy pan skrzył do siebie, a Jagoda podeszła do Lilki.

- Ty jednak powinnaś coś zjeść, przecież musisz być w formie. Poza tym, jak zajmiemy się wycieczką, może nie być czasu na żarcie aż do wieczora. Pomyślałaś o tym? No, właśnie. Idź, poproś pana Karola, żeby ci coś odgrzał.

I popchnęła przyjaciółkę w kierunku kuchni. Lilka ruszyła niechętnie przez pusty hol, kiedy nagle od strony schodów wpadł Hugon, merdając radośnie ogonem. Próbował się zatrzymać przy jej nogach, ale wpadł w poślizg, minął ją, buksując łapami na śliskiej powierzchni, i w końcu gruchnął łbem w stół. Stojący na nim wazon jaśminu zadygotał i przez chwilę wyglądał tak, jakby zamierzał się przewrócić,

ale na szczęście jakimś cudem utrzymał pion.

- Noga, Hugon, noga - zagrzmiał wujek i pomachał mu przed nosem smyczą. - Niedobry pies!

Lilka rzuciła się poprawiać kwiaty w wazonie, przy okazji wygładziła dokładnie leżącą pod nim serwetę, przetarła palcem wyimaginowaną plamę na blacie. Przesunęła stolik trochę w lewo, potem parę centymetrów w prawo, potem znów w lewo...

- Idź jeść! - Jagoda tupnęła na przyjaciółkę. - Ale już!

Lilka drgnęła, wyprostowała się i posłusznie ruszyła w kierunku jadalni. Jeszcze trzy godziny... może faktycznie powinna coś przekąsić? Może ten nieprzyjemny ucisk w żołądku, który czuła od rana, był z głodu? Zajrzała przez okienko do kuchni - pusto. Cisza. Po chwili wahania weszła do środka i zaczęła się bezradnie rozglądać, szukając czegoś, co mogłaby sama sobie przygotować. Na blacie stał tylko pojemnik na mąkę, więc zrobiła krok w kierunku lodówki i zamarała.

Na podłodze, w wąskiej przerwie między szafkami, siedział kucharz. Skulony, z pochyloną głową, obejmował ramionami kolana i drżał.

Lilka, w pierwszym odruchu współczucia, ukucnęła obok i lekko go dotknęła.

- Panie Karolu, co się stało?

Mężczyzna aż podskoczył.

- Co? Eee, przepraszam, ja... - opierając się plecami o ścianę, podniósł się gwałtownie i wyprostował.

- Czy coś pana boli? - dopytywała Lilka, przyglądając mu się uważnie.

- Nie... To znaczy tak, trochę... Czasami mam takie... skurcze. Nie wiedziałem, że...

- W apteczce widziałam nospę. Przynieść panu?

- Nie, nie, nie trzeba... ja tylko...

- To żaden kłopot. Proszę sobie usiąść, zaraz będę. - Wychodząc, obejrzała się i ich spojrzenia się spotkały. Ale w jego oczach nie było cierpienia. Był strach.

* * *

Kwadrans po dwunastej na podjeździe zahamował zakurzony biały minibus z barwnym napisem na boku. Lilka i Jagoda poderwały się z ławki, na której od pół godziny opalały nogi, próbując nie zwariować z nerwów.

- Są! Jagódka! - Lilka z przejęcia potknęła się o betonowy krawężnik. - Przyjechali!

- Uspokój się! - skarciła ją przyjaciółka. - Profesjonalizm, pamiętaj!

Drzwi auta otworzyły się gwałtownie. Na betonie najpierw wylądowała duża, biała torba z zielonym logo krokodyla, następnie dwie mniejsze, wreszcie ze środka wyostał się wysoki, zwałyści mężczyzna w jasnych spodniach i przepoconej pod pachami różowej koszulce polo.

- Kochani! Wsiadamy, wsiadamy! - zachęcił melodyjnym barytonem. - Bierzemy rzeczy! Nic nie zostawiamy! I proszę koniecznie pozbierać śmieci. Ekologia przede wszystkim.

Wbrew pozorom ze środka nie wysypała się grupa gimnazjalistów, tylko całkiem dorosłych i na oko autonomicznych jednostek. Oprócz kierownika wycieczka składała się z siedmiu pań i trzech panów. No i z kierowcy. Średnia wieku oscylowała koło sześćdziesiątki. Wsiadali, wymęczeni podróżą, a góra bagaży, które sukcesywnie wyjmowano z busa, rosła.

- Lecę po ogrodnika! - zareagowała natychmiast Jagoda.
- Pomoże nosić! A ty idź z nimi do recepcji i zacznij rozdzielać pokoje.

Właściwie miały przygotowanych sześć dwójek, ale nieparzysta liczba osób tej samej płci trochę Lilkę dezorientowała.

- Słuchaj, jeżeli jest pięciu panów, to jak ich położyć? Dać im dwójkę i trójkę?

- Nie wiem. Zaraz wracam. Poradzisz sobie. - Jagoda pobięła w kierunku warzywniaka.

Wielki mężczyzna dopiero teraz zauważył Lilkę i podszedł do niej zadziwiająco lekkim, prawie tanecznym krokiem. Miał rude, ostrzyżone na jeża włosy i małe, niebieskie oczka o zasadniczym wejrzeniu.

- Dzień dobry pani - uściskał jej rękę spoconą, wielką jak bochen chleba dłonią tak mocno, że aż przysiadła. - Olszowy Wiesław, prezes Krasa-Travel z Krosna, organizator wycieczki.

- Miło mi - bąknęła Lilka, ukradkiem wycierając dłoń o spódnice. - Liliana Wójcik, jestem właścicielką. Zapraszam do środka.

- Chwileczkę! - pan Wiesław odciągnął ją stanowczo na bok. - Ja rozmawiałem wcześniej z kierowniczką. No cóż, chodzi mi o to, żeby wszystko było na najwyższym poziomie. - Mówiąc to, obrzucił zdeglustowanym spojrzeniem szary fronton hotelu. - Kierowniczka zapewniała mnie, że ten pensjonat jest trzygwiazdkowy. Tymczasem...

Uniósł wyraziście brwi do góry, najwyraźniej oczekując jakiejś reakcji ze strony Lilki.

- Ależ oczywiście... zrobimy, co w naszej mocy. - Wy-swobodziła delikatnie dłoń z jego uścisku.

- Mam nadzieję... - powiedział z naciskiem pan Wiesław i nagle przypomniał sobie o swoim stadku.

- No, idziemy, kochani, idziemy! Przygotować do wozdiki! Pani Aniu, mogłaby się pani pospieszyć? Czekamy przecież!

Lilka wciągnęła powietrze jak przed skokiem na głęboką wodę i ruszyła w kierunku hotelu. Otwierając drzwi, kątem oka zauważyła nadchodzącego ścieżką niespiesznym krokiem ogrodnika. Jego wyraz twarzy nie wróżył niestety nic dobrego i Lilka, coraz bardziej zdenerwowana, pomyślała, że usługi boya hotelowego po siedemdziesiątce mogą nie być na „najwyższym poziomie”...

Za to w recepcji czekała już Jagoda.

- Weszłam przez kuchnię - wyjaśniła zdziwionej Lilce. - Uśmiechnij się, coś taka ponura?

Wycieczka powoli wypełniła niewielką, jak się nagle okazało, przestrzeń holu. Od razu zrobiło się duszno. Panie, wachlując się czasopismami, zajęły wszystkie miejsca siedzące, panowie skupili się wokół lady, a Olszowy przystąpił do uważnej lustracji otoczenia. Spojrzeniem małych, czujnych oczek omiółł każdy mebel i każdy kąt holu, przy czym nie wyglądał na usatysfakcjonowanego. W końcu pokręcił głową z dezaprobatą, westchnął ciężko i osuszył starannie spocone czoło ogromną, żółtą chustką. Z wiszącej na ramieniu białej torby wydobył następnie plik kartek i podszedł ciężkim krokiem do recepcji.

Lilce na widok jego wyrazu twarzy automatycznie zredła mina, aż Jagoda musiała szturchnąć ją łokciem, przywołując do porządku.

- Proszę, tu są vouchery dla wszystkich. Mała zmiana: zamiast pełnego wyżywienia weźmiemy halfpension. Skoro zamierzamy głównie cieszyć się urokami stolicy, tak nam będzie wygodniej. - Pochylił się nagle, szukając jeszcze czegoś w torbie, a do dziewczyn dobiegło jego zgryźliwe mamrotanie: - Zresztą, jeśli kuchnia jest tu tak samo wyrafinowana

jak wystrój, to niewielka strata...

- O, mam - sapnął i wyprostował się. W drodze ustaliliśmy, kto z kim chce być w pokoju, tu mają panie zaznaczone strzałkami - pan Wiesław położył przed nimi na ladzie lekko wymięty arkusik z nazwiskami.

Lilka pochyliła się, próbując odszyfrować zagmatwane linie.

- Pan Nowicki? - zaczęła niepewnie.

- To ja - wysoki, szczupły i niewątpliwie przystojny pięćdziesięciolatek położył przed nią z rozmachem kartonik dowodu osobistego.

- Pan chciałby być w pokoju z panem Kasimowiczem, tak?

- Raksimowiczem, Raksimowiczem.

- Oczywiście....

Powoli ustalały szczegóły rozlokowania, ciesząc się w skrytości ducha, że wycieczka jest dwunasto-, a nie na przykład trzydziestoosobowa. Szło im niezłe aż do momentu, kiedy, ignorując wskazania strzałek, próbowały na siłę w jednym pokoju umieścić Szewczyk Danutę i Szewczyk Andrzeja, którzy, jak się okazało, małżeństwem wcale nie byli. Panie zaczęły chichotać, panowie poklepywać kolegę po plecach, a Olszowy chrząkać na Lilkę, bo przecież wyraźnie było napisane...

Po kwadransie wszyscy już mieli klucze do pokojów w rękę i na szczęście tylko jedna osoba zapytała o windę. A kiedy ostatni z gości zabrał swoje rzeczy i dziewczyny zostały w recepcji same, rzuciły się sobie na szyje-

- Wiedziałam, że będzie dobrze! - Jagoda uściskała przyjaciółkę serdecznie.

- Udało się! Nie do wiary! Tacy mili ludzie!

- Rzeczywiście. Tylko ten cały Wiesław... Kim on jest?

- Ciiicho... - Lilka położyła palec na ustach. - To PREZES!

- Prezes? A czego?

- Jak to czego? Krasa-Travel! - jednocześnie parsknęły tłumionym śmiechem.

- Tak, różowa koszulka polo, klasyczny strój prezesa! - Jagoda powoli się uspokajała. - Ale teraz rozumiem, dlaczego tak nimi komenderuje. Może powinnyśmy im jakoś osłodzić pobyt...

- My? Jak? Co masz na myśli? - w głosie Lilki od razu zabrzmiała asekuracja.

Jagoda zaczęła wkładać dowody osobiste do plastikowego pudełka po lodach czekoladowych Algidy. Do wieczora musiały przepisać z nich dane.

- Zrobimy wieczorek zapoznawczy, jak na wczasach, no wiesz, trochę muzyki, serpentyny i napoje wyskokowe... - zachichotała. - Nie, no dobrze, żartowałam - wyjaśniła szybko, widząc na twarzy Lilki wyraźny popłoch. - Ale może... Wiem! - aż klasnęła. - Po kolacji zrobimy ognisko! Prawdziwe, regularne ognisko! Nawet nie próbuj protestować!

* * *

- Wiesz co, gdybym wiedziała, ile z tym będzie roboty...

Powoli zapadał wieczór. Dziewczyny przysiadły na grubym, odartym z kory konarze, który przytaszczyły z drugiego końca ogrodu. Leżał sobie spokojnie tuż obok ścieżki i wyglądał tak, że wygrałby każdy casting na ławeczkę. Co prawda mogły się na nim zmieścić najwyżej trzy osoby, ale akurat tyle miejsc im brakowało. Przeniosły już wcześniej

wszystkie fotele ogrodowe z tarasu i dodatkowo trzy stare stolki z kuchni. Gorzej, że chociaż od godziny organizowały konieczne zaplecze, czyli zaostrzone patyki do pieczenia kiełbasek, kamienie do obłożenia paleniska oraz piasek dla bezpieczeństwa, ciągle brakowało im opału. Z chrustem sytuacja była dramatyczna, bo ogród wyglądał tak, jakby ogrodnik wyczesywał go codziennie gęstym grzebieniem - ani jednego patyka, ani jednej niepotrzebnej gałązki. Naprawdę nieźle się namęczyły, żeby coś znaleźć, i właściwie miały już dosyć.

- Jakie my głupie jesteście. Trzeba było od razu iść do lasu - sarknęła Jagoda.

Kiedy jako autorka pomysłu zaproponowała Olszowemu wieczorną atrakcję, pan prezes nawet się ucieszył, ponieważ na pierwszy wieczór nie zaplanował nic specjalnego dla swojej wycieczki. Więc tuż po obiadowym popisie pana Karola, który zrobił na gościach zrozumiałe wrażenie, Jagoda wsiadła do auta i pojechała do miasteczka po kiełbasę, musztardę, pieczywo i jednorazowe talerzyki. Po pewnym zastanowieniu dodała jeszcze do listy plastikowe sztucce, papierowe ręczniki oraz rozpałkę do grilla, żeby nic nie pozostawiać przypadkowi. Jedyne, czego kupić nie mogła, to męska pomoc, która bardzo by im się z Lilką przydała podczas przygotowań.

Po chwili bezmyślnego odpoczynku Jagoda spojrzała na zegarek.

- Słuchaj, mamy pół godziny. Jeszcze jedna rundka?
- Już nie mam siły... Może wystarczy?
- A jak zabraknie? Chodź, pójdziemy w stronę wazywniaka, tam pod murem może coś znajdziemy. - Jagoda wstała i zaczęła strzepywać dżinsową koszulę, która nosiła wyraźne ślady kontaktu z naturą. - Potem wracamy do domu się przebrać. Zaprosiłaś personel?

- Oczywiście. Mazurowa bardzo się ucieszyła. Obiecała, że przyniesie coś dobrego.

- Fajnie. Chodź.

Ruszyły ścieżką, a na wysokości szopy ogrodnika skrzyły w stronę muru. Jagoda szła pierwsza, rozgarniając krzaki.

- Kurczę, jaka piękna dzicz! Trzeba było tutaj zacząć!

Chwyliła pierwszą z brzegu grubą, martwą gałąź, która okazała się nieoczekiwanie gładka i prosta. Zaskoczona popatrzyła na to, co trzyma w ręku.

- Lilka, patrz, łopata!

Zasapana Lilka, która próbowała wyszarpnąć z ziemi duży, uschnięty krzak żarnowca, idealną pożywkę dla ognia, obejrzała się przez ramię i ze zdziwienia przestała ciągnąć.

- To chyba jest ten ulubiony szpadel ogrodnika, który zginął mu kilka dni temu. Skarżył się, że mu ukradli...

Jagoda wzruszyła ramionami.

- Daj spokój, kto by kradł takie coś? Musiał tutaj kopać, zostawił i zapomniał. On już jednak nie jest najmłodszy.

Wbiła szpadel z powrotem w ziemię i zajęła się zbieraniem chrustu.

- A swoją drogą dziwne... Po cholere on tu kopal?

ROZDZIAŁ 24

- Już, już, otwieram! - dzwonek brzęczał natarczywie i ponaglająco, a pani Osiadaczowa jak na złość nie mogła trafić stopami w kaptcie. W końcu nachyliła się i z trudem pomogła sobie ręką. Pod lewą łopatką poczuła ostre ukłucie.

Pewnie znowu mnie zawiąło, nie trzeba było wieczorem siadać na balkonie... pomyślała, podniosła się z trudem i ruszyła w stronę przedpokoju. Nie za dobrze się dzisiaj czuła.

Dzwonek odezwał się znowu. Jacy to teraz ci ludzie niecierpliwi...

- Już idę!

Powoli podeszła do drzwi i wyjrzała przez judasza. Na korytarzu stał jakiś mężczyzna, niestety słabe światło żarówki padało od tyłu i nie mogła rozpoznać jego twarzy. Ale na pewno to nie był pan Stasio, listonosz, on zawsze miał na głowie tę swoją czapkę. No i jeszcze nie czas na emeryturę. Żeby to tylko nie jakiś naciągacz, tyłu ich się teraz kręci.

Na wszelki wypadek sprawdziła łańcuch.

- Kto tam? - spytała niepewnie.

- Pani Osiadacz? Kwiatkowski Tomek z tej strony. Kolega Kamila. Pamięta pani? Byłem kilka dni temu.

Kobieta oparła się ręką o ścianę i zaczęła oddychać głęboko, żeby uspokoić rozpedzone nagle serce. Ten młody człowiek rzeczywiście już ją raz odwiedził, w poniedziałek koło południa, wypytywał wtedy o Kamila, kiedy będzie, dokąd wyjechał, czy jest z nim jakiś kontakt. Takie jakieś dziwne wrażenie zostało jej po tej wizycie. Powinna opowiedzieć o tym synowi, kiedy ostatnio dzwonił, ale jakos

wyleciało jej z głowy. A wszystko ze zdenerwowania. Jak on tak mógł, zostawić matkę i wyjechać z jakąś... lafiryndą!

Nic wtedy nie powiedziała temu Kwiatkowskiemu, bo chociaż niby grzeczny, jednak nie bardzo jej się spodobał. Właściwie nawet nie wiedziała, dlaczego. Może to przez to rozbiegane spojrzenie? I pytania jakieś dziwne jej zadawał, jeszcze by Kamilkowi jakichś kłopotów narobił. No więc nie powiedziała mu ani o dziewczynie, ani o tym wyjeździe. No i proszę, wrócił. Co robić?

Rozległo się nagłace pukanie. Osiadaczowa, wyrwana z zamyślenia, drgnęła i odpowiedziała niechętnie cichym głosem:

- Pamiętam, oczywiście, że pamiętam – Zaczęła drżącymi dłońmi manipulować przy zasuwie. - Momencik! - dodała głośniej. - Już otwieram!

Nie zdejmując łańcucha, uchyliła ostrożnie drzwi i aż cofnęła się, wystraszona. Mężczyzna nie był sam. Obok niego, opartych o ścianę, stało jeszcze dwóch nieznajomych.

Zanim zdążyła jakoś zareagować, Kwiatkowski włożył stopę w szparę i z całej siły uderzył w drzwi ramieniem. Wyrwany łańcuch zagrzecgotał metalicznie o boczną ściankę stojącej obok szafy i nieproszeni goście wtargnęli do środka.

Osiadaczowa zaczęła się cofać, przerażona, ale za plecami poczuła drzwi łazienki. Jeden z intruzów, którego wcześniej nie widziała - wysoki, szczupły, utykający lekko na prawą nogę, podszedł do niej, chwycił za sukienkę pod szyją i zbliżył twarz do jej twarzy tak blisko, że poczuła jego prześiąknięty nikotyną oddech.

- No! Gdzie ten twój pieprzony synek?

Otworzyła usta, chwytając łapczywie powietrze, ale nie była w stanie wydusić z siebie ani słowa. Mężczyzna potrząsnął nią mocno.

- Gadaj, starucho!
- Ja nie wiem... gdzieś pojechał... z dziewczyną.
- Nie pierdzieli Ten mięczak by nie wyrwał żadnej laski!
- Potrząsnął ponownie kobietą, a potem złapał ją nagle prawą ręką za gardło i zaciskając palce, wysyczał jej prosto do ucha: - To gdzie on jest?

Osiadaczowa wlepiła w napastnika przerażone spojrzenie. Czuła, że zaczyna brakować jej tchu.

Nagle puścił jej szyję. Osunęła się na podłogę, chwytając łapczywie powietrze.

- Wstawaj - warknął napastnik. - Kurwa, wstawaj!

Nie miała siły. Kręciło jej się w głowie, pod powiekami migły białe płatki... Położyła rękę na sercu. Mężczyzna pochylił się nad nią, chwycił za ramię i szarpnął do góry.

- Jeszcze z tobą, mamuśka, nie skończyłem!

Pociągnął ją w kierunku pokoju, a potem popchnął na chybota krzesło, z którego o mało nie spadła. Ból pod lewą łopatką powrócił z taką siłą, że zrobiło jej się słabo.

- Wody... - wycharczała. - Wody!

Zignorowali jej prośbę.

- Posłuchaj - syknął kulawy. - Twój pierdzielony Kamilek wyrolował nas na niezłą kasę. Jak grzecznie powiesz, gdzie się zadekował, to nic się nikomu nie stanie.

Przysunął sobie drugie krzesło, usiadł na nim okrakiem i zapalił papierosa. W tym czasie jego koledzy zaczęli przetrzucać rzeczy w pokoju Kamila. Przez uchylone drzwi widziała, jak wyciągają szuflady, grzebią w szafie, zrzucają książki z biurka.

- Poznaje szef? - ten, który był u niej za pierwszym razem, przyniósł i położył na stole aparat fotograficzny w czarnym futerale. Kamil przyniósł go do domu przed

tygodniem, twierdząc, że to wygrana w jakiejś promocji.

- Taaa. Schowaj, przyda się jeszcze - machnął ręką kulawy.

- Dajcie mi wody! - jęknęła znowu Osiadaczowa, zaciskając palce na obrusie. Czowała, jak sztywnieją jej nogi, a klatkę piersiową ogarnia lodowaty chłód.

- Dostaniesz, jak powiesz, gdzie jest ten pieprzony sukiny... - dmuchnął jej dymem prosto w twarz.

- Wody... - kobieta próbowała sięgnąć po stojącą na stole kosmetyczkę pełną lekarstw, ale kulawy był szybszy i jednym ruchem zrzucił ją na podłogę.

- Moje tabletki... - Osiadaczowa osunęła się na kolana. - Kamilek, nie róbcie nic mojemu dziecku...

W tym momencie potworny ból przeszył jej klatkę piersiową i ogarnęła ją ciemność.

ROZDZIAŁ 25

- Renata, zaczekaj! Tu masz dwie herbaty na dwójkę i serwetki, bo zabrakło. Swoją drogą przed śniadaniem uzupełniałam... Co oni z nimi robią, jedzą?

Zdenerwowana Jagoda usiłowała jakoś opanować skomplikowany proces wydawania śniadania dla dwunastu osób, z których jedenaście było głodnych, a jedna dodatkowo wymagająca.

Wycieczka pojawiła się w jadalni punktualnie o ósmej, choć Jagoda miała cichą nadzieję, że po wczorajszym, suto zakrapianym ognisku nie zerwą się tak wcześnie. Impreza trwała w końcu do późnej nocy i miała burzliwy przebieg, o czym dziewczyny przekonały się na własnej skórze. Jagoda wytrzymała z gośćmi tylko do dwudziestej drugiej, po czym, tłumacząc się obowiązkami, wymknęła się do hotelu, gdzie chcąc nie chcąc jeszcze przez jakiś czas śledziła gromkie popisy wokalne, docierające z ogrodu potężną porcją decybeli. Lilka, biedactwo, została na posterunku do samego końca - ktoś z personelu przecież musiał - i pewnie dlatego zasnęła.

Jagoda w całym tym kuchennym zamieszaniu nie miała czasu sprawdzić, co się dzieje z przyjaciółką, i nagle uświadomiła sobie, że dochodzi już wpół do dziewiątej, a Lilki ciągle nie ma.

- Proszę pani, jeszcze trzy kawy na ten pod oknem. I ten pan kazał to wymienić. - Renatka energicznie postawiła na kuchennym stole tacę, na środku której leżała samotnie łyżeczka do herbaty.

Jagoda wzięła w dwa palce błyszczący sztuciec i obejrzała uważnie.

- Przecież czysta...

- Właściwie tak... Ale tutaj - Renatka pokazała palcem - ma ślad.

Od gładkiej powierzchni odcinała się minimalnej wielkości plamka po wyschniętej kropli wody.

- Aha... Który to pan?

- Ten ich kierownik.

- Głupio pytam, jasne, że on. Dobra, wymień, a kawę już robię.

- I już wiem proszę pani, dlaczego tyle serwetek idzie - dodała Renatka, otwierając szufladę ze sztućcami. - Taaakie góry kanapek w nie pakują. Chyba żeby im na cały dzień wystarczyło...

Kwadrans później jadalnia zaczęła pustoszeć. Dwie osoby zajrzały przez okienko i wyraziły szczerzy zachwyt omletem, jedna spytała, czy można zabrać do pokoju półmisek z wędliną, a Olszowy z miną nie wróżącą nic dobrego zwrócił Jagodzie uwagę, że herbatę podaje się parzoną, a nie ekspresową.

Gdzie ta Lilka?

Pan Karol, który poruszał się dziś po kuchni w wyjątkowo, nawet jak na siebie, ponurym nastroju, rzucił fartuch na krzesło, zostawił na blacie kartkę z listą zakupów i poszedł sobie. Ponieważ Renatka zabrała się za zmywanie, Jagoda pozносиła tylko szybko brudne naczynia ze stolików, a potem pobiegła sprawdzić, co z Lilką. Po drodze spotkała wuja Stanisława, który przemykał cichcem w kierunku jadalni.

- Poszli już sobie? - spytał konspiracyjnym szeptem. Poprawiał nerwowo swój jedwabny fular i ogólnie sprawiał wrażenie, jakby obecność wycieczki lekko go mierzyla.

- Poszli, poszli. Ja zaraz wracam, zresztą w kuchni jest Renatka, to się panem zajmie.

- Nie mam nic przeciwko temu - podkreślił węża i wyprostował się. - Wcale a wcale... A gdzie Lileczka?

- Właśnie idę sprawdzić. Zdaje się, że zasnęła.

Na energiczne pukanie do drzwi nie było żadnej odpowiedzi, więc Jagoda po chwili wahania nacisnęła klamkę i weszła do środka. W saloniku zasłony były odsłonięte, w sypialni łóżko skołtunione, a w łazience paliło się światło i dochodziły z niej dziwnie niepokojące odgłosy.

- Liluś, żyjesz? - Jagoda zapukała lekko, a potem przyłożyła ucho do drzwi łazienki.

- Żyję... - głos przyjaciółki był słaby i obolały. - Ale co to za życie...

- Przecież wczoraj prawie nic nie piłaś?

- Nie. Ale jadłam sałatkę śledziową...

Jagoda pokręciła z niedowierzaniem głową nad delikatnością żołądka przyjaciółki.

- Biedactwo! Przynieść ci coś z apteczki?

- Nie, nie...

- To może przynajmniej zrobię ci mięty, co?

- Aha...

A kiedy wracała z kuchni z tacą w rękę, usłyszała, że pod hotel z piskiem opon podjeżdża jakiś samochód.

* * *

Lilka owinęła się szczelnie szlafrokiem, oparła o umywalkę i zbliżyła twarz do lustra. Nie ma co, wyglądała koszmarnie. Rozczochrane włosy, twarz tak blada, że prawie przezroczysta, do tego spierzchnięte wargi i głębokie cienie pod oczami. To na pewno ta sałatka od Mazurowej. Po co jej tyle jadła? Ze zdenerwowania chyba...

Znowu poczuła nieprzyjemny skurcz żołądka, który na szczęście minął równie nagle, jak się pojawił.

Sięgnęła po czerwony plastikowy kubek w białe paski, który kupiła rok temu w Ikei. Właściwie kupiła wtedy dwa, drugi, zielony, dla Tomka... Ciekawe, czy on go jeszcze używa?

Przygryzła wargi i z mocnym postanowieniem, że nie będzie się więcej nad sobą roztkliwiać, wycisnęła pastę na szczoteczkę.

Zdradził ją.

Rozwiedli się.

Koniec, kropka.

Tylko dla czego na wspomnienie ostatniego spotkania i jego pocałunków miękką jej kolana?

Niepotrzebnie się zgodziłam, powtarzała sobie w myślach, przesuając bezwiednie szczotką po zaciśniętych zębach. Ale to było takie silne, takie... naturalne. Wystarczyło jedno dotknięcie, jeden pocałunek i znowu należała do niego. A on mówił, że tęskni...

Może powinna zadzwonić, zapytać...

Szczoteczka ześlizgnęła się boleśnie na dziąsło, aż Lilka się wzdrygnęła. Dostyc tego! To on się powinien teraz odezwać, nie ona. Jeżeli mu choć trochę zależy...

Pochyliła się nad umywalką, żeby opłukać twarz zimną wodą i w tym momencie ktoś gwałtownie zapukał do łazienki.

- Lilka, możesz wyjść? - usłyszała stłumiony głos Jagody.

- Już, zaraz - wymamrotała niewyraźnie i sięgnęła po ręcznik, a potem położyła rękę na klamce i powoli uchyliła drzwi.

Najpierw zobaczyła Jagodę z parującą filizanką na tacy.

- Aaa, dziękuję... - uśmiechnęła się z wysiłkiem do przyjaciółki i wyciągnęła rękę po miętę.

W tym momencie zza Jagody wychyliła się nagle Ewelina.

- Ewcia? - ucieszyła się słabo Lilka. - Co ty tu robisz?

W odpowiedzi Ewelina wzruszyła ramionami, odsuwając się na bok, i Lilka stanęła oko w oko z matką.

- Witaj, Liliano - odezwała się chłodno Emilia i dłonią o nienagannym manikiurze poklepała córkę protekcyjnie po policzku. - Naprawdę nie masz mi nic do powiedzenia?

Lilka zaczęła się osuwać po ścianie i gdyby nie to, że Ewelina podsunęła jej w ostatniej chwili krzesło, wyładowałaby na podłodze. W tym czasie Jagoda odstawiła tacę na stolik tak zamasztyłym gestem, że gorący płyn chlapanął obficie na spodek.

- Ja bardzo przepraszam, ale... właśnie muszę jechać po zakupy - oświadczyła i zrećcznie wycofała się z placu boju.

Lilka miała szczerą ochotę za nią pobiec.

Bezradnie przyglądała się, jak Emilia zdejmuje z głowy wielki, słomiany kapelusz, owinięty zieloną apaszką w białe grochy, kładzie go ostrożnie na stojącym pod oknem fotelu i rozgląda się po pokoju z nieodgadniętym wyrazem twarzy.

- Hmm, widzę, że już się tu zaaklimatyzowałaś... - Ton wypowiedzi matki był tak zjadliwy, że Lilka aż zdrętwiała.

- Cieszę się, że przyjechałaś, mammo... - wyjąkała bez przekonania. Matka pochyliła się nad nią, przesywając ją wściekłym spojrzeniem.

- Czy ty naprawdę myślałaś, że uda ci się ukryć przede mną tę przeprowadzkę? Przez myśl by mi nie przeszło, że moja własna, rodzona córka tak mnie potraktuje! Jakbym nie istniała! - Jej głos zaczął przybierać niebezpiecznie wysokie tony.

Lilka oparła głowę o ścianę i przymknęła oczy, ale mimo to pod czaszkę ciągle wdzierał się przenikliwy monolog matki.

- Każda normalna córka, powtarzam: każda! zawiadomiłaby matkę o czymś takim! Ale nie, ja się muszę o wszystkim dowiadywać przypadkiem. Tak, przypadkiem, jakby ta sprawa w ogóle mnie nie dotyczyła! A czy ktoś mnie może spytał o radę albo choćby o zdanie na ten temat? Nie. Moje dziecko najwyraźniej uważa, że może samodzielnie podejmować takie decyzje. Tak poważne decyzje! A potem się okaże, że to kolejny niewypał...

- Chyba trochę przesadzasz, mamoo... - zaczęła Ewelina, ale matka przerwała jej od razu, jeszcze bardziej zirytowana:

- Nie, nie przesadzam! Z Lilką zawsze były kłopoty. Nic jej nigdy nie odpowiadało. Zawsze niezadowolona. Zawsze skrzywiona. A jak już w końcu zdobyła męża, to co zrobiła? Rozwiodła się! I teraz znowu jest sama jak palec, a latka lecą. Miała dobrą pracę w wydawnictwie... I co? Rzuciła ją. Żeby prowadzić jakąś... imitację hotelu, jakiś podupadły pensjonat w zabitej dechami dziurze, gdzie nie zajrzy nawet pies z kulawą nogą!!! - Matka z coraz większym zapalem zaczynała ujeżdżać swojego ulubionego konika.

Ledwo żywa Lilka poczuła nagle wyraźnie, że jeszcze minuta tego monologu, a zwariuje.

- Gdyby ona się chociaż na tym znała! Ale nie. Nie ma bladego pojęcia o prowadzeniu pensjonatu, w ogóle o prowadzeniu jakiegokolwiek interesu! Przecież zawsze wszystko dostawała na talerzu. Prosto pod nos. Najpierw ode mnie, a potem od swojego męża. Ja nie pojmuję, jak mogła podjąć tak idiotyczną decyzję?! Tak po prostu rzucić wydawnictwo! Takie perspektywy rozwoju! Same zobaczycie - jeszcze miesiąc, dwa i trzeba

będzie sprzedać tę... budę. I gdzie wtedy Lilka znajdzie jakieś zajęcie, no gdzie? Nie, ja tego nie wytrzymam. Och, jak mi serce bije... Tak się zdenerwowałam... Muszę zaczerpnąć świeżego powietrza. Natychmiast! - Matka przysłoniła teatralnym gestem czoło i ruszyła szybkim krokiem do drzwi. W progu odwróciła się jeszcze na chwilę i groźnym głosem dodała: - Jeszcze z tobą nie skończyłam, Liliano.

* * *

Następny kwadrans Lilka spędziła w łazience, próbując się doprowadzić do jakiegoś takiego użytku. A kiedy w końcu opuściła bezpiecznie schronienie, ubrana i na wszelki wypadek również umalowana, w pokoju było pusto i cicho.

- Mama? - zajrzała do sypialni, ale zastała tam tylko zwalone obok łóżka eleganckie bagaże Emilii. - Ewcia?

Kiedy wyszła na korytarz, okazało się, że nie musi dalej szukać. Wysoki, modulowany głos matki doprowadził ją niczym GPS prosto do recepcji.

Emilia stała przy ladzie, oparta o nią lekko biodrem, i rozmawiała z kimś przez komórkę, palcem wolnej ręki przesuwając po kartach meldunkowych.

- Pa, pa, kochanie! - do słuchawki popłynęła ostatnia, pożegnalna kaskada śmiechu, trzasnęła klapka telefonu i matka odwróciła się, napotykając pytające spojrzenie młodszej córki.

- Przeglądałam wpisy - zaczęła, a na jej twarzy pojawił się pełen satysfakcji uśmiešek. - Nie można powiedzieć, żeby to miejsce cieszyło się przesadnym powodzeniem... ale ciebie, jak widzę to w ogóle nie martwi. Ciekawa jestem, jak

masz zamiar przyciągnąć tu gości.

- Przecież właśnie mamy wycieczkę...

- Też mi wycieczka! - fuknęła rozeźlona Emilia. - Z Krośna! No, ale na inne to w tej dziurze nie można przecież liczyć! A poza tym... wyjadą i co? Masz jakieś inne rezerwy?!

- Ależ, mam...

- Trzeba przede wszystkim ustalić, co zamierzasz dalej, Liliano.

- Mam...

- Uważam, że powinnaś jak najszybciej wystawić hotel na sprzedaż, póki jeszcze go całkiem nie zmarnowałaś i jest coś wart.

- Ale ja nie chcę...

- Śmiech mnie po prostu ogarnia, jak mi ludzie mówią, że mam dorosłe córki i nie muszę się już nimi przejmować. Tu nie chodzi o to, co ty chcesz, Liliano. Kiedy ty wreszcie dorosniesz? Nie rozumiesz, że dla kogoś takiego jak ty najlepszy jest etat? Całe szczęście, że przynajmniej Ewelina ma stałą pracę. I dobrze płatną w dodatku. A ty? Z czego będziesz żyła? Za co będziesz jadła? Najwyraźniej nie myślisz ekonomicznie, ale co w tym dziwnego, zawsze byłaś nieodpowiedzialna. Jeżeli wyobrażasz sobie, że ja ci będę pomagać finansowo, że będę cię żywić... - Emilia zawiesiła na moment głos, po czym płynnie przeszła do następnego zagadnienia: - A propos, dasz mi w końcu coś do jedzenia czy zamierzasz tak mnie tutaj trzymać na czczo do wieczora?

Lilka, którą potok słów wypływających wartkim strumieniem z umalowanych ust matki zdążył już doprowadzić na skraj płaczu, otrząsnęła się jakoś i wyjaśniła nieśmiało:

- Właśnie miałam zaproponować... bo mamy doskonałego kucharza...

- Tak. Słyszałam. Podobno to wuj Stanisław go przyjmował. Już ja sobie wyobrażam, co to za wysokiej klasy specjalista, ten wasz, pozał się Boże, kucharz. No, ale trudno, zgłodniałam...

I ruszyła za Lilką w kierunku jadalni, komentując po drodze stan wykładziny podłogowej, boazerii, firanek oraz lamp. Kiedy weszły do środka, Emilia rozejrzała się dookoła z lekkim obrzydzeniem.

- Czy ten wasz... kucharz mógłby mi zrobić pszenny tost z szynką i dużą kawę? Nic więcej nie przełknę. Czuję się tak nieświeżo. - usiadła ostrożnie na krześle, jakby bojąc się, że się przyklei. - No, ale oczywiście do twojej łazienki nie mogłam się dostać.

- Mamo, przecież tu są jeszcze inne łazienki, to jest hotel...

- O nie, dziękuję! Już raz skorzystałam. Do dzisiaj nie mogę się otrząsnąć...

Odruchowo oparła dłonie na stole i od razu je cofnęła.

- Mogłybyście chociaż utrzymywać czystość! To jest lepskie! A tę ceratę to powinnaś zmienić w pierwszej kolejności! Przecież już ci mówiłam, że wygląda zupełnie jak w barze mlecznym... - Matka nagle zmarszczyła nos, krzywiąc się z niesmakiem. - I co tutaj tak... dziwnie pachnie? Nie czujesz? Czy wy czasem nie macie śmietnika za blisko domu?

Lilka właśnie zastanawiała się, co odpowiedzieć, kiedy drzwi jadalni otworzyły się gwałtownie i do środka energicznym krokiem weszła Ewelina.

Ubrana cała na szaro, w luźne lniane spodnie i marynarkę z gniecionego lnu, spod której wyglądał srebrny podkoszulek, ze swoimi miedzianymi, błyszczącymi włosami zebranymi grzecznie w gruby koński ogon, jak zwykle, wyglądała świetnie.

- Przepraszam was, miałam ważny telefon. Muszę wracać do Warszawy. I to jak najszybciej. – Pochyliła się, żeby cmoknąć Emilię w pachnący policzek. – Do kiedy, mamó, chcesz tutaj zostać?

Matka westchnęła głęboko i teatralnym gestem przyłożyła dłoń do skroni.

- Jaki my dzisiaj mamy dzień tygodnia? – zapytała w końcu.

Dziewczyny spojrzały na siebie zdziwione.

- Czwartek - odpowiedziała zgodnie z prawdą Ewelina.

- Ach, oczywiście, czwartek - ucieszyła się matka. - Wyleciało mi z głowy. W takim razie zostaną do przyszłej środy.

ROZDZIAŁ 26

Rozległy, murowany taras, otoczony balustradą z betonowych tralek, tonał w słońcu. Na białej posadzce z popękanych kafli zieleniły się plastikowe foteliki i okrągły stół z parasolem umieszczonym pośrodku. Lilka szybko oceniła sytuację - foteliki były myte wczoraj, na okoliczność ogniska, za to stół, wydobyty rano z magazynku, nie nadawał się na razie, żeby posadzić przy nim Emilię Ostaszewską.

- Chwileczkę, mamó!

Ale kiedy zdyszana wróciła ze ścierką, matka już z obrzydzeniem skrobała paznokciem po blacie.

- Czy jest jakieś miejsce w tym hotelu, które się NIE LEPI? Gdybym była gościem, nie zostałabym tutaj nawet pięciu minut! Wstyd! - rzuciła Lilce karcące spojrzenie. - Za co ty płacisz tej sprzątacze? A to co znowu?

Emilia zamarła, wpatrując się zdziwiona w rosnący naprzeciwko ogromny krzew forsycji, który nagle zaczął się trząść i falować, i po chwili wypłuł z siebie potarganego, oblepionego liśćmi i absolutnie szczęśliwego Hugona. Psiak otrząsnął się, rozejrzał i ruszył pędem przez trawnik w kierunku tarasu, niemal zamiatając ziemię czerwonym jęzorem, zwisającym mu zawadiacko z pyska.

Lilka jęknęła, ale zanim zdążyła rzucić się do przodu, żeby zagrozić drogę intruzowi, szczeniak dwoma susami pokonał schody, wpadł na taras i z radosnym impetem rzucił się na Emilię.

- Weź to ze mnie! - krzyknęła dramatycznie matka, usiłując zrzucić z siebie brudnego zwierzaka, który energicznie

wspinał się jej na kolana, próbując jednocześnie polizać ją po twarzy. - Moja spódnica! Moja bluzka! Lilka! Zrób coś!

- Hugon! Hugon! - zabrzmiało tubalne wołanie i na trawniku pojawił się, jak zwykle nienagannie elegancki, wujek Stanisław. Szedł szybkim krokiem, wymachując laską i rozglądając się w poszukiwaniu psa.

- A, tu jesteś, bratku! - ucieszył się na jego widok. Pies na głos pana przez chwilę jakby się zawahał, nasłuchując, i właśnie ten moment wykorzystała Lilka, żeby złapać go za obrozę i odciągnąć od matki.

- Ładnie to tak, huncwocie jeden, piękne kobiety niepokoić? - ciągnął dalej wujek, podkrecając wąsa i wchodząc dostojnie stopień po stopniu na taras. - Przypnij go, dziecko - podał smycz Lilce, która z trudem próbowała utrzymać wijącego się jak rudy piskorz Hugona.

W tym czasie oburzona i zdenerwowana do granic możliwości Emilia, mamrocząc pod nosem, próbowała chusteczką doprowadzić do ładu swoją garderobę, na której brudne łapy psa pozostawiły ciemne, wilgotne smugi.

- Najmocniej przepraszam - zaczął się tłumaczyć starszy pan pod adresem pleców Emilii. - To jeszcze młodziak. Gdybym mógł jakoś pomóc... Lilka, dziecko, nie przedstawisz nas sobie?

W tym momencie Emilia wyprostowała się i odwróciła gwałtownie.

- To chyba nie będzie konieczne - oświadczyła lodowatym tonem.

Wuj Stanisław aż cofnął się o krok ze zdziwienia.

- Ehm - chrząknął. - Emilia? - przez chwilę przyglądał się jej, dezorientowany. - No cóż... Jak miło, że nas odwiedziłaś... - Po sekundzie namysłu zrobił krok w jej stronę, żeby się przywitać.

Wahanie Emilii trwało dużo dłużej. W końcu niechętnie wyciągnęła dłoń w kierunku wuja.

- Jestem tutaj wyłącznie w charakterze matki. Rzuciłam wszystko, żeby tu przyjechać. Ale nie dość, że mi nikt nie podziękował, to jeszcze okazuje się, że się wtrącam!

- Mamo, to nieprawda! - zdenerwowała się Lilka.

- Ja nie powiedziałam, że się wtrącam, ja tylko...

- Może i nie powiedziałaś, ale pomyślałaś na pewno! - Emilia jedną ręką oparła się o balustradę, a drugą zaczęła gwałtownie gestykulować tuż przed nosem wuja. - Czy ty sobie wyobrażasz, że ona przez miesiąc, MIESIĄC! nie była mnie w stanie zawiadomić, że się tu przenosi?

- Emilio, może usiądziemy? - zaproponował ugodowym tonem starszy pan. - Lileczka nam przyniesie herbaty...

Matka parsknęła ironicznie i niecierpliwym ruchem odgarnęła z czoła kosmyk włosów, który śmiał samowolnie zmienić położenie, wprowadzając lekki nieład w jej idealnej fryzurze.

- No właśnie. Na herbatę to ja już czekam od kwadransa. Czy to naprawdę takie trudne zagotować wodę? Gdybym była gościem...

Wuj Stanisław odsunął zielony fotelik zapraszającym gestem.

- Emilio, moja droga, spocznij, proszę. Nie powinnaś się tak unosić. Zresztą Lilka świetnie tu sobie daje radę. Muszę ją pochwalić. Naprawdę, bardzo się cieszę, że namówiłem Felicję, żeby zapisała ten hotel twoim córkom.

- Co proszę? To ty ją namówiłeś? Czyli to... wszystko przez ciebie? - matka dramatycznym gestem położyła dłoń na obfitym biuście i opadła z gracją na fotelik.

- No, gratuluję! Po prostu nie mam słów!

- Hmm, ja bym raczej powiedział, że nie przeze mnie, tylko dzięki mnie, ale rozumiem, że masz na ten temat inne zdanie... - Wuj poklepał po głowie merdającego radośnie psa. - Liluś, czy mogłabyś go stąd zabrać?

* * *

Lilka wepchnęła Hugona do pokoju wujka, zamknęła za nim drzwi i oparła się o ścianę, oddychając ciężko. Przeciągnięcie obrażonego zwierzaka przez cały hol kosztowało ją sporo wysiłku, bo pies zapierał się wszystkimi czterema łapami, rysując podłogę i próbując jednocześnie uwolnić głowę z obroży. Ale z drugiej strony wolała już to niewdzięczne zajęcie niż pozostanie na tarasie, gdzie wuj Stanisław właśnie zabierał się za wypracowywanie równowagi sił.

Nie bardzo wierzyła, że mu się uda.

Bo przecież jeśli nawet porzuciliby niewygodny temat hotelu, to pozostawało jeszcze do omówienia kilka drażliwych kwestii rodzinnych. W końcu nie widzieli się... No, długo się nie widzieli.

Delikatna sprawa.

Zamiast więc do nich wracać, Lilka poszła sprawdzić, co z herbatą.

W kuchni zastała tylko Renatkę, całkowicie pochłoniętą zmywaniem.

- O jejku, ja strasznie panią przepraszam, zagapiłam się, już robię! - Dziewczyna zakręciła gwałtownie wodę i rzuciła się w kierunku kuchenki. - Mała chwileczka i gotowe!

Zaczęła się krzątać, przygotowując tacę. Lilka postanowiła poczekać. Przysiadła sobie na białym laminowanym

taborecie obok lodówki, kiedy otworzyły się kuchenne drzwi i wszedł ogrodnik. Jak zwykle miał na sobie wielkie, czarne, ubłocone na żółto kalosze i jak zwykle zostawiał po sobie na czystej podłodze wyraźne ślady.

- Dzień dobry - odezwała się Lilka niepewnie, bo stary człowiek trocheja peszył. - Śliczny dzisiaj dzień!

- Jak dla kogo - odburknął mężczyzna i usiadł ciężko przy stole. - Można? - pokazał brudnym, sękatym palcem na talerz z kanapkami, przykryty ściereczką.

- A tak, tak, to pan Karol dla pana przygotował poświadczyła Renata. - Zaraz jeszcze herbaty zrobię.

- Tylko mocnej - zastrzegł ogrodnik. - Nie takie siki, jak ostatnio.

Lilka westchnęła i spojrzała na zegarek.

- Już jedenasta - przeraziła się. - Renatko, biegnij szybko z tą herbatą na taras i weź drugie nakrycie dla wujka. Nie wiesz czasem, gdzie jest pan Karol?

Renatka zamiast odpowiedzi wzruszyła tylko ramionami, chwyciła tacę i wyszła.

- Pewnie po ogrodzie łązi - rzucił niechętnym tonem ogrodnik. - Odkąd tu jest, to ciągle go widzę, jak po krzakach myszkuje.

- Jak to, po krzakach? - zdziwiła się Lilka.

- No przecież mówię. Zamiast przy hotelu ścieżki deptać, jak pan Bóg przykazał, to włązi w najgorsze chaszczę. Nie wiadomo, po jaką cholere. Kręci się po całutkim ogrodzie, koło mojego domu też i koło szopy. A wczoraj to mi calutęńki szczypiorek podeptał. Ślepy, czy co?

Lilka, której szczypiorek skojarzył się od razu z wczorajszą sałatką śledziową, przełknęła szybko ślinę.

- To przykre, ja rozumiem, ale jakoś sobie nie mogę wyobrazić, żeby pan Karol...

Ogrodnik przez chwilę nic nie mówił, żując ponuro kanapkę.

- E tam, przykre - odezwał się w końcu. - Szczypiorku to nie żal. Ale psa żal.

Lilka wyprostowała się na swoim taborecie i spojrzała na starego uważnie.

- A co się stało pańskiemu psu?

- Ja tam nie wiem, co. Przepadł i tyle.

Przez uchylone okno wpadało do kuchni z dworu prześwietlone słońcem, pachnące ziemią i tujami powietrze. Ptaki uwijające się w żywopłocie ćwierkały jak oszalałe i Lilka przez chwilę miała straszną ochotę uciec na dwór i wrócić najwcześniej za tydzień. Niestety, rzeczywistość w postaci ogrodnika siorbnęła głośno herbatę, wrywając ją z zamyślenia.

- To... od kiedy go nie ma?

Stary wziął następną kanapkę i odgryzł wielki kęs.

- Na noc na dworze został i rano, jak wyszedłem, już go nie było.

- Ach, to na pewno się znajdzie! - uśmiechnęła się do ogrodnika uspokajająco. - Przecież to dopiero kilka godzin!

Stary spojrzał na nią ciężkim wzrokiem.

- Tylko że on mnie na krok nigdy nie odstępował.

Lilka pod jego spojrzeniem poczuła się dziwnie.

- Na pewno się znajdzie... - powtórzyła bez przekonania.

Ogrodnik nachylił się nagle w jej kierunku.

- To tylko powiem, że dziwne rzeczy tu się dzieją, odkąd się ten kucharz pojawił... Panienska pewnie myśli, że jak ja już stary jestem, to nic nie widzę, co się tu wyprawia, tak? Różni się jacyś kręca po ogrodzie... Pies nocami szczekał, a teraz go nie ma. Może wróci, może nie... Grządki ciągle zdeptane... A mój szpadel to też sam w krzaki nie poszedł!

Ogrodnik gwałtownym ruchem odsunął krzesło, wstał od stołu i wyszedł, obrażony, zatrząskując za sobą drzwi.

Lilka siedziała przez chwilę bez ruchu, wpatrując się bezmyślnie w bielejące na stole okruchy chleba. Potem mechanicznie wstała, wilgotną gąbką przetarła blat i znowu usiadła. Co za dzień, pomyślała zrezygnowana i pociągnęła nosem, co za dzień...

Po chwili wyciągnęła z kieszeni spódnicy komórkę, żeby zadzwonić do Jagody, ale po pięciu sygnałach odezwała się tylko automatyczna sekretarka.

Ile czasu można robić zakupy? - zirytowała się na przyjaciółkę. Zamiast biegać po sklepach, powinna tu jak najszybciej wracać, a nie zostawiać wszystko na mojej głowie, uzależnia się nad sobą. Jednak kiedy spróbowała przeanalizować termin „wszystko”, okazało się, że właściwie nic specjalnego na nią nie czekało. Renatka posprząta jadalnię, hol i łazienki, Jagoda robi zakupy, pan Karol przygotowuje obiadokolację na piątą... Nagle Lilka uświadomiła sobie, że jeszcze dzisiaj w ogóle nie widziała kucharza...

W tym momencie do kuchni weszła szybkim krokiem Renatka, odstawiała pustą tacę i zaczęła energicznie grzebać w kredensie, robiąc przy tym okropny hałas. Lilka odruchowo zasłoniła uszy dłońmi.

- Są! - odetchnęła z ulgą dziewczyna i wyciągnęła z ciemnych otchłani dwie żółte, porcelitowe filiżanki, najelegantsze, jakie były w wyposażeniu. - Wiedziałam, że gdzieś tu muszą być.

- A co się stało? - spytała Lilka bez cienia zainteresowania w głosie.

- Jak zaniósłam herbatę na taras, to pani mama najpierw zaczęła mnie wypytywać, jaki to gatunek i strasznie się zdenerwowała, jak ja powiedziałam, że zielona. Nakrzyczyła na mnie, że zielona to na pewno nie, bo przecież widać,

że zwykła czarna. A jak ja jej próbowałam wytłumaczyć, że my te torebki w takiej specjalnej zielonej puszcze trzymamy, to tylko ramionami wzruszyła, o, tak... i w końcu kazała mi iść z powrotem do kuchni po filiżanki, bo ze szklanki to ona herbaty nie przelknie.

Lilce zrobiło się trochę głupio, ale zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, za Renatką zamknęły się drzwi.

Muszę się napić wody, pomyślała zrezygnowana i podeszła do lodówki. Ale zanim zdążyła ugasić pragnienie, do kuchni wpadła z powrotem Renatka. Usiadła gwałtownie na krześle i wybuchnęła płaczem.

- Co się stało? - Lilka ukucnęła obok. - Renatko, co jest?

- A bo pani Emilia znowu na mnie naskoczyła - zalewała się łzami dziewczyna. - Krzyczała tak, że chyba ją we wsi było słycać! A że herbata już wystygnięta, a że te żółte to nie są żadne filiżanki, tylko fajans ordynarny, że cukiernica brudna, że serwetek nie podałam..

- Co ja ci mogę, Renatko, powiedzieć - westchnęła ze smutkiem Lilka. - Moja matka to już tak ma... no, nie płacz... nie warto... I wiesz co, jak chcesz, to możesz już iść do domu, poradzę sobie.

* * *

Przecież miałam znaleźć Karola... - uświadomiła sobie Lilka zaraz po wyjściu Renaty. Opłukała byle jak szklankę i ruszyła na poszukiwania. Weszła do holu i zaraz przy recepcji natknęła się na kucharza. Odwrócony do Lilki plecami stał oparty o ladę, ze słuchawką przy uchu, i wystukiwał na klawiaturze czerwonego plastikowego telefonu jakiś numer.

Przyciskał klawisze z całej siły, a palce drugiej ręki zacisnął na słuchawce tak mocno, że aż mu zbieleły. Potem nagle ze złością uderzył dłonią w widelki aparatu.

- Panie Karolu... - odezwała się nieśmiałym głosem Lilka i dotknęła jego łokcia.

Mężczyzna aż podskoczył, a kiedy odwrócił się raptownie, w jego oczach zauważyła panikę, a na skroniach kropelki potu.

- Panie Karolu, wszystko w porządku?

Odsunął się od niej i gwałtownym ruchem odłożył słuchawkę.

- Tak, oczywiście, w jak najlepszym - odpowiedział szybko, błędząc rozbieranym wzrokiem po ścianach. - Chciałem tylko zadzwonić...

- Ależ oczywiście, proszę - uśmiechnęła się z wysiłkiem Lilka. - Nie będę panu przeszkadzać...

- Nie, ja już i tak... To znaczy, nikt nie odbiera... - Otarł dłonią pot z czoła. - Później spróbuję...

Zapadła niezręczna cisza. Mężczyzna stał zgarbiony, wpatrując się w czubki butów, a Lilka uświadomiła sobie nagle, że odkąd się u nich pojawił, ciągle nosi tę samą flanelową koszulę.

- Wie pan... - bąknęła. - Tak sobie pomyślałam... Gdyby pan chciał skorzystać z pralki, to jest na zapleczu od tamtej strony - machnęła ręką w kierunku przeciwnym niż kuchnia, ale już w tym momencie wiedziała, że coś chlapnęła. Karol nagle się wyprostował i pierwszy raz od początku rozmowy spojrzął jej prosto w oczy, ale nie było to życzliwe spojrzenie.

- O co pani chodzi?! - zapytał przez zaciśnięte zęby.

- Mnie? O nic, naprawdę! - Lilka najchętniej zapadłaby się pod ziemię. - Tylko... Dlaczego pan pyta?

- Bo pani mi się cały czas przygląda, ja to widzę. I pani, i wszyscy inni też. - W jego głosie, zawsze bezbarwnym i uległym, pierwszy raz pojawiły się ostrzejsze tony. - Jak pracuję, jak po ogrodzie chodzę. Na ręce mi się patrzy, jakbym ja jakiś kryminalista był!

Lilka słuchała tego zaskakującego wywodu z coraz większym przerażeniem.

- Ależ skąd, panie Karolu, nigdy nikt tak o panu nie pomyślał! - Absurdalność zarzutów odebrała jej wszelką możliwość logicznej argumentacji.

- Tak? - kucharz zrobił krok w kierunku dziewczyny. - Tak?!!! - prawie krzyknął. - To dlaczego ktoś mi grzebał w rzeczach? - Wyminął Lilkę i nie czekając na jej reakcję ruszył szybkim krokiem w stronę kuchni.

W tym samym momencie trzasnęły z impetem drzwi tarasowe i w holu pojawił się wuj Stanisław, czerwony na twarzy i zły.

- O, Lilka! - Podszedł energicznym krokiem do recepcji. - Przepraszam cię, moje dziecko, ale idę do siebie. Dłużej tego nie zniosę! - oświadczył stanowczo. - NIE-ZNIO-SĘ!

- Czego, wujku? - zapytała bezradnie Lilka.

- Czego?! - huknął. - Tych idiotycznych pretensji twojej matki!

Lilka skuliła się w sobie.

- Tak mi przykro... - jęknęła - Przepraszam...

- Ty mnie, dziecko, za nią nie przepraszaj! Co ona z ciebie zrobiła! - pokręcił z niedowierzaniem głową. - Idę do siebie. A obiad niech mi Renata przyniesie do pokoju!

Lilka patrzyła na jego idealnie wyprostowane plecy, kiedy oddalał się korytarzem. Chciała za nim zawołać, pobiec, spróbować coś wyjaśnić, ale nie miała siły.

Odetchnęła głęboko i położyła dłoń na brzuchu - żołądek znowu odezwał się nieprzyjemnym skurczem.

Machinalnie przesunęła telefon w głąb recepcyjnej lady, strzepnęła z jej gładkiej powierzchni jakiś okruch i po raz kolejny wyciągnęła z kieszeni luźnej, lnianej spódnicy komórkę. „Cześć, tu Jagoda, nie mogę teraz odebrać telefonu...”

Lilka pociągnęła nosem. Z problemami zawsze człowiek zostaje sam, rozczuliła się nagle nad sobą. Rozejrzała się niepewnie po holu, zastanawiając się, co teraz robić. Kuchni wolała unikać ze względu na Karola, tarasu - ze względu na matkę. Schronienie we własnym pokoju było iluzoryczne, ponieważ jeżeli Emilia zacznie jej szukać, to będzie pierwsze miejsce, do którego zajrzy...

Od strony tarasu dobiegł ją szurgot przesuwanego po kaflach krzesła.

Potrzebuję świeżego powietrza, pomyślała nagle. Teraz, zaraz! I szybkim krokiem ruszyła w kierunku frontowego wyjścia. Tylko na chwilę, tłumaczyła się sama przed sobą. Dziesięć minut i wracam. Położyła rękę na klamce i pociągnęła ciężkie, masywne drzwi. W twarz uderzyło ją słońce, aż zmrużyła oczy. No, najwyżej kwadrans, ustaliła w myślach, wyszła na zewnątrz i przysiadła na pierwszej stojącej pod ścianą ławce. Poczula ciepło nagrzanых desek i intensywny zapach jaśminu, którego gęsty, stary krzak rósł kilka metrów dalej. Jak tu przyjemnie, westchnęła, jak spokojnie... Wyciągnęła przed siebie nogi, rozpięła dwa guziki bawełnianej bluzki i zamarła w miłym błogostanie.

- Witam szanowną panią Lilusie serdecznie!

Lilka podskoczyła.

- Piękne słoneczko dzisiaj mamy, nieprawdaż, panie tego?

Ożywiony, przymilny głos mógł należeć tylko do jednej osoby. Lilka zerwała się na równe nogi, próbując jednocześnie

drżącymi palcami zapiąć bluzkę z powrotem.

Tuż przed nią, uśmiechnięty i jak zwykle bardzo z siebie zadowolony, stał pan Władzio. Był w drelichowych spodniach i białym bawełnianym podkoszulku, a przez ramię miał przewieszoną skórzaną torbę, wypchaną tak, że prawie rozchodziła się w szwach. Zanim Lilka zdążyła otworzyć usta, pan Władzio zrobił krok naprzód, chwycił jej prawą dłoń i pochylił się nad nią dwornie.

- Całuję rączki szanownej pani, rączki całuję - wymamrotał, a Lilka aż się wzdrygnęła czując, jak jej jeździ nosem po nadgarstku. Próbowwała mu wyrwać rękę, ale trzymał ją w stalowym uścisku nie pierwszej czystości palców.

- Tak sobie pomyślałem, panie tego, że wpadnę zobaczyć, czy wszystko w porządeczku.

- Ależ... - wydusiła Lilka - niepotrzebnie się pan facygował. Nic się nie dzieje.

- W takim miejscu, pani właścicielko, to zawsze się coś może zdarzyć. - Wolną ręką podrapał się po owłosionym torsie, który prezentował się bardzo okazale w głębokim wycięciu podkoszulka. - Nie tylko w hydraulice, pani kochana rozumie... - puścił do niej porozumiewawczo oko.

Lilka przełknęła głośno ślinę i zdecydowanym gestem oswobodziła dłoń.

- Tak, oczywiście. Ale teraz naprawdę nic nie potrzeba, żadnych napraw. Niepotrzebnie się pan facygował... - powtórzyła, za wszelką cenę chcąc się go jak najszybciej pozbyć. W każdej chwili mogła przecież wrócić Jagoda, a wtedy pana Władzia nie odciągnie się stąd nawet wołami.

- Aha! - na ogorzałej twarzy mężczyzny pojawił się pełen satysfakcji uśmiešek. - I tu się miła pani myli, niestety!

- Mylę się? - Lilka w panice próbowała sobie przypomnieć, jaka to pilna robota mogłaby czekać na pana Władzia w hotelu.

- A jakże! - przytaknął i teatralnym gestem otworzył swoją torbę. Grzebał w niej przez chwilę, a potem triumfalnie wyciągnął z jej pachnącej smarem czeluści trzy gładkie, błękitne kafle. - Prawda, że takie same?

Lilka nie wiedziała, co odpowiedzieć, ponieważ kafelki z niczym jej się nie kojarzyły.

- Szukałem, szukałem i znalazłem! - Pan Władzio wypiął dumnie pierś. - A nie było łatwo, bo to stary wzór, już takich, panie tego, nie produkują.

- Przepraszam, ale ja nie rozumiem... Po co panu te kafelki?

- Nie mnie, wcale nie mnie - ucieszył się mężczyzna. - Przecież to dla pani przyniosłem! Pod umywalką ma pani obtłuczone, panie tego, i na wannie. Trzeba wymienić, przecież taka piękna kobieta nie może w tandencie mieszkać. Zobaczy pani kochana, skuję raz dwa, potem się przyklei, dwie godzinki i będzie pani miała łazieneczkę jak nową. Wszystko na cacy! No, śmiało, kochanieńka! Niech sobie pani sama obejrzy! - Na siłę wcisnął jej w ręce trzy błękitne kafle.

Do Lilki powoli zaczęło docierać, co pan Władzio do niej mówi. Kafelki, kucie, pył, gruz... Oczami wyobraźni zobaczyła totalną dewastację apartamentu i wściekłą matkę pośrodku tego wszystkiego... Nie, nie, nie-eeee!!!

- No, proszę, niech pani Lileczka zobaczy, jaka to porządna, przedwojenna robota. One to na pewno od byle czego nie popękają, może mi pani kochana wierzyć...

Trrrrraaaach! - Lilka z całej siły uderzyła kafelkami o ziemię. Niebieskie okruchy rozprysły się efektownie po asfalcie.

- Eeee - jęknął pan Władzio.- Pani Lileczko... co pani...?

Lilka przez chwilę z niedowierzaniem patrzyła na spustoszenie, jakiego dokonała, a potem wybuchnęła płaczem.

- DAJCIE WY MI WSZYSCY ŚWIĘTY SPOKÓJ!!!
- zaszlochała i, potykając się o betonowe krawężniki, puściła biegiem na przełaj przez ogród.

ROZDZIAŁ 27

Piątek zaczął się po prostu świetnie. Zaraz po śniadaniu rozzwonił się telefon.

- Tak, proszę pani, już zapisuję.- Lilka, przytrzymując ramieniem słuchawkę, przerzucała gorączkowo papiery leżące na blacie recepcji. Jeszcze minutę temu widziała tutaj długopis, ale oczywiście kiedy go potrzebowała, znikł. Sięgnęła więc po sfatygowany, fajansowy kubek z obitym uchem, ukryty na wąskiej półeczce pod blatem.

- Tak, tak, proszę mówić. - Udało jej się wyłowić z kubka coś, co na pierwszy rzut oka przypominało ołówek, ale okazało się czarną kredką do oczu, prawdopodobnie zapomnianą tutaj przez poprzednią recepcjonistkę. - Od najbliższej niedzieli do wtorku, dwie doby z pełnym wyżywieniem, ależ oczywiście, wszyscy bardzo sobie chwalą naszą kuchnię... Państwo Piotrowscy, tak, zanotowałam, czekamy.

No proszę, pomyślała z satysfakcją, a jednak, wbrew czarnym przepowiedniom matki, będą następni goście. Jakie miłe przedpołudnie! Zwłaszcza w porównaniu z dniem wczorajszym!

Kartkę z zanotowaną rezerwacją odłożyła do szuflady, włożyła do książki meldunkowej, podniosła wzrok i w tym momencie przypomniało się jej przysłowie: „Nie chwal dnia przed zachodem słońca”.

Naprzeciwno niej stał Olszowy z naburmuszoną miną.

- Dzień dobry, panie Wiesławie - zaczęła na wszelki wypadek ugodowym tonem. - Mam nadzieję, że dobrze się panu spało?

Prezes sapnął wściekle i nachylił w jej kierunku, przyciskając do blatu ogromny brzuch, obleczony lawendowym trykotem koszulki polo.

- Łaskawa pani chyba żartuje! Jak ja mogłem dobrze spać w takiej sytuacji?

Lilka przełknęła nerwowo ślinę.

- Przepraszam, czy... czy coś się stało?

- A stało się, stało! I to niejedno! Przede wszystkim miał być w pokojach pełen węzeł sanitarny, a nie ma. Poza tym w łazience na parterze jest tylko zimna woda, a w dodatku prysznic ledwo ciurka. Z kolei na górze tylko wrzątek leci, w obu toaletach spłuczka się zacina... I w ogóle generalnie tych wucetów to jest za mało na tyle osób!

- Ale panie Wiesławie... - próbowała się wtrącić Lilka, prezes jednak nie zamierzał dać jej dojść do słowa.

- To jeszcze nie wszystko! Dziś rano u pani Basi odpadła klamka od okna i nie może go teraz zamknąć! A znowu okno w drugim pokoju w ogóle nie da się otworzyć! To, proszę pani, nie jest standard trzygwiazdkowy! Bynajmniej! Gdzie są na przykład telewizory w pokojach? Albo chociaż radioodbiorniki? No, gdzie?! Jak robiłem rezerwację, to kierowniczka co innego obiecywała! - zaperzał się coraz bardziej Olszowy, a jego twarz przybrała niebezpiecznie buraczkową barwę. - W dodatku, proszę pani, brzydszego miejsca w życiu nie widziałem!!!

W tym momencie do holu weszła matka.

Zbliżała się w ich kierunku stukając obcasami srebrnych sandałków, ubrana w lekką, jedwabną suknię w kolorze fuksji, ściągniętą w pasie szarfą o dwa tony ciemniejszą, starannie uczesana i umalowana. Olszowy na odgłos jej kroków odwrócił się i osłupiał.

- Aaaa - wydał z siebie przeciągłe westchnienie. - Czy... to możliwe??? Ja... własnym oczom nie wierzę! Pani Emilia Ostaszewska?! Tutaj?!

Matka, przyjemnie zaskoczona, zatrzymała się obok niego, skinęła głową i obdarzyła prezesa łaskawym spojrzeniem.

- Czy my się znamy?

- Pani pozwoli, Wiesław Olszowy, prezes biura podróży Krasa-Travel...

- Miło mi, panie prezesie.

- Zupełnie nie wiem, co powiedzieć! W najśmielszych snach nie spodziewałem się spotkać! To nadzwyczajne!

Lilka w osłupieniu patrzyła, jak grubas pochyła się z czcią nad dłonią matki i wyciska na niej entuzjastyczny pocałunek, w jednej chwili zapominając o wszystkich pretensjach i niedogodnościach.

- Bo ja, proszę pani, jak organizuję wycieczkę do Jeleniej Góry, to zawsze taki termin wybieram, żeby zobaczyć panią w teatrze! A teraz, tutaj... To dla mnie wielki zaszczyt, wielki zaszczyt!

Stał tak, przestępując z nogi na nogę i nie wypuszczając z ręki dłoni Emilii. W końcu zdobył się na odwagę i zapytał drżącym ze wzruszenia głosem:

- Czy łaskawa pani dałaby się skromnemu wielbicielowi zaprosić na kawkę?

A kiedy matka łaskawie skinęła głową, rzucił tylko przez ramię zdumionej Lilce:

- Dwie kawki na taras poproszę!

* * *

Upał od rana panował niemiłosierny. Nagrzane powietrze drżało z gorąca, ptaki właściwie przestały się odzywać, szukając schronienia w gąszczu żywopłotów, nawet muchy, jakby oszołomione, brzęczały tego przedpołudnia ciszej. Lilka, po dwóch godzinach nieustannego kręcenia się po hotelu, postanowiła odpocząć kwadransik. Przyciągnęła sobie leżak w cień starego, rozłożystego kasztanowca, ułożyła się na nim wygodnie i przytknęła oczy. Powoli zaczął ją ogarniać miły błogostan. Gdyby nie głosy dochodzące z tarasu obok, może nawet udałoby jej się zdrzemnąć...

- ...Dulska w pani wykonaniu to był majstersztyk, absolutne delicje!

- Bez przesady, panie prezesie, bez przesady.

Modulowany głos matki falował wdzięcznie na tle rozentuzjarmowanego barytonu Olszowego. Rozmawiali tak już od godziny, popijając kawę z ręcznie malowanych, petersburskich filiżanek, znalezionych przez Lilkę jakimś cudem w czeluściach kredensu ciotki. Po tym, jak Emilia zrobiła wczoraj awanturę Renatce, nikt przecież nie miałby odwagi podać jej czegokolwiek na zwykłym serwisie.

Co jakiś czas Olszowy zrywał się z fotelika i nerwowo poprawiał parasol, tak by palące promienie słońca nie przeszkadzały siedzącej naprzeciwko Emilii. Zafascynowany bliskością, jak podkreślał co chwila, gwiazdy najwyższego formatu, nadszakał jej skandalicznie. Ale Emilii zupełnie to nie przeszkadzało, wręcz przeciwnie - płała się w jego uwielbieniu jak frytka w oleju, umiejętnie je zresztą podsycając.

Jak miło, pomyślała sennie Lilka, jak spokojnie... Nikt się z nikim nie kłóci, nikt do nikogo nie ma pretensji...

Rozmowa tocząca się na tarasie powoli przestała do niej docierać. Lilka zapadła w drzemkę.

Śniło jej się, że leży na wielkim, wygodnym łóżku, w jedwabnej pościeli, a jakiś wysoki, barczysty, brodaty blondyn pochyla się nad nią i składa na jej ustach namiętny pocałunek...

Pfuj! - prychnęła, podrywając się na równe nogi i zrzucając z siebie Hugona, który najserdeczniej jak potrafił liżał ją właśnie po twarzy. Zapach dochodzący z jego pyska świadczył dobitnie o tym, że pies nie korzystał ostatnio ze szczoteczki do zębów.

- Idź sobie, niedobry ty! - tupnęła na szczeniaka, ale on ani myślał jej słuchać. Zadowolony z siebie i z życia, biegł radośnie dookoła, merdając ogonem i zachęcając do wspólnej zabawy.

No tak, wujek Stanisław woli się nie pokazywać, a przecież pies musi pobiegać, westchnęła zrezygnowana, schyliła się po leżący obok patyk i rzuciła go Hugonowi. Psiak pognał za nim w radosnych podskokach i zaraz wrócił, dzierżąc znalezione triumfalnie w pysku. Wypluł je następnie Lilce pod nogi i usiadł, wpatrując się w nią nachalnym wzrokiem. A kiedy próbowała udawać, że nie wie, o co chodzi, szczechnął przynaglająco.

- No dobrze, już dobrze - poklepała go po głowie. Z obrzydzeniem wzięła ośliniony patyk do ręki, po czym machnęła nim w kierunku krzaków. Hugon wystartował jak ruda torpeda i po chwili zniknął Lilce z oczu.

Jemu to wszystko jedno, upał, nie upał, pomyślała z zadością.

Ruszyła śladem psa zamyślona, powoli zagłębiając się w najbardziej dziką część ogrodu. Nareszcie wszystko zaczęło się układać, matka się uspokoiła, hotel był pełen gości i, co

ważniejsze, zapowiedzieli się kolejni. Gdyby jeszcze tylko udało się przestać myśleć o Tomku...

Lilka potknęła się nagle o wystający korzeń i zdziwiona spostrzegła, że dotarli z Hugonem aż do rogu posesji. Było tu mroczno i nieprzyjemnie - gęste korony wysokich drzew graniczącego z posesją lasu zatrzymywały promienie słońca, nie pozwalając im zapuścić się głębiej, a dawną przestrzeń trawników przejęły w posiadanie zdziczałe krzewy jaśminu, bzu oraz żarnowca.

Seter biegł przed nią, trzymając w pysku patyk. Nagle zatrzymał się i zaczął węszyć, zapominając o zabawie. Sierść na grzbiecie zjeżyła mu się, zawarczał ostrzegawczo i pobiegł na prawo, niknąc po chwili Lilce z oczu w kłębowisku poplątanych gałęzi.

- Hugon! - krzyknęła zirytowana. - Dość tego! Wracaj!

Niechętnie ruszyła za nim, przedzierając się przez krzewy.

Pewnie jakiś jeź tam siedzi, albo wiewiórka, pomyślała, z trudem torując sobie drogę. W końcu wydostała się na niewielką, wolną przestrzeń w samym narożniku ogrodu.

Najpierw zobaczyła Hugona.

Stał na środku, cały zjeżony, z podwiniętym pod siebie ogonem, a z jego uniesionego w górę pyska wydobywał się głuchy skowyt. Drżał.

Lilka podniosła wzrok.

Z suchej, dębowej gałęzi tuż nad płotem zwisało na długim kablu bezwładne, kosmate cielsko martwego psa ogrodnika.

* * *

Lilka biegła między drzewami, zasłaniając ramieniem twarz przed uderzeniami gałęzi. Serce łomotało jej w piersi jak szalone, a nogi same ją niosły w kierunku hotelu. Kiedy stanęła we frontowych drzwiach, zadyszana i czerwona na twarzy, siedząca w recepcji Jagoda zerwała się z krzesła.

- O Boże! Co się stało?

Lilka zamknęła za sobą drzwi i oparła się o nie całym ciałem, jakby bojąc się, że ktoś będzie próbował je otworzyć.

- Pies! - wykrztusiła.

- No, jest przecież... - Jagoda wskazała na kręcącego się niespokojnie pod nogami Hugona.

- Nie tu! Tam! - I Lilka się rozplakała.

Jagoda zrozumiała, że na razie nie dowie się niczego. Posadziła więc szlochającą przyjaciółkę na fotelu, złapała za obrożę opierającego się Hugona i zaciągnęła go do pokoju wujka. Po trzech minutach była już z powrotem razem ze starszym panem i szklanką zimnej wody.

Lilka, krztusząc się, wypila kilka łyków i przetarła mokre oczy.

- Tam wisi pies! - wyjąkała z trudem.

- Jaki pies? Gdzie? - zdenerwowała się Jagoda.

- Pies ogrodnika...

- Lilka, dziecko drogie, co ty opowiadasz? - zdumiony wujek nachylił się i chwycił ją za ramię.

- Na końcu ogrodu... Hugo go znalazł.

- Zostańcie tu, a ja idę po Antoniego - zarządził starszy pan. - Zajmiemy się tym. Tylko, bardzo proszę, nikomu ani słowa. A zwłaszcza Emilii.

Dziewczyny zostały same. Przez chwilę patrzyły przez okno za oddalającym się wujkiem.

- Straszne - szepnęła Lilka. - Jak można zrobić coś takiego?

- Nie wiem. Ale na razie spróbuj o tym nie myśleć. Napij się może jeszcze wody, co?

Lilka wzięła bez przekonania szklankę do ręki i zaraz odstawiła ją na stolik.

- Nie, już nie mam ochoty. Wolałabym herbatę...

- To chodź do kuchni, zaparzemy sobie dobrego earl greya.

W kuchni pan Karol kroił pomidory na sałatkę. Ostrze wielkiego, srebrzystego noża poruszało się nad deską w zawrotnym tempie. Jagoda podsunęła Lilce taboret i pomogła jej usiąść, a sama włączyła elektryczny czajnik.

Milczały.

Dokładnie w momencie, kiedy woda się zagotowała, drzwi od ogrodu otworzyły się z rozmachem i stanął w nich wujek Stanisław.

- Tak myślałem, że was tu znajdę - stwierdził. - Panie Antoni, pan pozwoli - zachęcił ogrodnika, który stał za nim, i obaj weszli do środka.

Karol rzucił im znad deski zaciekawione spojrzenie.

- I co, wujku, i co? - Lilka zerwała się z krzeselka.

Starszy pan pokręcił głową i westchnął.

- Nic, drogie dziecko. Obejrzeliśmy, jak to wygląda...

- Jak mówiłem, że się tu jacyś obcy kręcą - przerwał ponurym głosem ogrodnik - to nikt mnie nie słuchał!

Od strony stołu dobiegł stłumiony jęk. Wszyscy jak na komendę spojrzeli na kucharza, który patrzył bezradnie, jak ze wskazującego palca lewej dłoni kapie mu na deskę krew.

- Panie Karolu! Pan się skaleczył! - Jagoda podeszła do niego, żeby zobaczyć ranę, ale mężczyzna cofnął się, chowając rękę za siebie.

- To nic - bąknął. - Nic się nie stało. Ja zaraz... - podszedł do zlewu, żeby opłukać ranę, a kiedy się znowu do nich odwrócił, był blady jak ściana. - Pan powiedział... że ktoś się tu...

- Kręci, a jak! - huknął stary. - Te dranie ze wsi psa mi zamęczyły.

Kucharz odetchnął kilka razy głęboko.

- Pewien pan, że ze wsi? - zapytał drżącym głosem.

- A niby skąd? - ogrodnik wzruszył ramionami. - W zeszłym roku Kowalikowej psa nożami pocięli. Sukinsyny cholerne! Żeby im...

- Już dosyć, panie Antoni, tu są kobiety - przerwał stanowczo wujek.

- Ja... przepraszam... zaraz wróczę... - Karol oderwał się od zlewu i ruszył chwiejnym krokiem w kierunku drzwi.

Na podłodze zostało po nim kilka kropel krwi.

ROZDZIAŁ 28

Wszedł szybko do pokoju i zamknął za sobą drzwi na klucz. Cały drżał. Oparł się plecami o ścianę i stał tak chwilę, próbując uspokoić oddech. Tylko tutaj czuł się bezpieczny. Tylko tutaj umiał poradzić sobie ze strachem, który chwilami dosłownie go paraliżował. Gdyby wiedział, że to wszystko będzie aż takie skomplikowane, gdyby to przewidział, nie uciekłby z tymi pieniędzmi. Jakoś by sobie bez nich poradził... Chociaż...

Matka ostatnio coraz częściej dopytywała się o obraz. Właściwie każda rozmowa zaczynała się i kończyła tym tematem. Nic dziwnego. Przecież matka cholernie była do niego przywiązana. Pociemniały ze starości Kossak, spadek po dziadku, wisiał u nich w dużym pokoju od zawsze. Z honorowego miejsca nad komodą dumnie spoglądał młody oficer, dosiadający konia.

- Synku, poza tobą ten obraz to jedyna w moim życiu cenna rzecz.

No właśnie... Gdyby mieli jeszcze cokolwiek innego, co dałoby się sprzedać, nie musiałby zastawiać Kossaka. Ale nie mieli. Dlatego, żeby się matka nie denerwowała, wymyślił ten numer z renowacją. Że niby trzeba go odczyścić, że znajomy polecił pracownię, gdzie by się mogli tym zająć... Długo ją musiał przekonywać, a kiedy się w końcu zgodziła, zdjął szybko obraz ze ściany i zaniósł prosto do lombardu. Pieniądze były mu potrzebne na nowy model mazdy, który był okazjnie do kupienia. Ósemka z wyczynowym, spalinyowym silnikiem. Cudo! Całe życie o takim marzył!

Nie zastanawiał się wtedy, skąd weźmie na wykup obrazu. Jakoś wykombinuję, myślał. Najważniejsze, że w najbliższych wyścigach będzie mógł stanąć do walki ze srebrną

mazdą tego szczeniaka spod Płocka, niepokonanego od dwóch lat mistrza w tej klasie. Jak równy z równym. Kto wie, może nawet wygra? Dla takiej chwili gotów był poświęcić wszystko.

Ale matka zaczęła ostatnio naciskać, żeby obraz wrócił na swoje miejsce. No to jak mu Zebra wtedy, na hotelowym korytarzu, wcisnął w rękę torbę pełną forsy, żeby ją przeniósł bezpiecznie obok policjantów pilnujących ewakuacji, coś go podkusiło... I zamiast na umówione miejsce, prosto z hotelu pobiegł na dworzec. Wsiadł do byle jakiego pociągu, tyle że zamiast zielonego kamyka, w rękę ścisnął uchwyt szalowej torby pełnej szmalu. I przez chwilę wydawało mu się, że jego kłopoty się skończyły.

Błąd. Cholerny błąd.

Co z tego, że udało mu się znaleźć bezpieczne schronienie, co z tego, że Zebra na razie jeszcze go nie namierzył, skoro w momencie, kiedy Kamil miał właśnie ukryć torbę, ona zginęła? Wtedy, w nocy, w ogrodzie myślał, że umrze z przerażenia.

Trzeba było oddać te pieniądze Zebrze, wściekał się na siebie, sprawdzając po omacku każdy centymetr kwadratowy wokół miejsca, gdzie je na chwilę zostawił, idąc po szpadel. Przecież i tak nikt nie wiedział dokładnie, ile tej forsy jest w środku. Można było spokojnie wyjąć dwa, trzy zwitki stuzłotówek, resztę oddać. A swoją ucieczkę usprawiedliwić przed Zebrą strachem i słabymi nerwami.

Za późno.

Kiedy się tylko rozwidniło, Kamil zaczął dalej przeszukiwać ogród. Nic nie znalazł. Tylko na wilgotnej ziemi przy płocie znalazł odciski czyichś adidasów. To wszystko.

Sam jestem sobie winien, myślał, przyglądając się świeżym śladom. Jakie to wszystko głupie, najpierw

Zebra ukradł te pieniądze z kasyna, potem ja ukradłem je Zebrze, na koniec ktoś je ukradł mnie...

Jednocześnie Kamil coraz wyraźniej zdawał sobie sprawę, że jeśli Zebra teraz go dopadnie, to koniec. Bo w historyjkę o zaginięciu torby nie uwierzy. Nie ma szans.

Kamil zdjął buty i w ubraniu wsunął się pod koc. Strach nie wypuszczał go ze swoich zimnych łap, sprawiając, że nie mógł zasnąć, a pod czaszką kłębiły się myśli i obrazy, z którymi nie mógł sobie poradzić. Znalazł się w sytuacji bez wyjścia i coraz wyraźniej zdawał sobie z tego sprawę.

ROZDZIAŁ 29

Minęło pół godziny, a Karol nie wracał. Dziewczyny zrobiły herbatę ogrodnikowi, pogadały chwilę z wujkiem, a kiedy obaj wyszli, przysiadły zmęczone przy stole pod oknem.

Jagoda, która właściwie nie miała ochoty gadać, zaczęła przeglądać leżące na parapecie drobiazgi.

- Co to jest? - spytała nagle, podnosząc w palcach kilka białych świstków.

- Nooo, rachunki - odpowiedziała słabo Lilka. - A co?

- To dlaczego tutaj, a nie w biurze? - w głosie Jagody pojawiła się irytacja.

Chyba w ten sposób odreagowywała niedawny stres.

- I w ogóle dlaczego taki tu wszędzie bałagan? - zatoczyła palcem oskarżycielski krąg. - Czy ten kucharz zawsze musi po sobie taki chlew zostawiać? - jej palec zatrzymał się na desce, na której leżały ćwiartki pociętych przez Karola pomidorów. - A w ogóle gdzie on się podział? Jak poszedł, tak przepadł...

Lilka aż się wzdrygnęła.

- Faktycznie! Żeby on nam się tylko nie wykrwawił.

- Nie przesadzaj, przecież to tylko skaleczenie. - parsknęła Jagoda. - Wykrwawić się nie miał szans. Ale zemdlec... Czemu nie? Faceci są strasznie wrażliwi! - rzuciła niedbale rachunki z powrotem na parapet i energicznie podniosła się z krzesła. - Na wszelki wypadek pójde sprawdzic.

Karol zajmował pokój na piętrze, przy samych schodach. Jagoda zapukała energicznie w pomalowane białą, łuszczącą się farbą drzwi, ale nie było odpowiedzi.

- Panie Karolu! - zawołała i zapukała ponownie. - Panie Karolu, jest pan tam?

Odczekała jeszcze chwilę i już miała odejść, kiedy ze środka dobiegło ją trzeszczenie tapczanu i cichy odgłos kroków na drewnianej podłodze.

- Tak? - drzwi uchyliły się i w szparze zobaczyła jeszcze bledszą niż zwykle twarz kucharza. Jego rozbiegane spojrzenie omiotło czujnie korytarz i dopiero po chwili zatrzymało się na niej. - A, to pani - stwierdził cicho. - Coś się stało?

Jagoda przyjrzała mu się uważnie.

- Wybiegł pan tak nagle z kuchni... Wszystko dobrze? Jak się pan czuje?

Mężczyzna wyglądał tak, jakby nie wiedział, o czym ona mówi.

- Jak ja się czuję? - powtórzył za nią powoli. - A jak mam się niby czuć?

- Miałam na myśli pana rękę - zniecierpliwiła się Jagoda.

Czego najbardziej nie lubiła, to gamoniowatych facetów. Co się z nim, do cholery, dzieje?

Na twarzy kucharza pojawiło się coś na kształt zrozumienia.

- Aaa, ręka! - prawie się uśmiechnął. - Ręka w porządku, prawie nie boli - i zamilkł.

- To świetnie - ucieszyła się Jagoda. - Czekaemy na pana na dole. Trzeba obiad kończyć. - Ruszyła szybko w kierunku schodów.

- Proszę pani! - zawołał za nią. Odwróciła się niechętnie.

- Słucham?

- Eeee - widać było, że zastanawia się co powiedzieć. - Czy to na pewno byli ze wsi, ci, co tego psa...

A jaka to różnica, miała na końcu języka Jagoda.

- No jasne, że ze wsi! - odpowiedziała uspokajającym tonem, zastanawiając się jednocześnie, dlaczego to dla niego takie ważne. - Ogrodnik tak twierdzi, a on tu wszystkich zna w okolicy. Nie ma się czego bać. Chuligańskie wygłupy.

Karol przytaknął gwałtownym ruchem głowy. Na jego bladej twarzy pojawiła się wyraźna ulga.

- Oczywiście. Tylko tak spytałem, dla pewności. - I po chwili wahania wyszedł na korytarz. - To ja już pójde ten obiad kończyć...

* * *

Dzień chylił się ku końcowi. Cienie drzew na trawniku wydłużyły się, a upał ustąpił miejsca rześkiemu, wieczornemu powietrzu.

Dziewczyny po kolacji wyszły przed hotel, żeby trochę odetchnąć.

- Klapniemy sobie? - spytała Jagoda, wskazując ruchem głowy najbliższą ławeczkę.

Lilka usiadła i westchnęła ciężko.

- Liluś, co jest? - przyjaciółka stuknęła ją w ramię. - Ciągle ten pies?

- Aha - szepnęła Lilka zrezygnowanym głosem. - Martwię się...

- No, wiem. Ja też... Ale co zrobisz? Chuligański wybryk i tyle. Mało to się słyszy o takich numerach? Wszędzie się znajdują jacyś gówniarze, którym palma odbija. No, nie przejmuj się tak...

Lilka podniosła na nią zaczerwienione oczy.

- Łatwo ci mówić! Nie ty go znalazłaś!
- Masz rację, przepraszam - wycofała się Jagoda. - To musiał być straszny widok.

- Okropny... I wiesz co? Boję się o Hugona.
- Rzeczywiście. Powinniśmy teraz na niego uważać. Nawet wujek Stanisław się przestraszył. Już zapowiedział, że od dzisiaj będzie go wyprowadzał tylko na smyczy. Woli nawet zaryzykować spotkanie z twoją matką... A propos, nie wiesz czasem, gdzie ona jest? Od pół godziny nie słyszałam żadnego zrzędzenia.

Lilka uśmiechnęła się słabo.

- Pan Olszowy zabrał ją na spacer.
- Prezes? No proszę! Zdaje się, że „w temacie” wielkiej aktorki zupełnie mu odbiło - Jagoda puściła oko do przyjaciółki. - Kto by pomyślał, że ten hipopotam taki romantyczny...

Lilka odpowiedziała jej karcącym spojrzeniem.

- Daj spokój. Ja go nawet lubię.
- Wcale się nie dziwię, skoro zajął się tak skutecznie twoją matką... już od samego rana.

- Co ty mówisz! Rano tylko kawę wypili razem, potem Olszowy pojechał do Warszawy z wycieczką!

- Przecież żartuję! Najważniejsze, że twoja matka zachwycona. Ja to bym na twoim miejscu brała z niego przykład.

- W jakim sensie? - zdziwiła się Lilka.

- W sensie prawienia pochlebstw. Można dużo działać, przyjmując umiejętną metodę. Patrz i ucz się.

- Daj spokój. Przecież matka i tak nie zwraca uwagi na to, co mówię....

W tym momencie usłyszały dobiegające od strony ogrodu podniesione głosy, wśród których jeden, wysoki i afektowany, można było rozpoznać bezbłędnie. Na ścieżce biegnącej między tujami zachrząścił żwir.

- Już wracają? - zdziwiła się Jagoda.

Odgłos kroków przybliżał się. Po chwili przed hotelem pojawił się Olszowy, prowadzący pod rękę pobladłą i wyraźnie zdenerwowaną Emilię.

Lilka zerwała się z ławki i podbiegła do nich.

- Mamo! Coś się stało?!

- Zostaliśmy napadnięci! - oznajmiła matka rozdygotanym głosem i dramatycznie osunęła się na ławkę.

- Jak to, napadnięci?! - przeraziła się Lilka. -Gdzie?!

- Niech pan opowie, panie Wiesławie. Ja nie mam siły... Muszę dojść do siebie... - Emilia, oddychając ciężko, przyłożyła dłoń do obfitego biustu. Wyglądała na głęboko poruszoną.

Olszowy również. Przeształ z nogi na nogę, a drżącymi rękami poprawiał pasek niewielkiego, białego plecaka, który zsuwał mu się co chwila z ramienia.

- Chciałem pani Emilii pokazać takie jedno urocze miejsce w samym końcu ogrodu, naprawdę bardzo piękne, wczoraj je znalazłem podczas spaceru. No więc idziemy sobie powoli w tamtą stronę, konwersujemy, w pewnym momencie zaproponowałem pani Emilii wodę, wiecie przecież panie, trzeba pamiętać, żeby uzupełniać płyny podczas wysiłku. Zgodziła się chętnie, więc się zatrzymaliśmy na chwilę pod drzewem, w cieniu. - Olszowy otarł dłonią spoczone czoło. - Postawiłem plecak na ziemi i zacząłem szukać wody, mam taką swoją ulubioną, nisko mineralizowaną, zawsze ją noszę ze sobą... a tu nagle słyszę jakiś trzask, bardzo blisko. Rozglądam się, nic nie widzę... - Olszowy zamaszyście wytarł czoło wzorzystą chustką, którą wyjął z kieszeni spodni. - I wtedy z tego drzewa nade mną ktoś zeskakuje! Jakiś niechlujny typek! Taki byłem zaskoczony, że nie wiedziałem, co powiedzieć. W końcu odezwałem się grzecznie: dobry wieczór... A on mi na to splunął pod nogi!!!

Dziewczyny, uważnie śledzące jego opowieść, popatrzyły na siebie zdziwione.

- Niechlujny typek? - spytała poruszona Lilka.

- Splunął? Pod nogi? - w głosie Jagody zabrzmiało niedowierzanie.

- Właśnie! Ale to jeszcze nie koniec! - sapnęła, czerwony na twarzy, pan Wiesław. - On mnie chciał wyminąć... mój plecak akurat tam leżał... no i on się o niego potknął! O mojego lacosta! Nie dość, że go pobrudził, a to przecież jest droga rzecz, to jeszcze jakich słów ordynarnych użył! Aż się wstydzę powtórzyć! A potem zaczął panią Emilię zaczepiać!

- Nazwał mnie starą pudernicą! - jęknęła matka. - Wyobrażacie to sobie? Więc mu powiedziałam kilka słów do słuchu! Smarkacz bezczelny! Och! - zamilkła nagle i złapała się za serce.

- Mamo! - Lilka zasłoniła dłonią usta.

- Już dobrze - Emilia odetchnęła kilka razy głęboko. - Ale co ja przeżyłam!!!

- Pani matka była nadzwyczajnie dzielna. Nadzwyczajnie! Nie każdy miałby odwagę takiemu bezczelnemu typowi odpowiedzieć! - piał Olszowy.

- No, zdaje się, że pan nie miał... - bąknęła pod nosem Jagoda; na szczęście prezes nie usłyszał, zajęty nadskakiwaniem gwieździe.

- Pani Emilio droga, ja naprawdę podziwiam!

- No cóż, pan Wiesław też stanął na wysokości zadania - odwzajemniła się łaskawie Emilia.

- Rzecz jasna! - Olszowy wypiął dumnie pierś. - Przecież nie mogłem dopuścić, żeby takie... chamstwo obrażało elegancką kobietę! Kazałem mu się zabierać!

Coraz bardziej zbulwersowana Lilka przysłoniła dłonią usta.

- I co, posłuchał pana? - zapytała sceptycznym tonem Jagoda.

- Nooo, tak. Co prawda próbował nam grozić, straszył, że się na pewno niedługo znowu zobaczymy i wtedy on z nami inaczej zatańczy... ale w końcu oczywiście poszedł. Chuligan jeden! Recydywista! Żul!- pan Wiesław wyrzucał z siebie kolejne epitety, coraz bardziej wzburzony. - Nie rozumiem, jak można dopuścić, żeby się tacy kręcili przy hotelu! I to dzień w dzień! Pani Emilio, pani pozwoli, że ja też spocznę? - Zmęczony przekazywaniem dramatycznej relacji opadł na ławkę obok matki.

- Jak to, dzień w dzień? - zainteresowała się czujnie Jagoda.

- Ano tak! Wczoraj, jak byłem na spacerze, to też go widziałem! Z tej dużej kępy jaśminów na końcu ogrodu wyszedł. Z daleka mi mignął, ale to ten sam, bez dwóch zdań. Po czapce go poznałem! Taka czerwona z daszkiem. Pani Emilio, czerwona, prawda?

Emilia zajęta była właśnie poszukiwaniem czegoś w torbie.

- Jest! - ucieszyła się i jednym ruchem rozłożyła w dłoni niewielki, papierowy wachlarzyk. Kilka razy machnęła nim koło twarzy i odetchnęła z ulgą.

- O co pan pytał, panie prezesie? Jaką miał czapkę ten bandyta? Czerwoną. I koszulkę też. I buty...

- Wszystko czerwone... - szepnęła w zamyśleniu Jagoda.

- Aha, i papierosami strasznie śmierdział - kontynuowała Emilia, coraz szybciej poruszając wachlarzem.

- Okropnie! Zwykły spacer i na co się człowiek naraża! - Najwyraźniej zaczęła już dochodzić do siebie, bo w jej głosie pojawiły się zaczepne tony.

- Przykro mi - bąknęła Lilka.

- Jak tu się naokoło bandyci kręcą, to twoje „przykro mi” niewiele pomoże! - Matka poprawiła zdecydowanym ruchem potargane lekko włosy, usiadła prosto i oświadczyła:

- Ja w takich warunkach nie mogę dłużej przebywać! Wyjeżdżam! Natychmiast!

- Ależ, mamoo...

- Żadne: mamoo! trzeba było zadbać o bezpieczeństwo obiektu! Wiedziałam, że ty i prowadzenie hotelu to zupełna pomyłka!

- Może byłoby lepiej się nie kłócić przy gościu? - wtrąciła Jagoda sztucznie spokojnym głosem.

- Ale ja się z panią Emilią absolutnie zgadzam! - nadał się Olszowy w szczerym oburzeniu. - Wielokrotnie podkreślałem, że zarządzanie tym hotelem pozostawia wiele do życzenia! I uważam, że decyzja szanownej pani jest absolutnie słuszna! My również wyjeżdżamy! Nie mogę moich klientów narażać na takie niebezpieczeństwo...

- No nie, panie prezesie, bez przesady, jakie niebezpieczeństwo? - Jagoda, która nie kiwnęła palcem, żeby zatrzymać Emilię, teraz spróbowała zainterweniować. - Że jakiś wiejski chłystek wszedł sobie na drzewo?

- Na szczęście obiektów o podobnym standardzie jest dużo. Jak tylko uda mi się załatwić jakiś zastępczy nocleg, wyprowadzamy się.

- A nie mówiłam? - podsumowała triumfalnie matka.

ROZDZIAŁ 30

Jagoda wstawiła do zlewu trzy talerze i miskę po sałacie.

- Popatrz, są jednak pewne plusy tej sytuacji - zażartowała, odkładając pustą tacę na stół kuchenny. – Zmywanie zajmie ci pięć minut, a nie pięćdziesiąt.

Lilka, która przewiązywała się właśnie fartuchem, wzruszyła niechętnie ramionami. Była smutna i przygaszona. Wyjazd wycieczki odczuła jako osobistą porażkę. Przecież gdyby... właściwie nie umiała określić, gdyby co. Ale na pewno mogła jakoś tej żenującej sytuacji zaradzić. Przynajmniej tak orzekła matka, wsiadając do samochodu Eweliny. Młodsza córka została w sobotni poranek wyrwana z łóżka specjalnie po to, żeby odwieźć matkę na dworzec.

Lilka chciała pomóc Emilii, wyciągnęła nawet rękę, żeby ją podtrzymać, ale matka tylko fuknęła, po czym umościła się w fotelu i przypięła ostrożnie pasem, tak żeby nie pognieść eleganckiego lnianego żakietu, włożonego specjalnie na podróż.

Żadnego: Do zobaczenia, kochanie...

Czy choćby krótkiego: pa!

Nic...

Nacisnęła ze złością butelkę ludwika i patrzyła przez chwilę, jak szmaragdowy strumień spływa po talerzach, odcinając się od ich bieli jaskrawą zielenią. Właśnie wyciągała rękę, żeby odkręcić wodę, kiedy od strony parapetu, na którym zostawiła komórkę, napłynęły delikatne dźwięki *Błękitnej Rapsodii*...

Lilka zamarła z ręką na kranie.

Jagoda, która właśnie chowała do lodówki garnek z zupą, zamarła również. No, tym razem już jej nie będą namawiać,

żeby odebrała, zdążyła pomyśleć, kiedy Lilka w dwóch suszach znalazła się przy telefonie.

- Słucham? - rzuciła podekscytowanym głosem i ostentacyjnie odwróciła się tyłem do przyjaciółki.

Jagoda nadstawiła ucha.

- Tak, tak, oczywiście, że chętnie... Rozumiem... To o której? Będę na pewno.

I schowała telefon do kieszeni szortów. Przez chwilę stała zamyślona, patrząc przez okno na zalany południowym słońcem ogród, po czym zdecydowanym ruchem zerwała z siebie fartuch i podała go Jagodzie.

- Pozmywasz? Bo ja muszę lecieć.

- Jasne... ale co się dzieje?

- Jadę do Warszawy.

- Teraz? - Jagoda przyglądała się uważnie przyjaciółce. - Po co?

- Mam... spotkanie. Z Tomkiem.

Jagoda przygryzła wargi. Jasne, że Lilka, wytrącona z równowagi pobytem i nagłym wyjazdem matki, perypetiami z wycieczką, problemami z hotelem, potrzebowała chwili oddechu. Ale nie z nim! Nie z tym kretynem! Znowu ją przecież zrani, do cholery!

- Lilka, zastanów się... - Jagoda zacisnęła palce na materiale utrzymanego w ręku fartucha. - Pamiętasz, czym się to ostatnio skończyło?

- No właśnie - odpowiedziała spokojnie Lilka, odwróciła się na pięcie i wybiegła z kuchni.

Jagoda westchnęła i podciągnęła rękawy. Trudno, skoro Lilka nie widzi pewnych prawd oczywistych, czy raczej - nie chce widzieć... Jagoda sugerowała przyjaciółce, że nie powinno się wchodzić dwa razy do tej samej rzeki, zwłaszcza tak zamulonej jak w tym wypadku, ale cóż, najwidoczniej ostatnio rozsądek nie był u Lilki przy głosie.

Piętnaście minut później Lilka zajrzała do kuchni w zupełnie nowej, wyjątkowo atrakcyjnej wersji. Miała na sobie obcisłą, żółtą sukienkę z dużym dekoltem, naszyjnik z kolorowych szklanych kulek i sandaalki na obcasie, a delikatny makijaż podkreślał to, co w jej twarzy było najciekawsze - wielkie oczy i mocną linię kości policzkowych.

- Jagódka, nie zawiozłabyś mnie na stację? Proszę... - dodała szybko, jednocześnie szukając czegoś w torebce, idealnie dobranej kolorem do sandałów.

No, no, jak się wypindrzyła... Jagoda pokręciła głową i wytarła dłonie w fartuch.

- I w dodatku mam do tego rękę przykładać! - westchnęła. - Aż tak ci się spieszy?

- Aha! To co, podwieziesz mnie, czy mam sobie radzić sama?

- Dobra, dobra, wyluzuj... Jasne, że podwiozę - uśmiechnęła się Jagoda. - Choć naprawdę nie wiem, czy powinnam. Coś ty mi za ładnie wyglądasz. Skąd wystraszyłaś tę kieckę? Nie mówiąc już o całej reszcie.

Lilka wzruszyła ramionami.

- Chciałam ci tylko przypomnieć, że na poprzednie spotkanie z Tomkiem to ty mnie stroiłaś.

- Każdy się może pomylić. Idziemy.

Przez drogę prawie nie rozmawiały, zresztą właściwie nie było kiedy - podróż samochodem z hotelu na dworzec w Czerwińsku zajmowała zaledwie parę minut. Lilka próbowała udawać spokojną, pewną siebie i absolutnie obojętną, ale radosny blask bijący z jej oczu i całej postawy nie pozostawiał złudzeń. Ona ciągle go kocha, jak amen w pacierzu, myślała Jagoda, obserwując ukradkiem przyjaciółkę.

- Chyba nie muszę cię odprowadzać? - spytała, zatrzymując się w zatoczce dla taksówek.

- Nie. Zaraz mam pociąg. - Lilka nachyliła się do przyjaciółki i cmoknęła ją w policzek. - Wracam... wieczorem.

Po czym wysiadła z samochodu i ruszyła szybkim krokiem w kierunku dworcowej kasy.

* * *

Stuk, stuk, stuk... obcasy Lilki uderzały szybko w kafelki, którymi wyłożone było podziemne przejście na perony. Prawie biegła, nie zwracając uwagi na nierówności podłoża i panujący w tunelu nieprzyjemny chłód. Odgłos jej kroków odbijał się echem od brudnych ścian.

Ależ tu śmierdzi, pomyślała z obrzydzeniem, marszcząc nos.

Z każdym krokiem była coraz bardziej, coraz radośniej podniecona. Tomek się odezwał! Nareszcie!

Wbiegając po wyszczerbionych, betonowych schodach na peron, ścisnęła w dłoni bilet za cztery osiemdziesiąt, kupiony przed chwilą w kasie na dworcu. Za czterdzieści minut będzie w Warszawie, a potem już tylko chwila i wpadnie w stęsknione ramiona swojego... byłego męża.

No tak, wszystko się trochę skomplikowało. Ale przecież czasami się zdarza, że ludzie znowu się ze sobą schodzą. A nawet - biorą ponownie ślub!

Potknęła się o wygięte, metalowe obramowanie stopnia, zachwiała się i aż musiała złapać za poręcz, żeby się nie przewrócić. Faj, wzdrygnęła się, odrywając natychmiast dłoń od lepkiej z brudu powierzchni. Co za miejsce!

W cieniu pod wiatą czekało już kilka osób. Lilka spojrzała na zegar, umieszczony naprzeciwko wyjścia z tunelu. Piętnasta czterdzieści dwie... Pociąg według rozkładu powinien być piętnasta czterdzieści pięć.

Przysiadła na brzeжку jednej z pomalowanych czerwoną farbą ławek. Na myśl o tym, co się już niedługo wydarzy, mimowolnie uśmiechnęła się pod nosem. Jaka to cudowna odmiana po ostatnich dniach, po całym tym zamieszaniu z matką, z wycieczką...

Piętnasta czterdzieści pięć.

Podniosła się i podeszła do brzegu peronu, żeby obserwować zakręt, zza którego za moment powinien wyłonić się pociąg.

Ale jakoś się nie wyłaniał.

Piętnasta czterdzieści osiem.

Nadstawiła ucho. Na pewno najpierw usłyszy stukot kół na szynach.

Ale nie było słyhać nic, poza skrzeczeniem kilku srok, kłócących się o coś zażarcie na dachu dworca.

Piętnasta pięćdziesiąt jeden.

Lilka zaczęła się nerwowo przechadzać wzdłuż peronu, co chwila spoglądając to na tory, to na zegar, którego wskazówki przesuwały się powoli, ale bezlitośnie do przodu.

Piętnasta pięćdziesiąt cztery.

„Ekh, ekh” - zakrztusił się ochryple głośnik przymocowany pod wiatą. „Szanowni podróżni! - Lilka zamarła. - Informujemy, że z powodu awarii pociąg piętnasta czterdzieści pięć został odwołany. Następny pociąg w kierunku Warszawy odjedzie o godzinie siedemnastej piętnaście. Za utrudnienia w podróży przepraszamy. Powtarzam...”

Na peronie zaczęły się nerwowy ruch. Niedoszli pasażerowie zaczęli między sobą wymieniać opinie przy użyciu słów nieparlamentarnych, część rozłożyła się z bagażami na

ławkach, część ruszyła w kierunku wyjścia na miasto.

Lilka stała dłuższą chwilę bez ruchu obok betonowego kosza na śmieci, wpatrując się bezradnie w jego kolorową zawartość.

Opakowanie po marsie, plastikowa butelka po nestle brzoskwińskiej, zmięta ulotka reklamowa...

Ocknęła się dopiero, kiedy ktoś przechodzący obok nie chcący ją potrącił. W głowie kołatała jej się jedna, jedyna myśl - spóźni się na spotkanie z Tomkiem! A jeżeli on nie poczeka? A jeżeli...

Bez wahania ruszyła przed siebie.

Drogę przez tunel pokonała prawie biegiem i po chwili stanęła znowu w tym samym miejscu, w którym Jagoda wysadziła ją z auta. Jej wzrok padł na błękitną, prostokątną tabliczkę z białym napisem „Taxi”.

To będzie kosztować majątek, przebiegło jej przez głowę, kiedy kładła rękę na klamce granatowego opła, pierwszej taksówki na postoju, po czym bez wahania wsiadła do środka.

- Do Warszawy poproszę. Hotel Sobieski.

* * *

Jagoda patrzyła przez chwilę za odchodzącą Lilką, w końcu pokręciła z niedowierzaniem głową, wrzuciła jedynekę i ruszyła tak gwałtownie, że aż opony zapiszczały na kocich łbach podjazdu.

- Wracam wieczorem... - powtórzyła za przyjaciółką z przekąsem, skręcając ostro w prawo, na szosę. - Akurat!

Sama nie wiedziała, dlaczego renesans uczuć Lilki do Tomka (bo o odwrotnym kierunku raczej nie mogło być mowy) tak

bardzo ją denerwował. Przecież w swoim czasie do ich małżeństwa zdążyła się już nawet przyzwyczaić. Co prawda nigdy nie miała zaufania do tego bufonowatego doktora i jak się okazało, całkiem słusznie. Szydło samo wyszło z worka. I może nawet lepiej, że tak szybko. Przynajmniej Lilka ma jeszcze szansę ułożyć sobie życie z kimś innym. Tylko dlaczego ta idiotka nie potrafi powiedzieć szanownemu panu doktorowi: bye, bye? Jagoda miała już dość strzępienia języka na ten temat. Lilka powinna sama decydować o swoim życiu oraz sama ponosić konsekwencje podjętych decyzji.

Nagle Jagoda zdała sobie sprawę, że tego się właśnie podświadomie boi. Tych Lilki decyzji. Bo jeżeli te „dwa gołąbki” znowu się połączą, to sprzedaż hotelu będzie już tylko kwestią czasu.

A Jagoda nie chciała stąd wyjeżdżać.

Za dużo rzeczy jej się tu podobało - otoczenie, towarzystwo, atmosfera, ba, nawet Hugon. Perspektywa spędzenia całego pracowitego roku „Pod Zielonym Trabantem” wydawała jej się wyjątkowo atrakcyjna. Może potrzebowała jakiejś odmiany, zmiany stylu życia, kontaktu z ludźmi? Samotne ślęczenie przed komputerem dniami i nocami zaczęło ją od jakiegoś czasu coraz bardziej nużyć.

No nic, zobaczymy, pomyślała, parkując przed hotelem. Na razie trzeba się cieszyć tym, co jest. Czyli spokojem. Wycieczka wyjechała, Lilka wyjechała, nawet kucharz wyjechał, podobno miał jakieś ważne sprawy rodzinne. Za to Maciek nie przyjechał wcale.

Rano zadzwoniła teściowa i nie kryjąc satysfakcji oznajmiła, że Maciuś jest zaproszony na urodziny kolegi i w związku z tym go dzisiaj nie przywiozą. W niedzielę zresztą też nie, bo powinien się uczyć do ostatniej w tym roku klasówki z matematyki. Choć Jagodzie zrobiło się trochę przykro,

nie odezwała się ani słowem - dyskusja z teściową, jak wiedziała z doświadczenia, prowadziła donikąd. Pocieszyła się tylko myślą, że niedługo kończy się rok szkolny i będzie miała Maćka na stałe.

Z zamyślenia wyrwało ją stukanie w szybę. Przy samochodzie stała Mazurowa, jak zwykle objuczona wiklinowym koszem z jajami.

- Dzień dobry pani - uśmiechnęła się do Jagody, gdy ta wysiadała z auta. - Jaki miły dzień dzisiaj!

- Nie wiem, czy miły - zastanowiła się Jagoda. - Wszyscy wyjechali...

Mazurowa odstawiła kosz i wzięła się lekko pod boki.

- Ale to nie ma co włosów z głowy rwać - pouczyła. - Ci nauczyciele tylko jeden nocleg mniej mieli, to i nieduża strata. A że pani Emilia wyjechała... - kobiecina rozejrzała się ukradkiem, jakby się bała, że ktoś ją może podsłuchać - to tylko ulga! Przepraszam, że tak wprost mówię, ale co to prawdę ukrywać... już ona to łatwa w obejściu nie jest, oj, nie.

Zakręciła się energicznie, aż zafurczała kwiecista spódnica, i ruszyła do wejścia.

- Pani Mazurowa! - zawołała za nią Jagoda. - Pani teraz będzie na miejscu jakiś czas, prawda?

- No będę, przecie że będę. Ja się dopiero za sprzątanie zabieram. Tyle pokoi...

Jagoda myślała przez chwilę intensywnie.

- To jakby pani mogła też telefony odbierać, dobrze? Pewnie zresztą nikt nie będzie dzwonił... Taka pogoda piękna, strasznie mnie kusi, żeby się przejść. Na pół godzinki, co, pani Mazurowa?

- Bardzo dobrze, a niech sobie pani idzie i odpocznie. Nawet na godzinę, nie ma sprawy. Ja tu już wszystkiego dopilnuję, jak trzeba.

Jagoda podziękowała uśmiechem i ruszyła powoli w kierunku ogrodu. Naprawdę potrzebowała świeżego powietrza. I trochę ruchu.

Nie planowała, dokąd pójdzie, ale po chwili zorientowała się, że nogi same ją niosą w kierunku miejsca, gdzie Olszowy i Emilia natknęli się na tamtego typka. Dziwna sytuacja, myślała, rozglądając się uważnie w poszukiwaniu drzewa, na którym podobno siedział intruz. Dlaczego oni się tak przestraszyli jakiegoś miejscowego chuligana? Że niby im nawymyślał? Chyba nie znają dzisiejszej młodzieży, westchnęła, odganiając natrętnego komara. Dużo gorsze rzeczy przecież wyprawiają.

A jednak sama czuła się odrobinę nieswojo ze świadomością, że ktoś obcy kręci się koło hotelu.

Była już kilkaset metrów od domu, kiedy nagle zobaczyła wysoki, rozłożysty orzech o grubych, poskręcanych starością konarach. Wyrastające prostopadle do pnia gałęzie aż zachęcały, żeby się na nie wdrapać. Jagoda podeszła bliżej i zaczęła się rozglądać dookoła.

A to co niby? Jej uwagę przyciągnęło kilka petów, leżących na ziemi, tuż koło pnia. Jagoda przykucnęła. Marlboro, pomyślała zdziwiona. I nie są zdeptane, tylko... Spojrzała na pety, potem w górę, potem znów na pety. Wyglądało na to, że ktoś palił, siedząc na drzewie. I musiał na nim spędzić trochę czasu, bo niedopałków było sześć. Jagoda wyprostowała się i bez namysłu złapała za najniższą, omszałą gałąź. Dłonie ześlizgnęły się, ale poprawiła uchwyt i podciągnęła się, odpychając nogami od pnia. Jak to dobrze, że nie jestem w spódnicy, pomyślała. Wspinała się powoli, wyżej i wyżej. Zielona przestrzeń obejmowała ją szczelnie ze wszystkich stron nieprzeniknioną warstwą liści. Przypomniało jej się dzieciństwo spędzone na wsi u babci. Łaziła wtedy z kolegami po drzewach w sadzie...

Jeszcze jeden konar i znalazła się prawie na szczycie korony. Po cholere ja się tu pcham, sarknęła, wyplątując z włosów kawałek zeschniętego patyka. Była już cała spocona z wysiłku, a na jasnym materiale szortów pojawiły się brudne ślady.

Po cholere on się tu pchał?

Podniosła głowę i nagle gałęzie rozstąpiły się przed nią. Jagoda oparła się o pień i zdziwiona patrzyła na widok, który się przed nią otworzył - trawnik, fontanna, alejki, ławki i widoczny jak na dłoni hotel.

* * *

Jagoda przedzierała się przez krzaki bzu i forsycji, z wściekłością odgarniając splątane gałęzie.

A więc to tak!

To po to ten typek wspinał się na drzewo. Lepszego punktu obserwacyjnego nie mógł znaleźć. Sam doskonale ukryty wśród liści, hotel miał przed sobą jak na widelcu. Taras, drzwi kuchenne, okna od większości pokoi, a nawet bramę wjazdową.

Jagoda zaczęła drzeć. Bała się. To już nie były tylko wybryki wiejskiej młodzieży. Ktoś obcy uważnie im się przyglądał, a to nie mogło oznaczać nic dobrego.

Kiedy dotarła do drzwi wejściowych, była już naprawdę przestraszona. Wyobrażenia zaczęła jej podsuwać niepokojące, choć mało konkretne obrazy. O co tu, do cholery, chodzi?! Po co on to robił? I kto to był? Jakiś podglądacz, zboczeniec?

Muszę z kimś pogadać, pomyślała, naciskając klamkę i wchodząc do chłodnego, pachnącego detergentami wnętrza.

Po chwili wahania skierowała się w stronę pokoju wuja Stanisława. Na delikatne pukanie nikt nie odpowiedział, więc uderzyła mocniej.

- Tutaj jestem - usłyszała za sobą.

W mroku korytarza, podpierając się laską, stał wuj Stanisław.

- Dobrze, że cię widzę - powiedział dziwnym głosem. - Musimy porozmawiać.

Kiedy weszli do środka, Hugon rzucił się do nich z radosnym powitaniem.

- Spokój, pies! - skarcił go wuj, odłożył laskę do mosiężnego stojaka i podszedł do stołu.

- Siadaj, proszę - odsunął masywne, dębowe krzesło. Jagoda zauważyła, że drżą mu ręce. Wziął głęboki oddech, chwilę się jakby namyślał, a potem wypalił: - Mam wrażenie, że ktoś się tu kręci!

Jagoda skuliła się w sobie.

- Jakieś pół godziny temu wyszedłem z Hugonem. Nie najlepiej się dzisiaj czuję, więc chciałem tylko okrążyć budynek i wracać. Przechodziliśmy trawnikiem obok tarasu. Tam się ostatnio kret pokazał, ogrodnik z nim walczy bez skutku, kopiec koło kopca, widziałas przecież. I na jednym z nich znalazłem świeży odcisk buta..

Zawiesił głos dramatycznie, czekając na reakcję słuchacza. Jagoda najpierw milczała, a w końcu spytała lekko drżącym głosem.

- A czy jest pan pewien, że to... nikogo z domowników?

Starszy pan spojrzął na nią zdenerwowany.

- Naprawdę uważasz, że o tym nie pomyślałem? To był bardzo duży numer, czterdzieści cztery, może nawet pięć. Ani ty, ani Lilka nie macie takiej stopy. Ogrodnik chodzi albo w rozczłapanych pantoflach, albo w kaloszach,

pan Karol ma tylko jedną parę półbutów, a ten ślad był, o ile się nie mylę, od adidasów.

- A... może ktoś z wycieczki się tam kręcił?

- Nie - zaprzeczył stanowczo wuj Stanisław. - Na pewno nie. Oni prawie nie chodzili po ogrodzie, zresztą tam jest nawet tabliczka: „Teren prywatny, gościom hotelowym wstęp wzbroniony”. Przecież tuż obok jest kuchenne wejście, nikt obcy się nie powinien kręcić.

Jagoda odetchnęła głęboko, zaciskając palce na blacie stołu. Już otwierała usta, żeby się odezwać, kiedy wujek nachylił się do niej i powiedział z miną złowieszczą:

- Ale to jeszcze nie wszystko.

Jagoda poczuła, że dalsze informacje, które zamierza jej przekazać wujek, również jej się nie spodobają. I miała rację.

- Ktoś grzebał przy zamku od kuchennych drzwi!

ROZDZIAŁ 31

Udało mu się złapać pociąg o dwudziestej drugiej die-
sięć. Droga powrotna z Warszawy dłużyła się w nieskończo-
ność. Koła miarowo stukały o szyny, monotony rytm dzia-
łał na innych pasażerów usypiająco, ale Kamil, z głową
opartą o szybę, trwał w pełnym napięciu oczekiwaniu. Myśli
krążyły mu w głowie jak oszalałe, objijając się o siebie z im-
petem, który powodował prawie fizyczny ból. To, co się dzi-
siał wydarzyło...

Od kilku dni telefon matki milczał. No cóż, zdarza się,
myślał najpierw. Może wyszła po zakupy? Albo do sąsiadki?
Albo...

W miarę jak mijały kolejne dni, a on ciągle nie mógł się z
nią skontaktować, powoli narastał w nim niepokój. I poczu-
cie bezsilności. Jak sprawdzić, czy z matką wszystko w po-
rządku? Jak? Nie mieli żadnej rodziny, żadnych przyjaciół,
może poza panią Jadzią, która mieszkała dwa domy dalej.
Nie pamiętał jej telefonu, ale adres tak, więc nie mógł dłużej
bezczylnie czekać. Rano, jak tylko posprzątał po śniadaniu,
a w recepcji było pusto, zadzwonił do informacji telefonicz-
nej. Ledwie zdążył zanotować numer, kiedy szefowa zawoła-
ła go z powrotem do kuchni. Miał przygotować listę zaku-
pów. Następną wolną chwilę znalazł dopiero po jedenastej.
Słuchawka o mało nie wysliznęła mu się z wilgotnej ze zde-
nerwowania dłoni.

- Pani Jadziu, tu Kamil mówi - zaczął niepewnie. - Czy
pani...

- Kamil! - przerwała mu piskliwym głosem. - Co się z to-
bą dzieje, ja z nerwów wychodzę! Gdzie ty się podziewasz?

- Ja... ja dzwonię, bo matka nie odbiera i chciałem zapytać...

- Jak to? To ty nic nie wiesz? Przecież matka w szpitalu!

A więc jednak! Zrobiło mu się słabo. Oparł się o ladę recepcji i zamknął na chwilę oczy. Czul rozchodzące się po całym ciele zimno.

- Zawał miała rozległy, źle jest. Nieprzytomna ciągle. Musisz tam szybko jechać. Ja byłam wczoraj, to lekarz tylko głową kiwał, nic nie chciał powiedzieć. Że ja niby nie jestem rodzina...

Musiał kilka razy głęboko odetchnąć. Na skroniach poczuł kropelki potu. Wytarł je rękawem koszuli i przycisnął mocniej słuchawkę do ucha.

- Gdzie... gdzie ona leży?

- Na Banacha. Na intensywnej. Ale wiesz co, żeby ciebie akurat teraz przy niej nie było! Wstyd straszny!

Rozłączył się i w tym momencie usłyszał za sobą głos kierowniczkii.

- Czy coś się stało?

Nawet nie zauważył, kiedy weszła do holu. Błyskawicznie podjął decyzję.

- Muszę jechać do Warszawy - zakomunikował stanowczym głosem, unikając jej wzroku.

- Jak to? Teraz? Przecież... a obiad?

- Muszę! Moja matka... to sprawa rodzinna. Muszę! - Nie czekając na odpowiedź ruszył w kierunku wyjścia.

W szpitalu odnalazł matkę bez trudu. Wyglądała strasznie. Była blada, prawie przezroczysta, pod cienką skórą wyraźnie odcinała się sieć błękitnych żyłek. W obu dłoniach tkwiły wenflony, oklejone plastrami. Twarzy prawie nie było widać zza ustawionej obok skomplikowanej aparatury.

- Jest nieprzytomna, zaintubowana, stan stabilny, ale nie umiem panu powiedzieć nic o rokowaniach. - Młody, wysoki lekarz podczas rozmowy cały czas obracał w palcach żółty długopis.

Miał wyjątkowo szczupłe ręce i Kamil patrząc na nie pomyślał nagle, że są zbyt delikatne, żeby spoczywała w nich odpowiedzialność za życie jego matki.

- Na razie nie możemy pana do niej wpuścić. Może jutro... Proszę przyjść koło południa - lekarz niecierpliwym ruchem poprawił zsuwające się z nosa okulary.

- A czy... nie mógłbym przy niej zostać na noc?

- To nie ma sensu. Tylko pan będzie przeszkadzał. Zresztą gdyby odzyskała przytomność, powiadomimy pana. Proszę zostawić swój telefon.

- Ja nie mam komórki...

Lekarz wzruszył ramionami.

- W takim razie stacjonarny. Jutro koło południa ma wpaść na oddział ordynator, to będzie pan mógł z nim porozmawiać.

- Dobrze - bąknął. - Przyjdę jutro.

Teraz, siedząc w pociągu, nie mógł sobie tego darować. Jaki ja jestem głupi, wściekał się na siebie. Trzeba się było uprzeć i zostać! W końcu to moja matka! Ma tylko mnie! Może czegoś potrzebować!

Ale z drugiej strony te kilka godzin spędzone przy jej łóżku było chyba najgorszym czasem, jaki mu się ostatnio zdarzył. Odgradzony od matki grubą szybą czuł się denerwująco słaby, bezsilny i zagubiony.

Poza tym musiał wrócić do hotelu. Był tam przecież potrzebny. Nie powinien się narażać kierownicze. Cholernie potrzebował tej posady. No, może nie samej pracy, bo pieniędzy trochę mu w kieszeni zostało, ale miejsca, gdzie mógłby się bezpiecznie zatrzymać. Do mieszkania matki bał się wracać. Oni... mogli je obserwować...

A na wypadek, gdyby obserwowali też szpital, wyszedł stamtąd przez podwórko. Później kilka razy zmieniał tramwaje i autobusy, w końcu na Placu Konstytucji wsiadł w taksówkę i kazał się zawieść na Śródmieście. Kiedy w końcu dotarł na peron, był z nerwów spocony jak mysz. I ciągle, co kilka kroków, oglądał się za siebie...

Byle dotrzeć na wieś, do hotelu, tam będzie bezpieczny.

* * *

Pociąg zaczął zwalniać. Kamil podniósł się niezręcznie ze swojego miejsca, potrącając starszego mężczyznę siedzącego obok i, przytrzymując się uchwyty, podszedł do drzwi. Za oknami pojawiły się pierwsze światła miasteczka, a zaraz potem - zabudowania stacji. Zazgrzytały hamulce. Pociąg stanął. Drzwi otworzyły się z nieprzyjemnym sykiem i Kamil wyskoczył na peron. Oprócz niego wysiadło jeszcze kilka osób, którym przechodząc przyjrzał się ukradkiem. Nie zauważył nic podejrzanego. Pierwszy raz tego dnia poczuł ulgę.

Szedł szybkim, miarowym krokiem. Za sobą po prawej zostawił oświetlone budynki stacji. Do hotelu miał jakieś pół godziny szybkiego marszu. Wąska, asfaltowa szosa poprowadziła go, łukiem omijając miasteczko i zagłębiając się w las. Ten fragment drogi nie był przyjemny. Kiedy wszedł między drzewa, ogarnęła go nieprzenikniona ciemność. Poczł intensywny zapach wilgotnego poszycia. Gdzieś trzasnęła gałązka, potem druga. Przeszedł go dreszcz. Spokojnie, pomyślał. Przecież nikt tu za mną nie przyjechał...

Ale dopiero kiedy wydostał się znowu na otwartą przestrzeń, poczuł prawdziwą ulgę. Najwyżej pół kilometra i będzie na miejscu. Jeszcze bardziej przyspieszył kroku. Nagle coś usłyszał. Dopiero po chwili zorientował się, że to nadjeżdżający od strony miasteczka samochód. Auto było coraz bliżej, widział już nawet światła, wylaniające się spośród drzew. Nie wiadomo, dlaczego się przestraszył. W panice rozejrzał się dookoła, ale otwarta przestrzeń nie dawała żadnej możliwości kryjówki. W ostatniej chwili rzucił się więc na ziemię, do przydrożnego rowu. Odczekał chwilę, aż szum motoru ucichł zupełnie, i wtedy się podniósł. Otrzepta ubranie i ruszył dalej. Pięć minut później minął bramę prowadzącą na teren hotelu.

I wtedy zza żywopłotu dobiegł chrzęst żwiru.

Kamil zamarł. Ktoś nadchodził od strony garażu. Co robić? Jednym skokiem znalazł się za rosnącym tuż obok dębem. Przycisnął policzek do chropowatej kory, serce biło mu jak oszalałe. Kroki zbliżały się coraz bardziej. W ciemnościach Kamil zauważył tylko zarys sylwetki. Ktoś przeszedł tuż obok niego i nagle przystanął. Rozległo się charakterystyczne pstryknięcie i rozedrgany płomień gazowej zapalniczki oświetlił na moment twarz nieznajomego i daszek jego bejsbolówki. Kamil odetchnął z ulgą. To nie był żaden z NICH.

Ale zaraz uświadomił sobie, że przecież mogli tu przysłać kogoś, kogo nie znał...

Cholera! Co robić?

Postanowił na razie odczekać. Ukucnął za drzewem i skulił się najbardziej, jak to było możliwe. Która może być godzina? Bał się spojrzeć na zegarek, bał się wykonać jakikolwiek ruch. Postanowił liczyć. Kiedy doszedł do pięciuset, a dookoła panowała ciągle idealna cisza, odważył się wstać. Kolejne dwieście i ostrożnie wychylił się ze swego schronienia. Nikogo nie było widać. Do hotelu miał najwyżej sto

pięćdziesiąt metrów. Trudno, pomyślał, muszę spróbować. Puścił się biegiem, choć nogi miał jak z waty. Podjazd był coraz bliżej. Nagle poczuł szarpnięcie. Musiał o coś zaczepić nogą. Stracił równowagę i poleciał do przodu, na ścieżkę. Choć zamortyzował dłońmi upadek, ciało uderzyło głucho o ziemię. Cholera jasna! Narobił niezłego hałasu. Bolało go kolano i starte do krwi dłonie, ale nie było czasu, żeby się nad sobą roztkliwiać. W panicznym pośpiechu zaczął się podnosić.

Jeszcze tylko kilka metrów i będę bezpieczny, pomyślał i w tym momencie usłyszał za sobą szelest. Nawet nie zdążył się obejrzeć. Ból przeszył jego czaszkę i stracił przytomność.

ROZDZIAŁ 32

Meu Querido,

Dochodzi północ, godzina duchów :-)... Jak to dobrze, że nam tę Neostradę założyli, i przynajmniej z Tobą mogę pogadać. Siedzę prawie sama w pensjonacie - oprócz mnie tylko wujek Stanisław i jego dzielny pies Hugon, ale obaj już pewno śpią snem sprawiedliwych... i trochę się nieswojo czuję. Tzn. nie spodziewam się, żeby tu straszło... chociaż właściwie szkoda... można by zrobić z tego niezłą atrakcję turystyczną. Powód jest bardziej przyziemny. Ale się nie denerwuj, OK? To nic takiego. Chyba... Ktoś po prostu się kręci koło hotelu. Może to tylko jakiś ciekawski ze wsi, a może nie... Sama nie wiem, co o tym myśleć... i denerwuję się coraz bardziej. Może nie powinnam Cię tak straszyć na odległość, ale nie mogę się powstrzymać... tak dobrze byłoby teraz zTobą porozmawiać... przytulić się... po cholere jechałeś tak daleko?

Dobra, wiem, musiałeś. Zaraz ci wszystko opiszę. Najpierw ogrodnik się skarżył, że ktoś mu łazi po grządkach. Niby nic. Potem zginął mu pies, dalej niby nic straszego. Ale potem Lilka znalazła tego psa... powieszzonego. Na drzewie. Wyobrażasz to sobie? To już makabra! A jeszcze okazało się, że jakiś typek obserwował nasz hotel. Znaczy siedział na drzewie i się gapił (zauważ, znów drzewo!), pojęcia nie mam, po co. I to też miłe nie jest.

Wiem, wiem, zaraz powiesz, że pewnie chciał mnie podglądać. Ale jest coś jeszcze. Wujek dzisiaj odkrył, że ktoś grzebał przy kuchennych drzwiach. Był tym niezłe wstrząśnięty (nie mieszany, ha, ha)... już sama nie wiem, śmiać, się czy płakać... to wszystko jest dziwne.

Ale serio, w sprawie tych drzwi, myślę, że może kucharz kluczy zapomniał czy coś... on strasznie jest gamoniowaty.

Ale nie sprawdzimy tego, dopóki mistrz patelni nie wróci łaskawie z Warszawy, pojechał nagle w jakichś sprawach. Lilkę też wywiało po południu... znowu ma spotkanie z tym kretyńcem, swoim byłym! Nie rozumiem, jak ona może tak ciągle na niego lecieć? Inteligentna niby, a niczego się nie nauczyła. Nieważne....

Sam widzisz, jak to jest z tym prowadzeniem hotelu na prowincji: różne rzeczy się zdarzają...

Na pocieszenie Ci donoszę, że zastanawialiśmy się dzisiaj z wujkiem, czy nie zgłosić tego wszystkiego na policji. Ja byłam za, ale wujek twierdzi, że musimy poczekać na Lilkę, w końcu to ona jest właścicielką i ma moc decyzyjną. Może i racja...

Oho, coś stuknęło na dole, pewnie wraca nasza amatorka romantycznych uniesień.

Skoczę się z nią przywitać.

Na razie, Michasiu, złotko moje :-) zaraz wracam! Nie odchodź od ekranu! *Por favor.*

* * *

Jagoda zdjęła laptop z kolan i wylazła spod kołdry.

Znowu coś stuknęło...

Podeszła ostrożnie do drzwi, uchyliła je i zaczęła nasłuchiwać.

Stukanie powtarzało się rytmicznie od strony jadalni i Jagoda zdała sobie sprawę, że to otwarte okno uderza o framugę. No nie, westchnęła, znowu zapomniałam sprawdzić, czy wszystkie podomykane. Niechętnie cofnęła się do pokoju, włożyć klapki i szlafrok. Wycieczki nocą po pustym hotelu nie należały do przyjemności, zwłaszcza teraz.

Ruszyła cicho i ostrożnie korytarzem. Im bliżej recepcji, tym robiło się jaśniej - na noc zawsze zostawiały na ladzie palącą się lampkę.

Stuk, stuk...

Jagoda przyspieszyła kroku. Nic to, Jadźka, nic to, powtarzała sobie pod nosem, przemierzając pustą przestrzeń holu, gdzie nieliczne meble rzucały niepokojąco długie i głębokie cienie.

Drzwi do jadalni były uchylone, choć Jagoda dałaby sobie głowę uciąć, że wieczorem je zamknęła. Pewnie wujek się kręcił, pomyślała, wchodząc do środka i zapalając światło.

Oczywiście, środkowe okno otwarte. Zatrasnęła je ze złością. Równie energicznie zamknęła za sobą drzwi do jadalni i prawie pobiegła z powrotem do pokoju. Dokończy mail do Michała i idę spać, postanowiła. Na Lilkę nie ma sensu czekać, pewnie wróci dopiero jutro. Oby zdążyła na przyjazd tych nowych gości... Nagle Jagoda uświadomiła sobie, że nie ma pojęcia, o której się mają pojawić.

Niechętnie zawróciła do recepcji. Stała przy blacie i zaczęła przeglądać księgę meldunkową, ale nie znalazła tam żadnej notatki. Weszła więc za ladę i rozpoczęła żmudne przeglądanie leżących wszędzie kartek i karteczek.

Stuk...

Podniosła głowę, zirytowana. Znowu to samo? Tym razem odgłos dochodził z biura Stefy. No, pięknie, westchnęła. Ciekawe, ile jeszcze niedomkniętych okien. Odłożyła trzymane w ręku świstki i podeszła do białych drzwi z czerwoną tabliczką „Pomieszczenie służbowe - obcym wstęp wzbroniony”. Otworzyła je i zamarła.

W pokoju ktoś był. Jej dłoń odruchowo odnalazła kontakt. Ostre światło wydobyło z ciemności niewielki, obstawiony regałami pokój, którego środek zajmowało stare,

zarzucone papierami biurko. Obok biurka stał mężczyzna w dżinsach, dresowej bluzie i czerwonej, bejsbolowej czapce. Był lekko pochylony, jakby nadal czegoś szukał, a w rękę trzymał latarkę. Powoli podniósł głowę i zmierzzył znieruchomiałą na progu Jagodę długim, bezczelnym spojrzeniem.

- Mówiłem, lalka, że się jeszcze spotkamy... - uśmiechnął się drwiąco.

Jagoda zaczęła krzyczeć.

- Stul pysk! - warknął Laskowski. Jednym susem doskoczył do niej, zatkał jej usta ręką, a drugą objął mocno w pasie, żeby nie mogła uciec. Zaczęła się wrywać, ale nie miała szans.

- Eee, nie brykaj tak, lalka, bo się zmęczysz. - Wtulił twarz w jej włosy i wyszeptał: - Ładnie pachniesz... To co, zapoznamy się? - Jagoda szarpnęła się, przerażona, a on zaśmiał się tylko chrapliwie i przyciągnął ją jeszcze bliżej. Poczula odór papierosów i alkoholu.

Szarpnęła się znowu. Bez powodzenia. Mężczyzna przytrzymał ją mocno, napierając jednocześnie ciałem. Popchnął ją w kierunku biurka. Jego dłoń wsunęła się pod szlafrok, dotknęła jej brzucha i zaczęła wędrować niżej.

Jagoda znieruchomiała z obrzydzenia.

- Lubisz to, co? No, powiedz...

- Puść ją! - zabrzmiał nagle za nimi ostry głos.

Kątem oka spostrzegła wysoką postać wujka. Stał na korytarzu i mierzył w ich stronę z dubeltówki.

- Puść ją, ty bydlaku! - powtórzył. - Ale to już!

Laskowski zamarł i również spojrział w tamtą stronę,

Jagoda wykorzystała to natychmiast, gryząc go z całej siły w rękę, którą zasłaniał jej usta.

- Ty kurwo! - krzyknął i automatycznie rozluźnił uścisk.

W odpowiedzi kopnęła na oślep do tyłu, najwyraźniej celnie, bo aż się zwinął z bólu. Wtedy rzuciła się w kierunku wujka. Laskowski próbował złapać ją za ramię, ale mu się nie udało.

- Podoba ci się ta pinda, staruchu, co? - Zaczął się powoli przesuwać w kierunku okna.

- Stój, bo strzelam - w głosie wuja zabrzmiała determinacja.

- Ty, dziadu, to se najwyżej pierdnąć możesz - zaśmiał się Laskowski, szarpnął klamkę, otworzył okno i zniknął w ciemnościach.

ROZDZIAŁ 33

Obudziła się nagle. Przesunęła niespokojnie policzkiem po poduszce. Było dość cicho, ale był to zupełnie inny typ ciszy niż ten, do którego Lilka zdążyła się przyzwyczać w wsi. Gdzieś z boku dolatywał niewyraźny, powtarzający się dźwięk, którego nie potrafiła określić. Uchyliła powoli zaspane powieki i, ku swojemu zdziwieniu, ujrzała nad sobą nieznanego sufit. Usiadła raptownie na łóżku.

Gdzie ja jestem? - zaniepokoiła się.

Jasny, starannie urządzone hotelowy pokój, który zobaczyła, z pewnością nie znajdował się „Pod Zielonym Trabantem”.

I nagle przypomniała sobie wszystko.

Tomek! Czekał na nią wczoraj w holu, potem zaprosił do restauracji, a potem... To była najlepsza noc jaka im się kiedykolwiek przydarzyła! Zupełne szaleństwo! - Lilka aż westchnęła na samo wspomnienie. - Dlaczego wcześniej nie było między nimi aż tak?

Usiadła, opierając się o poduszkę, oplótła ramionami kolana i oparła na nich brodę.

To paradoksalne, ale odkąd ze sobą zerwali, zaczęła się przy Tomku zupełnie inaczej czuć - pewniej, silniej. Nie była już zapatrzoną w niego bezkrytycznie żoną. Nie była już tak od niego uzależniona. Może to dlatego? Kiedy po rozwodzie została sama, kiedy musiała stanąć na własnych nogach, nagle coś się zmieniło. Do tej pory zawsze ktoś nią dyrygował. Najpierw matka, potem Tomek. Teraz to ona wzięła za siebie odpowiedzialność. I powoli, bardzo powoli, zaczęła wyzbywać się zahamowań. W różnych dziedzinach życia.

Przesunęła dłonią po prześcieradle. O, tak... Ta noc była wspaniała. Otworzył się przed nią świat zupełnie nowych doznań, którego istnienia nawet nie przeczuwała. Nareszcie poczuła się piękna, pożądana, spełniona... Tylko czy na tej podstawie można budować od nowa związek?

Gdyby udany seks był receptą na wszystko... Niestety dobrze wiedziała, że to nie jest takie proste. Tak naprawdę tęskniła za czymś głębszym, za potwierdzeniem, że bliskość, która im się właśnie przydarzyła, nie była jedynie fizyczna.

W tym momencie na progu korytarzyka prowadzącego do łazienki pojawił się Tomek. Prawie nagi, ubrany tylko w czarne bokserki, starannie wycierał ręcznikiem mokre włosy, a na jego opalonej klatce piersiowej połyskiwały krople wody. Lilka poczuła nagły przypływ czułości i pożądania.

- O, już nie śpisz? - uśmiechnął się lekko i wszedł do sypialni. Skwapliwie się przesunęła, robiąc mu miejsce na łóżku, ale on bez słowa podszedł do szafy w przeciwnym rogu pokoju. Obserwowała, jak pedantycznie rozkłada poszczególne części garderoby na stojącym obok fotelu. Przed oczami mignęły jej znane, ekskluzywne metki. Dziwne, pomyślała obserwując, z jaką pieczołowitością Tomek obchodzi się z ubraniami. Nigdy nie przywiązywał aż takiej wagi do tego, co nosi. Czyżby aż tak się zmienił w tej Irlandii? Nagle przyszło jej do głowy, że w ogóle go nie zna... - Tomek? - odezwała się ostrożnie.

Miała nadzieję, że podejdzie, przytuli ją i odegna wszystkie te niepokojące myśli. Ale on po prostu odłożył trzymany w rękę krawat i bez słowa podszedł do okna wychodzącego na ruchliwą nawet w niedzielny poranek Grójecką. Stał opierając się o parapet i zbliżył twarz do szyby.

- Chyba będzie upał - powiedział lekkim tonem, tak jakby prognoza pogody była najważniejszym tematem, który powinien z Lilką poruszyć.

Zaniepokojona, odrzuciła koc i podniosła się z łóżka. W lustrze stojącej obok toaletki zobaczyła odbicie swojego nagiego ciała. Trochę ją to speszyło, więc sięgnęła po leżący na krześle szlafrok i owinięła się nim ściśle, a potem podeszła do Tomka. Ciągle stał do niej tyłem i udawał, że widok za oknem pochłania go bez reszty.

Przytuliła się do jego pleców, obejmując go ramionami w pasie. Pod policzkiem poczuła gładką, pachnącą żelem pod prysznic skórę. Pocałowała go w prawą łopatkę i delikatnie przesunęła mu dłońią po brzuchu...

- Jutro wracam do Dublina - powiedział nagle beznamyślnym głosem.

Zastygła w bezruchu. O czym on mówi?

- Jutro? - powtórzyła po chwili, zaskoczona.

Czekała, żeby ją objął, przytulił, pocałował, żeby choć pogładził po ręku...

Ale on ani drgnął. Stał, chłodny i obojętny, wyglądając dalej przez okno.

A więc to tak... Lilce opadły ramiona. Odsunęła się od Tomka i wróciła na łóżko.

Dopiero teraz odwrócił się od okna i popatrzył na nią z dziwnym, nieobecnym wyrazem twarzy.

- Muszę. - Jego głos wcale nie świadczył o tym, że jest mu przykro.

- Rozumiem... ale posłuchaj...

- Co ty sobie właściwie wyobrażałaś? Przecież ja mam tam pracę! Wiedziałaś, że przyjechałem tylko na kilka dni!

- No tak... - jej głos załamał się niebezpiecznie.

- Tylko nie histeryzuj. Nie ma o co. - Znowu odwrócił się do niej tyłem.

Zapadła niezręczna cisza. Lilka siedziała na brzegu łóżka, skubiąc w napięciu brzeg kołdry.

- Kiedy... kiedy znowu przyjedziesz? - zapytała starając się, żeby tym razem nie usłyszał drżenia w jej głosie.

- Nie wiem - rzucił krótko.

Lilka patrzyła na jego plecy, próbując opanować paniczną gonitwę myśli. O co chodzi?

- A może... - ożywiła się nagle - może ja przyjadę do ciebie? Na przykład na jakiś weekend? Pokazałbyś mi Dublin.

- To... - odwrócił się w jej stronę, choć ciągle na nią nie patrzył. - To nie jest dobry pomysł. Moje mieszkanie nie jest gotowe.

- Przecież mogę ci pomóc je urządzić...

- Zapomniałaś? Nie jesteśmy już małżeństwem - powiedział, a w jego głosie pojawiła się irytacja.

- Tak, wiem, tylko że...

- Kurwa! - uderzył z całej siły pięścią w parapet. - Czy ty nic nie rozumiesz?! Chyba wyraźnie mówię, że nie chcę, żebyś przyjeżdżała!

Lilka poczuła się tak, jakby dostała w twarz. Dokładnie tak samo jak wtedy, kiedy otworzyła drzwi do dyżurki lekarzy i zobaczyła Tomka z tamtą...

Zaszokowana, patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

- Przepraszam, zdenerwowałem się, nie to miałem na myśli - zreflektował się szybko. - Przebiorę się i jeszcze porozmawiamy, dobrze? - Podeszedł do niej, pocałował lekko w czoło i zniknął w łazience.

Lilka jeszcze przez chwilę siedziała bez ruchu, po czym nagle podniosła się z łóżka, odruchowo wygładziła kołdrę i zaczęła się ubierać. Poruszała się jak automat. Powoli, pedantycznie zapięła wszystkie guziczki żółtej sukienki, włożyła

na szyję korale, wzięła z fotela torebkę i wyszła, zatraskując za sobą ten rozdział życia.

* * *

Na wszelki wypadek wybrała miejsce w samym rogu wagonu. Nie chciała, żeby wszyscy gapili się na nią, kiedy zacznie płakać. Ale udało jej się jakoś powstrzymać łzy. Pomimo tego, że czuła się oszukana, obolała i po raz kolejny zdradzona. Domek z kart, który budowała od poprzedniego spotkania z Tomkiem, runął, odsłaniając całą swoją papierową miernotę. Jak mogła być tak naiwna, jak mogła znowu marzyć o wspólnym życiu? Przecież ten drań zawsze myślał tylko o sobie, powinna to dobrze pamiętać z małżeńskich czasów...

Pociąg zatrzymał się w Pruszkowie. Kilku pasażerów wysiadło, kilku wsiadło. Na wolnym miejscu naprzeciwko Lilki ulokował się szczupły, sympatyczny chłopak, a jego dziewczyna, niska brunetka przy kości, usiadła mu na kolanach. Miała na sobie obcisłe szorty wielkości chusteczki higienicznej i wydekoltowaną bluzkę, i co chwila wybuchała głośnym, niepohamowanym śmiechem. Chłopak otoczył dziewczynę w pasie ramionami i przytulił policzek do jej pleców. Miał rozmarzony i absolutnie szczęśliwy wyraz twarzy.

Jaki on musi być w niej zakochany, pomyślała Lilka, przyglądając się im ukradkiem. A przecież dziewczyna zupełnie przeciętna. Pulchna, małe oczka, fatalna cera...

Na kolejnym przystanku również, jak na złość, wsiedli zakochani. Dwie pary. Szczęśliwe, uśmiechnięte dziewczyny w czułych objęciach swoich partnerów.

Jak one tych mężczyzn zdobywają? - westchnęła. I jak im się udaje ich potem zatrzymać?

Dlaczego, do cholery, ona tak nie potrafi?!

Poczuła łzę spływającą po nosie. Kiedy ukradkiem wycierała ją wierzchem dłoni, drzwi wagonu zamknęły się z głośnym sykiem. Szarpnęło i pociąg ruszył dalej. Za oknem przesuwał się znajomy krajobraz, skąpany w silnych promieniach przedpołudniowego słońca, ale Lilce wszystko wydawało się szare, monotonne i pozbawione sensu. Czowała się tak, jakby tkwiła w kinie na obezwładniająco nudnym filmie, zbyt senna, żeby z niego wyjść.

Oparła głowę o przybrudzoną szybę i cicho westchnęła: doszła chyba do punktu, w którym powinien nastąpić jakiś zwrot. Ale na razie nie czuła się na siłach, żeby o tym myśleć. Może później.

Zbliżało się południe, kiedy wysiadła z pociągu i ruszyła drogą w kierunku hotelu. Było gorąco, ale na otwartej przestrzeni lekki wiatr sprawiał, że upał nie dawał się tak bardzo we znaki. Lilka szła powoli, mimo woli delektując się słońcem i zapachem nagrzanej trawy, napływającym od strony łąk. A kiedy weszła w las i ogarnął ją chłodny cień, zwolniła jeszcze bardziej. Intensywny aromat żywicy przyprawił ją prawie o zawrót głowy. Przystanęła na chwilę. Schyliła się, podniosła suchy liść, leżący na samym środku ścieżki i w zamyśleniu zgniotła go w rękę. Im bliżej była hotelu, tym bardziej realna stawała się perspektywa stanięcia oko w oko z Jagodą, która na pewno będzie wypytywać, co i jak...

A ona na razie nie miała ochoty o tym rozmawiać. Ani z Jagodą, ani z kimkolwiek innym.

Kiedy w końcu dotarła na miejsce, w recepcji zamiast przyjaciółki zastała Renatkę. Dziewczyna była blada i jakby wystraszona.

- Dzień dobry! - zerwała się z krzeselka i nerwowo dygnęła.

- Dzień dobry, a gdzie Jagoda?

- U starszego pana. Naradę mają.

- Jaką znowu naradę? - zdziwiła się Lilka i, nie czekając na odpowiedź, ruszyła w stronę pokoju wujka.

Zapukała zdecydowanie. „Moment” usłyszała i po chwili wujek otworzył drzwi. Był blady i zmęczony, a na jego twarzy na widok Lilki nie pojawił się uśmiech.

- A, to ty, nareszcie! - powiedział poważnym tonem.

Lilka weszła, zastanawiając się, co się mogło takiego przydarzyć. Zaraz za drzwiami przywitał ją, jak zwykle wylewnie, Hugon. Poklepała go z ulgą po głowie. Przynajmniej pies cały i zdrowy, pomyślała.

- Cześć - podeszła do stołu i nachyliła się, żeby pocałować Jagodę w policzek, ale wyraz twarzy przyjaciółki sprawił, że zatrzymała się w połowie drogi. Zamiast ciekawości w jej oczach zobaczyła strach.

- Czy coś mi umknęło? - spytała sztucznie wesołym tonem, choć czuła, że musiało stać się coś poważnego.

- Siadaj, dziecko - westchnął starszy pan i podsunął jej wolne krzesło. - Musimy ci coś powiedzieć. Tylko się nie denerwuj.

- Już się zdenerwowałam! O co chodzi?!

- W nocy do naszego hotelu było włamanie.

* * *

- Herbatki? - spytała Jagoda, w zasadzie pro forma, bo już włączała czajnik. Wujek, zmęczony całonocnym zamieszaniem, zdecydował się zdrzemnąć, więc na pogadanie dziewczyny przeniosły się do kuchni.

- Poproszę. - Lilka usiadła przy stole i podparła głowę rękami. - No to opowiadaj, Jaguś.

Jagoda ustawiła na blacie wyjęte z kredensu żółte, fajansowe filiżanki, przysiadła obok przyjaciółki i, starając się mówić bez emocji, przystąpiła do opisu zdarzeń.

- Nie rozumiem. Kto to jest ten Laskowski? Mówisz, tak, jakbyś go znała - przerwała w pewnym momencie Lilka.

- Nie pamiętasz? - zdziwiła się Jagoda. - To ten, który się do mnie przystawiał na festynie. Mówię ci, kawał lokalnego zbója.

- Ale czego on tu mógł szukać? - Lilka niecierpliwie potarła skronie palcami. - Przecież wszyscy w okolicy wiedzą, że ledwo wiążemy koniec z końcem.

- My też się nad tym zastanawialiśmy... To chyba nie był jego pomysł z tym włamaniem.

Lilka popatrzyła na nią zaskoczona.

- A czyj?

- Pamiętasz, jak rozmawiał na festynie ze Stefą?

- Faktycznie...

- No właśnie! - Jagoda poprawiła się na krześle. - To nie może być przypadek, że nakryłam go właśnie w biurze. Grzebał w papierach, segregatory były powyciągane z półek, musiał czegoś szukać. Ale raczej nie dla siebie, bo po co mu nasze stare dokumenty? Policja twierdzi, że gdyby to było klasyczne włamanie rabunkowe, to by zaczął od recepcji i kasetki na pieniądze. Tak czy inaczej, najgorsze jest to, że... się tu wdarł... - Jagoda zadrżała.

Lilka złapała przyjaciółkę za rękę.

- Jagódka! Ja ciebie strasznie przepraszam, że musiałaś przez to sama przejść! Gdybym tu z tobą była...

- ...nie byś nie pomogła, nie rób sobie wyrzutów. I tak by się włamał, i tak. Przecież już od dawna się do tego przygotowywał. Ten pies, obserwacja domu...

- Psa też on?!

- A co myślałaś? To jest zwykły bandyta, jemu tam wszystko jedno...

Patrzyły przez chwilę na siebie i nagle po policzkach Jagody zaczęły płynąć łzy.

- Ty nawet... nie wiesz... jak... ja się boję! - wyszlochała, z trudem łapiąc powietrze. - Przecież on... ciągle jest... na wolności!

- Jagódka! Kochana! Już dobrze! Uspokój się! - Lilka objęła niezręcznie zapłakaną przyjaciółkę i zaczęła ją głaskać po głowie. - Zobaczysz, zaraz go złapią! - sięgnęła do torebki po chusteczkę i podała Jagodzie.

- Ja bym nie była taka pewna - westchnęła po chwili już trochę spokojniejsza Jagoda, wycierając nos. - Policjant mówił, że jak się taki sukinsyn gdzieś zamelinuje, to szukaj wiatru w polu.

- Może i sukinsyn, ale chyba nie taki głupi, żeby tu wracać?!

- Chyba nie... - przyznała cicho Jagoda, ale w jej głosie nie było przekonania.

Przez chwilę obie milczały. W końcu Lilka wstała, żeby zrobić herbatę, o której z tego wszystkiego zupełnie zapomniały.

- A tak w ogóle, to gdzie jest Karol? - zainteresowała się nagle.

ROZDZIAŁ 34

- No, gdzie ten Karol? - Pytanie powróciło koło obiadu, kiedy nieobecność kucharza coraz bardziej dotkliwie zaczęła się dawać dziewczynom we znaki. - No, gdzie?! - powtórzyła Lilka. Przeglądała właśnie lodówkę pod kątem obiadu, bo chcąc nie chcąc musiały się znowu same zabrać za przygotowanie posiłku.

Jagoda, zmęczona i w kiepskim nastroju, przysiadła na kuchennym taborecie. Właśnie przyszła od siebie, gdzie przez ostatnią godzinę próbowała się zdrzemnąć, z mizernym skutkiem. Kiedy tylko zamykała oczy, obrazy z nocnych wydarzeń powracały do jej głowy ze zdwojoną siłą, nie pozwalając ani na sen, ani na relaks.

- Mnie się pytasz? - wzruszyła niechętnie ramionami. - Przecież to z tobą rozmawiał. Jak się z nim umówiłaś?

- Nijak. - Lilka ze złością zamknęła drzwi od lodówki. - Powiedział, że jedzie w sprawach rodzinnych. Do głowy mi nie przyszło, żeby go wypytywać, wiesz, jaki on jest drażliwy.

- No, pięknie... - pokiwała głową Jagoda. - A co będzie z obiadem?

- Nie wiem, jeszcze nie mam pomysłu... ale zaraz, czekaj... - Lilka wzięła się za przekopywanie zamrażarki. Prawdę mówiąc liczyła, że Jagoda przystąpi do pomocy z większą energią. Mimo wszystko. Chociaż faktycznie wyglądała bardzo blado i mizernie. Siedziała przygarbiona przy stole i patrzyła bezmyślnym wzrokiem przed siebie. Lilka westchnęła tylko i wróciła do tematu kucharza.

- Nie rozumiem, jak można być tak nieodpowiedzialnym? Przecież on tutaj pracuje!

- Ale nieoficjalnie - drgnęła Jagoda, wyrwana z zamyślenia. - Umowy z nim nie podpisywałaś.

- Bo nie miał dowodu! - Lilka ułożyła na blacie kilka kolorowych torebek z mrożonkami Hortexu. - Może z tych „Warzyw na patelnię” zrobimy zupkę, co? Jarzynową?

- OK. Mnie wszystko jedno.

- Albo nie. Lepiej weźmy sałatkę meksykańską. Dokroi się wołowiny i będzie danie jednogarnkowe.

- A skąd weźmiesz wołowinę? - spytała bez większego zainteresowania Jagoda.

- O, tu jest, patrz, jak byk napisane: wołowina, gulasz - Lilka triumfalnie wyciągnęła z zamrażarki nieduży pakunek wykonany domowym sposobem - Nie taki on jednak całkiem głupi...

- Kto?

- No przecież Karol. Nie rozumiem tylko, jak mógł nie zadzwonić, nie uprzedzić. Ani słowa, ani żadnego znaku życia... - kontynuowała Lilka niewdzięczny temat.

- Może zapił? - podsunęła logiczne rozwiązanie Jagoda.

- Karol? Coś ty! Nie wygląda na takiego. Może jakaś dziewczyna?

Jak na komendę, popatrzyły na siebie i nawet Jagoda wyglądała na ubawioną.

- No tak, na takiego też nie wygląda - przyznała po chwili, po czym niechętnie wstała od stołu. - Naprawdę chcesz robić tę meksykańską? To daj duży garnek.

Godzinę później pojawił się w kuchni ogrodnik. Jagoda akurat gdzieś wyszła i Lilka sama walczyła z niewdzięczną materią gulaszu. Mieszała go energicznie w dużym, emaliowanym garnku, ale i tak co chwila drewniana łyżka zaczepiała o twarde frakcje, które poprzywierwały do dna. Coraz wyraźniej docierało do niej, że podawanie sałatki meksykańskiej

na gorąco mogło nie być najlepszym pomysłem. I właśnie kiedy dosypywała kolejną porcję przypraw dla polepszenia smaku, bo na polepszenie konsystencji nie miała już niestety wpływu, rozległo się pukanie do kuchennych drzwi i stanął w nich pan Antoni. Lilka na jego widok drgnęła, a razem z nią drgnęła jej dłoń, trzymająca właśnie otwartą torebkę chili.

- Ja na obiad - oznajmił ponurym głosem i wszedł do środka, szurając kaloszami. - Jak jest.

- Jest, jest, panie Antoni - pośpieszyła z zapewnieniem Lilka i zaczęła mieszać jeszcze szybciej. - Momencik, już nakładam.

Stary usiadł ciężko na taborecie i wlepił w Lilkę ponure spojrzenie. Zapanowała niezręczna cisza.

- Jak tam zdrowie? - spytała o cokolwiek.

- Źle - odpowiedział krótko ogrodnik i znowu zamilkł.

- Aha... A co panu jest? - próbowała pociągnąć dalej temat.

- Całą noc nie spałem i tyle. Jak policja porządnych ludzi z łóżka wyciąga...

Lilka z rozmachem postawiła przed nim talerz gulaszu.

- Panie Antoni, bardzo mi przykro... Taka nieprzyjemna sytuacja...

Stary przysunął sobie talerz i sięgnął po widelec.

- Ale jak mówiłem, że ktoś się tu kręci, to nikt mnie nie słuchał. No i się skończyło, jak się skończyło. Tfu, a to co, królicze bobki? - splunął na talerz twardym jak pestka ziarenkiem kukurydzy. Lilka aż się wzdrygnęła.

- Nie smakuje?

- Wszystko twarde. I pieprzne, że szkoda gadać. Wody by dała, bo mi kiszki wypali.

Lilka szybko podała mu szklankę mazowszanki.

- Strasznie pana przepraszam... - bąknęła. - Tak jakoś wyszło... Kucharza nie ma...

- No właśnie! - stary wyraźnie się ożywił. — Mówilem, że on podejrzanym jakiś! Musiał w tym palce maczać. Ale pewnie ani jego nie złapią, ani tego cholernego Laskowskiego... - zamilkł i zaczął pracowicie przeżuwać twarde i lekko przypalony kawałek wołowiny.

- To nie na moje zęby - stwierdził w końcu niewyraźnie i odsunął talerz od siebie. - A ten Laskowski to kawał sukinsyna jest. A zacięty jaki... Łatwo nie odpuszcza. Na waszym miejscu to bym się porządnie na noc zamykał. Mnie to nie ruszy, bo co ja mu tam... i stąd jestem. A wy obce.

Lilka spojrzała na niego spłoszona.

- Co też pan mówi, panie Antoni! On już na pewno tutaj nie wróci. I bardzo proszę, niech pan mnie nie straszy. Ani tym bardziej Jagody. Ona już jest wystarczająco zdenerwowana...

Odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z przyjaciółką, która stała w uchylonych drzwiach do jadalni i słuchała uważnie ich rozmowy.

- Dobra tam... - ogrodnik wzruszył ramionami i wstał od stołu. - Nie chcecie słuchać, to nie. A potem znowu będziecie żałować. - Wytarł usta rękawem i zniknął za drzwiami.

- Nim to się nie ma co przejmować - stwierdziła dobitnie Lilka. - Zawsze kracze. Zjesz coś?

Jagoda ciągle stała nieruchomo i patrzyła na drzwi, które przed chwilą zamknęły się za ogrodnikiem.

- Hej! - Lilka zajrzała jej w twarz. - Chyba mi nie powiesz, że się przejmujesz jego gadaniem?

- Gadaniem nie - głos Jagody był tak samo zmęczony jak jej oczy. - Laskowskim tak. Sama sobie nałożę. - Podeszła do kuchenki i zajrzała do garnka. - Albo i nie.

Lilka patrzyła przez chwilę, jak przyjaciółka zaczyna sobie robić kanapki. Zauważyła, że ze zdenerwowania lekko drżą jej ręce. Biedactwo, pomyślała. To musiało być straszne.

- Spotkałam przed chwilą wujka - rzuciła Jagoda znad deski. - Szedł z psem na spacer. Poprosiłam go, żeby za daleko sam od hotelu nie odchodził. No wiesz, w tej sytuacji... Powiedział, że nie jest głodny i będzie dopiero na kolacji. Po zawartości garnka sądząc, to może i lepiej.

Lilka z impetem zgarnęła prawie nietkniętą porcję ogrodnika do kosza i wstawiła talerz do zlewu. Jako autorka dania nie próbowała się co prawda bronić, ale obiecała sobie, że kiedy Karol tylko wróci, to mu porządnie nagada.

Polecę mu po pensji, może to go czegoś nauczy! Poinformowała mściwie i tak mocno wyżyła ściereczkę przeznaczoną do mycia, że materiał wytarty od ciągłego używania pękł na całej długości. W końcu nie po to angażowały kucharza, żeby znowu spędzać czas w kuchni, w dodatku z mizernym skutkiem.

- Przepraszam cię, ale ja pójdę do siebie. Jestem zupełnie wykończona. - Jagoda z kanapkami i herbatą wyszła, zostawiając Lilkę samą na samą z natłokiem nie wesołych myśli. Co prawda emocje związane z Tomkiem siłą rzeczy zeszyły na drugi plan, jednak to, co się działo w hotelu, było naprawdę przysiębiające. Przez ostatnie tygodnie zdążyła się już przyzwyczaić do tego, że Jagoda tryskała optymizmem, radością życia i poczuciem humoru. Teraz, po spotkaniu z Laskowskim, wyglądała jak swój własny cień, choć przecież starała się nie rozklejać. Ależ ją musiał przestraszyć, pomyślała Lilka i nagle sama też poczuła się nieswojo. Odruchowo zerknęła w stronę okna.

- On tu nie wróci! - powiedziała głośno, próbując sama siebie przekonać. - Dostyc tego! - I zaczęła się zastanawiać, co poda nowym gościom na kolację, jeżeli Karola ciągle nie będzie.

Bo przecież nie gulasz.

* * *

Jagoda odłożyła niedojedzoną kanapkę na talerzyk i odstawiła go na szafkę nocną. Nie miała apetytu. Zawsze tak się działo, kiedy miała jakieś problemy.

Nie pomogły cztery gorące prysznicze, które wzięła od czasu włamania - ciągle czuła na sobie dotyk brudnych łap Laskowskiego. Koszmarne! Gdyby Michał wiedział...

A najgorsze, że poza wstrętem do tego sukinsyna, zaczęła się brzydzić samej siebie. Za to, że tak bardzo się go bała. Jak jeszcze nigdy i nikogo, i zupełnie nie potrafiła sobie z tym poradzić.

Podciągnęła nogi pod siebie i szczerze otuliła się kocem, choć przecież w pokoju nie było zimno. Chłód, który czuła, płynął z jej wnętrza.

Nagle drgnęła gwałtownie na dźwięk komórki, która odezwała się na stole.

Wstała niechętnie i wzięła aparat do ręki.

- Tak, słucham? - rzuciła do słuchawki mało zachęcającym tonem.

- Jagoda? Co się tam u was, do cholery dzieje?! - usłyszała w odpowiedzi poirytowany głos Eweliny. - Rozmawiałam przed chwilą z Lilką, ale ona ze mnie jakąś idiotkę robi. Jaka kradzież? Jakie włamanie? Coś mi zaczęła opowiadać, a potem rzuciła słuchawką. O co chodzi?!

Jagoda, chcąc nie chcąc, opowiedziała jej całą historię, choć przywoływanie szczegółów po raz kolejny nie było przyjemne. Na szczęście okazało się, że Ewelina ma do całej sprawy bardzo racjonalne podejście. Co prawda trochę się jednak zdenerwowała, ale jako osoba kompetentna w kwestiach kryminalnych oświadczyła autorytatywnie, że według niej ujęcie Laskowskiego jest kwestią najwyżej kilku dni. W końcu to miejscowy opryszek, doskonale znany policji. A o tym, żeby się pojawił ponownie na miejscu przestępstwa, to już absolutnie mowy nie ma.

- Spoko. Za cwany jest. Poza tym to statystycznie niemożliwe - stwierdziła Ewelina na koniec.

Ale mimo to Jagoda wiedziała swoje.

* * *

Piotrowscy przyjechali przed siódmą. Mili starsi państwo pod sześćdziesiątkę, wydawali się zachwyceni hotelem. Bardzo im się podobał front, bardzo im się podobał hol, bardzo im się podobał pokój i na dodatek otwarcie to wyrażali. Nawet kolację zjedli ze smakiem, choć składała się tylko z parówek i niezbyt świeżego testowego pieczywa. Nikt nie miał dzisiaj głowy, żeby się zajmować na szerszą skalę aprowizacją.

Kiedy już wyszli z jadalni, Lilka szybko posprzątała po posiłku i poszła do recepcji załatwić formalności. Choć na dworze było jeszcze całkiem widno, w holu po kątach zaczęły się już rozsnuwać cienie. Lilka przysiadła za kontuarem i zabrała się do wypełniania karty meldunkowej dla nowych gości. Czuła się przy tym trochę nieswojo. Tak, jakby ktoś ją cały czas obserwował.

- Obsesja! Nikogo tu nie ma - podsumowała pod nosem, ale mimo to co chwila podnosiła głowę i rzucała szybkie spojrzenie w kierunku okien.

I w kierunku drzwi, w nadziei, że za chwilę pojawi się w nich Karol. Ale jego jak na złość ciągle nie było.

Z ponurych rozmyślań dotyczących losu Karola oraz sytuacji w hotelu wyrwał ją dzwonek telefonu.

- Słucham, hotel „Pod Zielonym Trabantem” - zmusiła się, żeby jej głos zabrzmiał zachęcająco.

- Ja wiem, że hotel - usłyszała. - Chcę zarezerwować całość. Od jutra. - Męski głos w słuchawce był ostry i nieprzyjemnie apodyktyczny.

- Rozumiem. - bąknęła Lilka, choć tak naprawdę nic nie rozumiała. Całość? Od jutra? Czy to sen? - Oczywiście... Naturalnie... tak... Jest tylko mały kłopot, jeden z pokoi już jest zajęty... a ile miejsc pan potrzebuje?

- Potrzebuję całość.

Lilka ciągle nie wierzyła własnym uszom. Zbyt piękne, aby było możliwe. To na pewno jakieś zgrywy, pomyślała asekuracyjnie.

- No tak, proszę pana, ale jeden pokój mamy zajęty do środy.

Po drugiej stronie słuchawki zapanowała denerwująca cisza.

- OK. Biorę resztę - odezwał się w końcu mężczyzna. - Przyjedziemy jutro na kolację - najwyraźniej nie lubił długo dyskutować.

- Świetnie. - Do Lilki powoli zaczęło docierać, że to chyba prawda. - A na jak długo rezerwacja?

- Powiedzmy, że na tydzień.

- Jeśli chodzi o koszty, to będzie...

- Koszty nie grają roli - wszedł jej w słowo rozmówca.

- Na kogo mam wypisać rezerwację?

- Firma Spadex.
- Do widzenia panu - rzuciła radośnie Lilka, ale facet zdążył się już rozłączyć.

Chciała krzyknąć ze szczęścia. Mamy gości! Mamy gości! Mamy gości! Pełny hotel przez tydzień! Może wreszcie wyjdą na finansową prostą. I nagle pojawiła się w jej głowie myśl, która skutecznie zamieniła radosne oczekiwanie w kolejny problem - o Jezu! A jeżeli Karol nie wróci?

* * *

Było już dobrze po jedenastej, a Lilka nadal kręciła się w łóżku. Choć czuła się zmęczona natłokiem i wagą wydarzeń tego dnia, nie mogła zasnąć. Musiała sobie to wszystko jakoś poukładać: rozstanie z Tomkiem, tym razem już definitywne, sprawę tego włamania, zaginięcie kucharza i przyjazd nowej grupy... Niestety, w jej głowie panował coraz większy mętlik. Nagle poczuła, że musi pogadać z Jagodą. Może ona też jeszcze nie śpi? Wstała i uchyliła ostrożnie drzwi na korytarz.

Teraz, w nocy, wszystko wyglądało bardziej tajemniczo niż w dzień i Lilka zaczęła się bać. To tylko kilka metrów, pomyślała i w tym momencie od strony holu dobiegł ją głucho, miarowy odgłos. Serce podskoczyło jej do gardła, zanim zorientowała się, że to ktoś puka. O Boże, Laskowski wrócił, przebiegło jej przez głowę. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że włamywacze nie pukają prosząc, żeby ich wpuścić do środka, tylko, jak sama nazwa wskazuje, się włamują. No więc kto to?

Pukanie powtórzyło się.

Powinnam iść i sprawdzić, pomyślała. Zrobiła krok w kierunku pokoju Jagody, żeby ją poprosić o asekurację, kiedy nagle zdała sobie sprawę, że chciałaby samodzielnie stawić czoło tej nowej sytuacji. Zwłaszcza, że to prawdopodobnie jakiś gość, który nie zdążył zarezerwować pokoju. Przełamując strach, podeszła do frontowych drzwi.

- Kto tam? - spytała drżącym głosem.

- Pani Lilko, to ja! - dobiegł ją stłumiony, miły baryton. - Wojciech!

Lilka poczuła wszechogarniającą ulgę. Rzeźbiarz! W pośpiechu odsunęła łańcuch i otworzyła zasuwę.

- Jak to dobrze, że to pan! - Otuliła się szczerze szlafrokiem i ze zdziwieniem poczuła, że się rumieni. Całe szczęście, że nie zapaliła górnego światła – może gość nie zauważy jej pensjonarskiej reakcji.

Rzeźbiarz wszedł do środka. Brodaty i uśmiechnięty jak zwykle, wniósł ze sobą zapach nocnej wilgoci i powiew optymizmu.

- Najmocniej panią przepraszam! - zaczął się od progu usprawiedliwiać. - Ja wiem, że jest strasznie późno, ale miałem być wcześniej, po południu, chciałem jak zwykle zadzwonić z trasy, tylko że samochód mi się popsuł, czekałem dwie godziny, aż mi go ściągną i dadzą jakiś na wymianę... No i oczywiście jeszcze wyładowała mi się komórka! A ja dosłownie na jedną noc, bo jutro o świcie muszę być w Warszawie. Mam nadzieję, że pani nie obudziłem.

- Nie, skąd, nie mogłam zasnąć... - wyrwało jej się w odpowiedzi.

- To w takim razie dobrze, że przyjechałem - uśmiechnął się ciepło. - Zaraz coś na to poradzimy. - wyciągnął przed siebie butelkę francuskiego białego wina. - Z przeprosinami za kłopot... dla najsympatyczniejszej właścicielki hotelu, jaką znam.

W tym momencie Lilka nie wytrzymała. Stres i napięcie całego dnia wylały się z niej powodząc łez.

- Niech... mnie... pan... przytuli... - wychlipała.

Szlochając, rzuciła mu się na szyję i wtuliła twarz w jego ramię najmocniej, jak potrafiła.

ROZDZIAŁ 35

Jagoda obudziła się i gwałtownie usiadła na łóżku. Spocona i przerażona, dopiero po chwili zorientowała się, że jest u siebie w pokoju, a nie na peronie dworca w Czerwińsku, po którym jeszcze przed chwilą gonił ją Laskowski. To był sen, uświadomiła sobie, wzdychając ciężko i opadając na poduszkę. Tylko sen...

Ale mimo to nie uspokoiła się od razu. Leżała dłuższą chwilę, próbując wyrzucić spod powiek obraz bezczelnie uśmiechniętego mężczyzny, który poprzedniej nocy ponownie wdarł się w jej życie. W dodatku tak brutalnie. Nie mogła pozbyć się myśli, że ciągle gdzieś się na nią czai i jeżeli tylko znajdzie dogodny moment - zaatakuje. Choć i wujek, i Lilka tłumaczyli jej, że celem Laskowskiego była kradzież, nie więcej, że na pewno nie miało to nic wspólnego z jej osobą, ona ciągle nie mogła zapomnieć słów, które wyszeptała jej wtedy, na festynie.

Ciemność w pokoju rozpraszało światło małej lampki, którą specjalnie zostawiła na noc zapaloną, żeby czuć się raźniej. Zerknęła na leżący na stoliku obok telefon. Piąta trzydzieści. Za wcześnie, żeby wstawać... Zwinęła się w kłębek pod kocem i wtedy usłyszała na korytarzu kroki. Powoli, nieubłagane zbliżały się do jej drzwi...

O Boże! To ten sukinsyn! - pomyślała przerażona i zaczęła nasłuchiwać, rozglądając się jednocześnie w panice w poszukiwaniu jakiegokolwiek narzędzia obrony. Dopiero kiedy odgłos ucichł, oddalając się w stronę schodów, uświadomiła sobie, że to nie Laskowski, tylko pewnie Karol. Wrócił nareszcie, pomyślała. Z westchnieniem ulgi przewróciła

się na drugi bok, ułożyła wygodnie i już spokojniejsza, znowu zapadła w sen.

* * *

Kiedy około siódmej rano Lilka weszła do kuchni, powitała ją tam cisza i pustka. Ani śladu Karola. Nawet ściereczka w poziomki leżała dokładnie w tym samym miejscu, gdzie ją wczoraj rzuciła, czyli na samym środku kuchennego blatu.

- Jak to, nie ma go? - zdziwiła się Jagoda, która przyszyła minutę po przyjaciółce. - Niemożliwe! Przecież wrócił!

Lilka spojrzała na nią zdziwiona.

- Skąd wiesz?

- Słyszałam go nad ranem, jak szedł korytarzem. Naprawdę...

Lilka odchrząknęła.

- To musiałam być ja. W nocy nie mogłam spać i trochę się kręciłam po hotelu. - Wyjaśnienie, że to Rzeźbiarz opuszczał hotel nad ranem, w dodatku po nocy spędzonej w jej pokoju, jakoś nie chciało przejść jej przez usta. Na samo wspomnienie tych kilku godzin Lilka leciutko się uśmiechnęła. Było tak zaskakująco inaczej niż z Tomkiem. Żadnego oceniania, żadnych barier, ale przede wszystkim - żadnych obciążeń z przeszłości. Znalazła nie tylko pocieszenie, ale miała też dziwne uczucie, że w jej sercu otworzył się nowy rozdział...

- Hej! Lilka! - Jagoda patrzyła ze zdziwieniem na przyjaciółkę, która zamarła z błogim wyrazem twarzy. Lilka ocknęła się i energicznie ruszyła w kierunku holu.

- Chodź, sprawdzimy, może faktycznie jest u siebie.

Ale na pukanie, a potem walenie w drzwi pokoju Karola nikt nie odpowiadał.

- To jakiś absurd! - Jagoda niecierpliwie zabębniła palcami we framugę. - Po prostu się zabrał i zniknął. Ciekawe, czy nam nic nie zginęło, no wiesz...

- Jak go ostatni raz widziałam, to mówił, że ma rodzinne kłopoty i wyglądał na strasznie zdenerwowanego.

- Przecież on zawsze wyglądał na zdenerwowanego - przypomniała Jagoda przyjaciółce. - W ogóle dziwny jakiś taki był...

- Ale gotował świetnie. To znaczy gotuje. Nie mówmy o nim w czasie przeszłym, bo na pewno wróci, zobaczysz - oświadczyła stanowczo Lilka i znowu się uśmiechnęła.

- A co ty nagle masz takie optymistyczne podejście do życia? - zainteresowała się Jagoda - Wyglądasz, jakbyś właśnie...

- Jakbym właśnie co?

Jagoda przyjrzała się uważnie tryskającej energią przyjaciółce.

- No... - już chciała chlapnąć to, co miała na końcu języka, ale w ostatniej chwili się powstrzymała - ... jakbyś milion w totka wygrała. A tak przy okazji ci przypominam, od dzisiaj mamy na tydzień zarezerwowany cały hotel, więc jak się ten durny kucharz nie pojawi, to się nie pozbieramy.

Lilka uśmiechnęła się po raz kolejny.

- Jakoś sobie poradzimy. Zaraz przyjdzie Mazurowa. Jak do niej wczoraj dzwoniłam, to powiedziała, że póki co, może gotować. Z pomocą Renatki.

Jagoda sceptycznie pokręciła głową.

- Dobra, zobaczymy. Jeszcze jedno: jak faceta nie ma już drugi dzień, to może to trzeba zgłosić na policję, co?

Lilka popatrzyła na przyjaciółkę z niepokojem. - Tak myślisz? Ale my przecież nawet nie znamy jego nazwiska!

Jagoda wytrzeszczyła oczy ze zdumienia.

- Ty żartujesz! Nie spytałaś go o nazwisko?

- Oj, Jaguś, spytałam, ale jakoś mi tak niewyraźnie odpowiedział, a przecież papierów żadnych nie wypełnialiśmy. Pamiętasz, nie miał dowodu, bo mu ukradli.

- Ukradli, akurat! - Jagoda denerwowała się coraz bardziej. - Wiesz co, to wszystko podejrzanie wygląda. Uważam, że powinniśmy zajrzeć do jego pokoju.

- Myślisz, że on wcale nie wyjechał, tylko tam... no... leży? - w oczach Lilki pojawiła się panika.

- Przestań, zaraz leży... Ale jak ty nawet jego nazwiska nie znasz? Może coś znajdziemy, jakieś jego dokumenty czy co... Mówię ci, sprawdźmy. Idę po klucz.

Kiedy dwie minuty później stanęły na progu, ujrzały wnętrze doskonale posprzątane i prawie puste. Gładko zasłonięte łóżko, biała kucharska kurtka, rozwieszona równiutko na oparciu krzesła, na stole w wazonie kilka podechniętych kwiatków. W łazience znalazły jeszcze mydło w płynie, dezodorant marki Adidas i paczkę jednorazowych żyletek, to wszystko. Żadnych rzeczy osobistych, ubrań, nawet bielizny. Żadnego śladu. Nic.

- No to żeśmy się dowiedziały! - podsumowała Jagoda. Stała jeszcze przez chwilę na środku pokoju, uważnie rozglądając się dokoła, jakby sądziła, że jednak zdoła coś wychwycić. - Jeżeli on się jeszcze w ogóle kiedykolwiek pojawi, to go powinnaś wywalić na zbity pysk - dodała i w tym momencie na dole, w recepcji, zadzwonił telefon.

- Ja pójdę - Lilka ruszyła szybko do drzwi. - Może to Karol?

Ale to nie był Karol, tylko Jacek Świtek, komendant policji w Górkach Mazowieckich z informacją, że właśnie złapali Laskowskiego.

* * *

- Do widzenia! I jeszcze raz dziękuję! - Lilka ostrożnie odłożyła słuchawkę i pobiegła prosto do kuchni, podzielić się nowiną.

- Jagódka! Złapali go, złapali!!!

Przyjaciółka omawiała właśnie z Mazurową obiadowe menu. Stały na środku i gwałtownie gestykulując spierały o to, czy do wołowiny lepiej pasuje ryż, czy kartofle.

Kiedy Jagoda usłyszała, co się stało, rzuciła tylko zdumionej Mazurowej:

- Dobrze, to niech będą kartofle - a potem złapała Lilkę za ramiona. - Jesteś pewna?! - zapytała, potrząsając przyjaciółką. - JESTEŚ PEWNA?

Lilka przytaknęła energicznie głową.

- Złapali go, naprawdę. Już wszystko dobrze!

Jagoda nie mogła uwierzyć własnym uszom.

- Skąd wiesz?

- Dzwonił komendant z Górek Mazowieckich.

Jagoda pociągnęła przyjaciółkę do szalonego tańca wokół kuchennego stołu.

- Cu-do-wnie! Cu-do-wnie! - wyśpiewywała. - Lilka! To trzeba jakoś uczić. Chodź, pójdziemy na spacer. Pani Mazurowa tu sobie poradzi bez nas jakieś pół godzinki, prawda?

- Prawda, prawda... idźcie, kochaniutki, troszkę na słoneczko, boście blade takie, jakby was całe życie w piwnicy trzymali. Już ja tu wszystkiego popilnuję.

- Niedługo wrócimy, pani Mazurowa...

Spacer po rozgrzanym słońcem, pachnącym ogrodzie sprawił im przyjemność nie tylko z powodu pogody, ale również dlatego, że pierwszy raz od kilku dni poczuły się tutaj naprawdę bezpiecznie. Może dlatego odważyły się nawet zapuścić pomiędzy stare jaśminy, rosnące niedaleko miejsca, gdzie kilka dni wcześniej Lilka znalazła powieszonoego psa. Akurat te krzewy kwitły wyjątkowo długo i obficie, a trzeba było przygotować dużo świeżych kwiatów do ozdobienia zarezerwowanych pokoi.

Kiedy przedzierały się przez gęstwinę, odgarniając wplątujące się we włosy gałęzie, Lilka nagle pochyliła się i podniosła coś z ziemi.

- Patrz! - podsunęła przyjaciółce pod nos wymięty, zawilgocony, brudny, ale niewątpliwie autentyczny stuzłotowy banknot. - Czy ty widzisz to samo co ja?

- Stówka! Ja nie mogę! - jęknęła zachwycona Jagoda. - Pokaż! Prawdziwa?

- Chyba tak...

Dziewczyny przystąpiły do dokładnych oględzin.

- No, zobacz, to na szczęście! - Jagoda nie posiadała się z radości. - Zły los się odmieni, jak w bajkach. Tego drania złapali, pieniądze same nam się pchają do ręki.

- Fajnie jest coś znaleźć. Ja kiedyś znalazłam dwa złote przed sklepem. Ale żeby aż stówkę... Ciekawe, skąd się tu wzięła?

Jagoda rozejrzała się dookoła i pokręciła z niedowierzaniem głową.

- Sama nie przyszła, a to miejsce na bardzo uczęszczane nie wygląda. Chyba że to ten drań Laskowski zgubił, jak się tu na nas zaczął.

- Albo ogrodnik - podsunęła rozwiązanie Lilka, błędząc wzrokiem po ziemi. - O rany! Druga!

Schyliły się jednocześnie i stuknęły głowami. Rzeczywiście, w trawie leżał kolejny banknot, w podobnie oplakanym stanie co poprzedni. Tym razem podniosła go Jagoda i obejrzała nieufnie.

- Nie, no, to jest jakieś nienormalne! Żeby pieniądze się poniewierały w ogrodzie?

- Jaguś, może powinniśmy przeszukać cały teren? Ale by było, jakbyśmy znalazły jeszcze więcej! Jagoda roześmiała się ironicznie.

- Aha, już to widzę. Szykuj worki... Lepiej chodźmy się popytać, kto zgubił te dwie stówki, zanim się do nich przyzwyczaimy

Ogrodnika znalazły go przy grządkach z pomidorami, gdzie podwazywał właśnie krzaki do tyczek.

- Dzień dobry, panie Antoni. - pierwsza przywitała się Lilka.

- Dobry - odburknął pod nosem.

- Przyszliśmy zapytać... no, czy nie zginęło panu coś ostatnio? Może jakieś pieniądze?

- A co, ja niedorajda jaki jestem, że mnie panie co i rusz o zguby posądzają? - uniósł się ogrodnik. - Tym sukinkotem się martwię, ot co! Włamywaczem cholernym!

- To już może pan przestać, panie Antoni. Z policji dzwoniли, że złapany - wyjaśniła szybko Jagoda.

- A to czemu mnie nikt nic nie mówi? - zirytował się. - Czy to ja nie mam prawa takich nowin znać, czy co?

- My też się dopiero dowiedzieliśmy i od razu przybiegłyśmy panu powiedzieć!

- No tak... - nabzdyczył się ogrodnik, splunął na bok i burknął niechętnie: - Robotę mam... - po czym wziął się z powrotem do wiązania krzaków.

- Ojej, my też przecież - roześmiały się dziewczyny. - Do widzenia, do zobaczenia na obiedzie - krzyknęła Jagoda i obie puściły się prawie biegiem w stronę hotelu. Ogródnik odprowadził je zgorzonym spojrzeniem.

- Niby to dorosłe... - pokręcił z niesmakiem głową.

* * *

Wieczorem wszystko w hotelu było już zapięte na ostatni guzik. Dziewczyny, podenerwowane, od godziny kręciły się przy recepcji. W kuchni, przepasana wielkim kwiecistym fartuchem, królowała Mazurowa, krojąc, mieszając i dyrygując Renatką. A Karola nadal nie było.

Około dwudziestej na podjeździe rozległ się odgłos silnika nadjeżdżającego samochodu i po chwili w drzwiach stało czterech mężczyzn.

Ubrani byli z tak ostentacyjną elegancją, jakby przyjechali nie na biznesową konferencję, ale na ślub. Dziewczyny aż zatkęły z wrażenia.

- Ty, patrz, jacy odstawieni - Jagoda puknęła łokciem Lilkę. - Jakaś rada nadzorcza czy co?

- Ciiicho - syknęła Lilka, kładąc palec na ustach.

Mężczyźni ciągle stali w progu i uważnie rozglądali się dookoła.

- Jak na radę, to

za dobrze umięśnieni - zdążyła jeszcze dodać szeptem Jagoda, przywołując na twarz powitalny uśmiech.

Rekiny biznesu, pomyślała jednocześnie Lilka. Ciekawe, co ich skłoniło, żeby wybrać właśnie nasz hotel?

Goście w końcu ruszyli zwartą grupą w kierunku recepcji. Pierwszy szedł szczupły blondyn o chłodnych oczach i zdecydowanym wyrazie twarzy. On jeden nie niósł żadnego bagażu. Wyglądał na szefa.

- Firma Spadex. Mamy telefoniczną rezerwację.

- Tak, oczywiście. Pokoje już na panów czekają.

- To mój... asystent - blondyn niedbale wskazał ręką stojącego przy nim niskiego mężczyznę o mocno odstających uszach. - Marian, załatw tu z panią... - wydał polecenie i ruszył w stronę foteli pod oknem. Dwaj pozostali podążali za nim krok w krok.

- Ile pokoi dla panów? - spytała Lilka.

- Wszystkie - usłyszała w odpowiedzi.

Przez chwilę miała wrażenie, że się przesłyszała.

- Ale przecież... panów jest tylko czterech...

- Zarezerwowaliśmy cały hotel, nie? Więc chcemy klucze do wszystkich pokoi. Klient płaci, klient wymaga. Mam powtórzyć? - uszaty powiedział to cicho spokojnym, chłodnym głosem.

- Nie, oczywiście, już daję. - Lilka położyła klucze na blacie. Drewniane kule głośno zagrzechotały o ladę. Mężczyzna zebrał je w gruby pęk i chciał już odejść, ale Lilka zatrzymała go gestem.

- Przepraszam, ale potrzebny będzie przynajmniej jeden panów dowód osobisty.

- Dowód? - uszaty zerknął szybko na szefa, ale zaraz się zreflektował i wyciągnął dokumenty z wewnętrznej kieszeni ciemnoszarej marynarki.

- Dziękuję bardzo - Lilka odłożyła dokument do szuflady. - Chciałabym jeszcze tylko wiedzieć, kiedy przyjadą pozostali goście.

- Pozostali? - zdziwił się. - Zaraz zapytam. Szefie! - zwrócił się do blondyna. - Pani się pyta, kiedy reszta ma przyjechać.

- Jutro - odpowiedział szybko mężczyzna. - Albo pojutrze. To nasi kontrahenci, czekamy na potwierdzenie.

- Gdyby mógł nas pan wcześniej uprzedzić, chodzi o ilość przygotowywanych posiłków... - zwróciła uwagę Lilka.

- Powiem, jak będę wiedział. Pokaże nam pani drogę?

- Chętnie - Lilka uśmiechnęła się uprzejmie i wyszła z recepcyjnej lady.

Wróciła dopiero po kwadransie.

- No, jesteś nareszcie! - roześmiała się Jagoda. - Już się bałam, że cię wzięli w jasyr.

- Przestań, co ty mówisz? - zachnęła się Lilka. - To bardzo sympatyczni panowie. Szczególnie ten prezes. Serdeczny taki. Bardzo mu się u nas podoba i w ogóle... Chwalił wystrój...

- Chwalił wystrój?!

- Przecież mówię. I rozgadał się, jak to ciężko teraz w biznesie... no wiesz, jakie ma problemy czasem z kontrahentami... Naprawdę miły. A ty co myślisz?

- Czy ja wiem... - skrzywiła się Jagoda. - Cały czas nie mogę się nadziwić, dlaczego akurat nasz hotel wybrali. Jednak na zadupiu.

- Czy to nie wszystko jedno? - wzruszyła ramionami Lilka. - Chyba planują tu jakieś spotkanie z drugą firmą, słyszałaś przecież... - Nagle złapała się za głowę.

- Jejku, zupełnie zapomniałam. Poprosili o tequilę! Jagódka! Skąd ja im wezmę alkohol?

- Jak to skąd? Od wujka. Tylko będziesz im musiała przekonująco wytłumaczyć, że tequila właśnie wyszła, za to dysponujemy rewelacyjną wiśnióweczką.

ROZDZIAŁ 36

Następnego dnia zaraz po kolacji zmęczone dziewczyny przysiadły na chwilę na fotelach w holu. Za sobą miały cały dzień, wypełniony obowiązkami i spełnianiem życzeń gości, a przed sobą perspektywę krótkiego odpoczynku. Nareszcie. Hotel był cichy i pusty - Mazurowa i Renata posprzątały, pozmywały i poszły do domu, wujek siedział u siebie i oglądał telewizję, biznesmeni oznajmili, że idą się przejść po parku, a Piotrowscy zaraz po obiedzie wymeldowali się i z dziwnymi minami opuścili hotel.

- Słuchaj, właściwie dlaczego oni wyjechali już dzisiaj? - spytała Jagoda, bawiąc się smyczą Hugona, leżącą na stoliku pod oknem. - Przecież mieli zostać dłużej. Tak im się u nas niby podobało...

- Nie mam pojęcia. Pewnie coś im wypadło... - Lilka tym razem nie szukała powodu do zmartwień. - Zresztą nieważne, finansowo nie jesteśmy stratne, bo Spadex i tak płaci za wszystko. Ten prezes od początku nalegał, żeby cały hotel był do ich wyłącznej dyspozycji, więc może nawet lepiej, że ci Piotrowscy się wynieśli.

Jagoda zmarszczyła brwi i przez chwilę było widać, że o czymś intensywnie myśli.

- Wcale bym się nie zdziwiła - powiedziała w końcu, od-
ruchowo ścisząc głos - gdyby się okazało, że panowie biz-
nesmeni mieli z tym coś wspólnego.

- Z czym?

- Z wyjazdem Piotrowskich. Pamiętasz, po obiedzie pre-
zes z nimi rozmawiał. Podeszedł do nich do stolika... Jak
teraz o tym myślę... Przecież jak im Renata podawała zupę,

to pytali, co będzie na kolację, sama słyszałam. A pół godziny później już byli na dole z bagażami. Mówię ci, on w tym maczał palce!

- Daj spokój, Jagoda! - Lilka machnęła ręką, jakby się odpychała od natrętnej muchy. - Po co miałyby to robić? Zresztą nawet jeśli, to co nam do tego? Przecież nic się nie stało.

- Na razie nic. Ale zwróć uwagę, że oni w ogóle jacyś są dziwni. Zauważyłaś, jak się wszędzie kręcą? Po ogrodzie, po domu... Byli już chyba we wszystkich pokojach, do których mają klucze, nawet w pralni na jednego wlałam. Tłumaczył się, że zablądził i wypytywał, czy mamy tutaj strych, piwnicę... A Mazurowa się skarżyła, że co chwila któryś po coś do kuchni wpada i zagaduje... Jakoś za mało się zajmują biznesem, a za dużo - wtykaniem nosa.

- No to co, przecież płacą - upomniała ją Lilka. - Może najpierw muszą odreagować stres, wiesz, jak to jest w dużych firmach...

Zamilkły. Lilka podciągnęła kolana pod brodę, otoczyła je ramionami i zapatrzyła przed siebie.

- Popatrz, jak teraz śmiesznie wygląda nasza tablica na klucze - zwróciła nagle uwagę. - Kompletnie pusta. To chyba najpiękniejszy widok dla właściciela hotelu...

Jagoda drgnęła.

- Jak to pusta? - zdziwiła się. - Przecież niedawno odwieszałam klucze po Piotrowskich, no i jeszcze powinien być klucz od pokoju Karola.

Wstała i podeszła do lady recepcji. Rzeczywiście, na żadnym haczyku nic nie wisiało.

- Lilka, co jest? - spytała. - Przecież się nie rozplynęły.

Lilka nie bardzo wiedziała, co odpowiedzieć.

- Może... może Mazurowa wzięła, żeby posprzątać?

- Jeżeli, to co najwyżej u Piotrowskich. Bo u Karola niby po co?

Popatrzyły na siebie, zdezorientowane, i nagle obie wpadły na ten sam pomysł.

- Wrócił?! - krzyknęły prawie jednocześnie.

- Chodź szybko, musimy sprawdzić - ożywiła się Jagoda.

Pobiegły na górę i podniecona Lilka załomotała z całej siły w drzwi.

- Ty się lepiej tak nie ciesz, tylko pomyśl, co mu naga-dasz - szepnęła Jagoda, nasłuchując reakcji po drugiej stro-nie. Ale w pokoju panowała absolutna cisza...

Dziewczyny patrzyły na siebie z coraz większym zdziwie-niem.

- No popatrz, i znowu pudło - zmarkotniała Lilka.
- A tak się ucieszyłam.

Już miały stamtąd odejść, kiedy nagle Jagoda, nie zasta-nawiając się, co robi, po prostu nacisnęła klamkę. Drzwi otworzyły się z lekkim skrzypnięciem...

To co zobaczyły, było szokujące. Pokój wyglądał jak po trzęsieniu ziemi połączonym z huraganem. Całą podłogę, stół, dosłownie wszystko pokrywała warstwa pierza. Roz-pruta i wybebeszona poduszka, leżąca na ziemi, wyglądała jak jakieś martwe zwierzę. Z nacięć w tapicerce tapczanu wychodziły sprężyny. Szuflady w szafie i stoliku były wysu-nięte, szafka nocna leżała przewrócona na bok a od krzesel odłamano nogi.

- Jagoda! - przerażona Lilka złapała przyjaciółkę za ramię. - Co tu się stało?

Brodząc w białym puchu weszły ostrożnie do środka. Ja-goda schyliła się, podniosła pustą poduszkę i obejrzała ją uważnie.

- Ktoś czegoś szukał. I bardzo chciał znaleźć. Nic tu sa-me nie wymyślimy. Trzeba jak najszybciej wezwać policję.

Odwróciła się w kierunku drzwi, kiedy wyrósł w nich wu-jek Stanisław.

- Wujku! - Lilka zrobiła krok w jego stronę. – Nie uwierzysz!

Na korytarzu dał się słyszeć czyjś śmiech.

- Uwierz, uwierz - usłyszały obcy, ostry głos. Wuj zachwiał się, pchnięty mocno od tyłu, a zza jego pleców wyłonił się prezes Spadexu w eleganckim garniturze i z pistoletem w rękę.

- No włąz, kurwa - popchnął starszego pana znowu, ale tym razem dużo mocniej. Wuj upadł na ścianę i osunął się po niej, uderzając głową w brzeg stołu. - Pozwolą panie, że się przyłączymy?

* * *

- Kurwa, znowu nic! - Zebra z całej siły rzucił o podłogę porcelitowym półmiskiem. - Gdzie ten pojeb to schował!

Przeszukali, metr po metrze, cały hotel. Zaczęli w ciągu dnia od pokoju kucharza, ale nie znaleźli nic, żadnego śladu po torbie z pieniędzmi, żadnej wskazówki, gdzie może być ukryta. Później sprawdzili dokładnie wszystkie inne hotelowe pokoje, bez efektu. Szrek przez cały dzień myszkował po ogrodzie i też nic. Następnym miejscem do przetrzepania była kuchnia, ale tego nie mogli już zrobić chyłkiem. Dlatego najpierw musieli unieszkodliwić te dwie idiotki i starucha. Zamknęli ich więc w pokoju kucharza pod okiem Zdzicha, a Zebra ze Szrekiem i jego młodszym bratem, Korbą, bez przeszkód zajęli się szukaniem.

- Szefie, nie ma tego tutaj - odezwał się Szrek, rozgarniając nogą leżące wszędzie skorupy. - Pewnie zakopał w ogrodzie.

- Dobra, to dawaj tego, kurwa, ogrodnika - warknął Zebra.

Kwadrans później Szrek wepchnął do kuchni Antoniego. Stary, chociaż miał związane z tyłu ręce, szarpał się ostro i wrywał.

- Gadaj, gdzie on schował forszę! Bo jak nie, to ci tak przypierdołę... - Zebra chwycił go za przód koszuli i przyciągnął do siebie. - No, mów!

W odpowiedzi ogrodnik plunął mu w twarz.

- O żeż ty! - Zebra uderzył go z całej siły. Stary człowiek zachwiał się i upadł nieprzytomny na ziemię.

- Co jest, do kurwy nędzy! - Zebra z taką siłą kopnął w szafkę kuchenną, że cienkie drzwiczki z płyty pilśniowej rozpadły się na kawałki, a ze środka wypadły z brzękiem kolorowe porcelitowe talerze. Najwyraźniej to mu nie wystarczyło, bo potem cisnął o ścianę czajnikiem, a następnie zaczął się miotać jak szalony, kopiąc w co popadnie i siarczyscie przeklinając. Przestraszony Szrek kiwnął na brata, złapali ogrodnika za ręce i czym prędzej wyciągnęli go z kuchni. Kiedy szef wpadał w szal, lepiej było zejść mu z oczu.

Kilka minut później Zebra w końcu się uspokoił. Ciężko oddychając przysiadł na brzegu stołu i niecierpliwie zapalił papierosa. Musiał przemyśleć parę rzeczy.

Nic, kurwa, nie szło tak, jak powinno. I to już od samego napadu. Najpierw ten pierdolony kucharz, co to się wydawało, że do dwóch nie potrafi zliczyć, podprowadził im połowę łupu. Związał z torbą, ich torbą, którą miał tylko przemieść przez policyjną kontrolę. Sukinsyn, zapadł się z forszą pod ziemię i przez kilka dni nie mogli go w żaden sposób namierzyć. W końcu, żeby go jakoś wywabić z ukrycia, przycisnęli tę jękliwą staruchę, jego matkę, tak mocno, że wylądowała w szpitalu. Czekali tam na niego i oczywiście przylazł, kretyn jeden. Niby próbował ich potem zmylić, ale szli

za nim jak po sznurku. I trafili do tej dziury.

Zebra chciał z niego szybko wycisnąć informację, gdzie jest kasa - nie spodziewał się żadnego oporu po mięczaku. Tylko że on im zaczął wstawiać bajer, że ktoś mu forszę doprowadził. Że niby chciał zakopać i ktoś mu wtedy całą torbę gwizdnął. Pierdzielone bajeczki! To tak się na niego wkurzył, że przedobrzył i facet wykitował. Gówniana sprawa, zamiast forsy mieli trupa. Co prawda udało im się go jakoś pozbyć w gliniance, ale dalej nie wiedzieli, gdzie szukać torby.

A jeżeli ten cholerny Kamil mówił prawdę? - zaniepokoił się nagle Zebra. A jeżeli rzeczywiście ktoś mu te pieniądze podpieprzył?

No to, kurwa mać, trzeba będzie przycisnąć towarzystwo. Ktoś coś musi wiedzieć.

ROZDZIAŁ 37

Dochodziła dziesiąta wieczorem. Teren wokół glinianki, oświetlony przez dwa przenośne reflektory i ogrodzony biało-czerwona policyjną taśmą, dwie godziny wcześniej objęła w posiadanie ekipa dochodzeniowa. Ślady na brzegu zostały już zabezpieczone, ale grupa płetwonurków ze straży pożarnej nadal pracowała w wodzie.

- Dobra, gotowe - Ewelina pstryknęła ostatnie zdjęcie, wyprostowała się i odsunęła, robiąc miejsce funkcjonariuszowi, który pochylił się i zasunął suwak czarnego foliowego worka na zwłoki.

- Jak wyszedł? - usłyszała zadane żartobliwym tonem pytanie. Tuż obok pojawił się wysoki, szczupły szatyn w okularach. Pod niepozornym wyglądem kryło się nieprzeciętne poczucie humoru oraz jeden z najtęższych policyjnych umysłów stolicy. Komisarz Czarek Szewczyk, ulubiony oficer dochodzeniowy Eweliny, tego wieczoru dowodził całą akcją. Uśmiechnęła się do niego.

- Biorąc pod uwagę okoliczności, to nawet nieźle. Ile on w tej wodzie leżał?

- Jakies trzy, cztery dni, dokładnie będzie wiadomo po sekcji. Poleżałby sobie jeszcze dłużej, gdyby nie chłopaki ze wsi. Zachciało im się po paru głębszych popływać przy księżycu. - Szewczyk machnął niedbale ręką w kierunku siedzących trochę dalej trzech skulonych, okrytych kocami postaci. - Podobno odkąd jest basen w Grodzisku, to mało kto tu przychodzi.

- Nie dziwię się - pokiwała głową Ewelina. Nawet po ciemku można było dostrzec, że jakoś wody pozostawia wiele do życzenia.

- Na kiedy będziesz gotowa? - Szewczyk przyglądał jej się z nieodgadniętym uśmiechem na twarzy. Postanowiła się z nim podroczyć.

- A z czym?

- Ze zdjęciami na przykład?

Już miała odpowiedzieć coś dowcipnego, ale w tym momencie podszedł do nich Muszyński. Aspirant sztabowy Muszyński. Służbista i nudziarz. Jego obecność jakoś nie sprzyjała żartom.

- Obrobę w nocy, na rano będziesz miał w komputerze - rzuciła więc sucho. - Pasuje?

- Pasuje.

- Panie komisarzu, mamy dalej przeszukiwać teren? - wtrącił się Muszyński.

- Za ciemno. Wrócimy rano. Pogoń chłopaków, będziemy się zbierać.

- Tak jest! - aspirant odwrócił się na pięcie i odszedł, a Ewelina zaczęła chować sprzęt do futerału.

Komisarz Szewczyk podszedł bliżej i wyciągnął z kieszeni miętową gumę do żucia.

- Chcesz? - zaproponował, a kiedy Ewelina pokręciła przecząco głową, spytał: - Co właściwie robiłaś, kiedy nas wezwali?

- Byłam na randce.

Szewczyk drgnął i zmrużył oczy.

- A serio?

- Leżałam w wannie z książką. Gdyby ten topielec nie był taki zmasakrowany, Grodzisk nie musiałby nas wzywać i leżałabym sobie dalej.

- A tak polatałaś po świeżym powietrzu... - puścił do niej oko. - Jedziesz już?

Ewelina uśmiechnęła się przekornie.

- Aha. I nie mów, że ci z tego powodu przykro. Chcę wpaść jeszcze na chwilę do siostry, mieszka tu niedaleko. Odezwę się jutro.

- Mam nadzieję. I żeby mi te zdjęcia faktycznie były na rano - pogroził jej żartobliwie palcem.

- Jasne, szefie - Ewelina roześmiała się, przesłała mu końcami palców całusa i ruszyła szybkim krokiem w kierunku zaparkowanego kawałek dalej suzuki. Wrzuciła do bagażnika sprzęt i wsiadła do auta. Gryzło ją coś w rodzaju wyrzutów sumienia, ponieważ od kilku dni nie odzywała się do siostry. Zwalilo jej się na głowę tyle pracy, że nie miała czasu na nic, a już na pewno nie na telefoniczne pogawędki. Co prawda dostała od niej nawet esemes, że bandyta, który włamał się do hotelu, został złapany, jednak ani nie odpisała, ani nie oddzwoniła.

Sięgnęła po komórkę i wybrała numer Lilki, ale ona oczywiście nie odbierała. Jak zwykle. Ewelina uruchomiła silnik i ostrożnie ruszyła wyboistą, polną drogą w stronę hotelu. No, to będą miały dziewczyny niespodziankę, pomyślała. Ale co tam. Miała straszną ochotę napić się z nimi herbaty i odreagować. W końcu trup to trup.

* * *

- Zgłupiały czy co? - irytowała się Ewelina, szarpiąc zamkniętą bramę. - A jakby jakiś gość chciał przyjechać?

Wróciła do samochodu, wyłączyła silnik i wyjęła kluczyki ze stacyjki. Skoro już tu była, nie zamierzała odchodzić z kwitkiem. Schowała do kieszeni komórkę, zamknęła auto i podeszła do ogrodzenia. Siatka była solidna - mocno naciągnięta i z dużymi oczkami. Pokonanie jej nie zajęło Ewelinie nawet minuty. Kiedy już była po drugiej stronie, zatrzymała

się. Właściwie po winna iść prosto do hotelu, ale jak się zagada z dziewczynami, to potem może nie mieć czasu odwiedzić swojego ulubieńca. Więc po chwili wahania, zamiast do głównego wejścia, skierowała się w stronę garażu.

Drzwi jak zwykle nie były zamknięte. Ewelina zapaliła światło i uśmiechnęła z satysfakcją na widok autka. Trabant wyglądał o wiele lepiej niż wtedy, kiedy go znalazły. Podczas ostatniej wizyty Ewelina umyła go i porządnie nawoskowała, więc teraz karoseria odbijała światło żarówki, wypełniając niewielkie wnętrze zielonymi błyskami.

- Cześć, malutki - poklepała go czule po dachu. - Jak się czujesz?

Trabant z oczywistych względów nie odpowiedział.

- Musisz być cierpliwy. Uruchomię cię niedługo, zobaczysz. Pojedziemy sobie na przejażdżkę...

Przerwała i zaczęła nasłuchiwać. Czyjej się wydawało, czy rzeczywiście na dworze ktoś krzyknął? Odruchowo zgasiła światło, uchyliła ostrożnie drzwi i wyjrzała w ciemność.

Cisza. Słysząc było tylko cykanie świerszczy i donośny rechot żab, dobiegający od strony łąk. Przewidziało mi się, pomyślała Ewelina i sięgnęła dłonią do kontaktu.

- Ruszaj się, ale już! - usłyszała czyjś nieprzyjemny, stłumiony głos, a zaraz potem jęk i stek przekleństw. Zamarła. Rozległ się chrzęst żwiru... Ścieżką biegnącą na tyłach hotelu ktoś nadchodził.

Ewelina, choć nie była tchórzem, poczuła lęk. Może dlatego, że przed chwilą miała do czynienia z trupem, a może dlatego, że przypomniało jej się włamanie do hotelu... Cofnęła się do wnętrza garażu i przymknęła drzwi, przytrzymując dłonią klamkę. Tak na wszelki wypadek.

Odgłos kroków zbliżał się niepokojąco. Kto to może być, zastanawiała się nerwowo Ewelina. O tej porze? Tutaj?

- Nie szarp się, ty pierdolony dziadu! - usłyszała wyraźnie. Obcy musieli być bardzo blisko. - I tak wszystko powiesz. Czekać tylko, aż się szef za ciebie weźmie. Jak się będziesz stawiał, to ci jaja odstrzeli.

Do przerażonej Eweliny dobiegły odgłosy szamotania, zakończone przeciągłym jękiem. Ktoś znowu zaklął, a potem rozległo się ciężkie szuranie, które powoli oddaliło się w kierunku hotelu.

O Boże! - przyłożyła dłoń do ust. - Co tu się dzieje?! Gdzie Lilka?!

Wyszarpnęła telefon z kieszeni i drżącymi palcami wycisnęła numer siostry.

- Abonent jest poza zasięgiem sieci albo ma wyłączony telefon...

Powtórzyła wybieranie - to samo. Więc, niewiele się zastanawiając, w spisie numerów znalazła Czarka Szewczyka.

- Hej! - usłyszała po chwili jego ciepły głos. - Nie mów mi, że się za mną stęskniłaś...

- Daj spokój. Jestem u siostry w hotelu. Słuchaj, tu się dzieje coś dziwnego...

* * *

Byli uwięzieni od godziny. Dziewczyny siedziały obok siebie, skulone i oparte plecami o ścianę. Naprzeciwko nich, po drugiej stronie pokoju, wśród rozsypanego na podłodze pierza leżał wuj Stanisław. Odkąd bandyci go tam rzucili, jeszcze się nie poruszył. Może był tylko nieprzytomny, a może...

Przerażona Lilka nie mogła oderwać od niego wzroku. To było zbyt straszne, żeby mogło być prawdziwe. Z minuty na minutę bała się coraz bardziej. O starszego pana, o siebie, o to co z nimi zrobią... Po jej policzkach spływały bezgłośnie łzy, których nawet nie próbowała powstrzymać.

Za to Jagoda cały czas ukradkiem rozglądała się po pokoju, myśląc gorączkowo, jakby się można było stąd wydostać. Ona też się bała, jednak na nią strach działał mobilizująco. Ale sytuacja nie wyglądała dobrze. Przy drzwiach, na taborecie, siedział jeden z bandytów. Pistolet włożył sobie nie dbale za pasek od spodni i ssał wykałaczkę, co jakiś czas rzucając Jagodzie zaczepne spojrzenie.

Udawała, że tego nie zauważa. Na razie nie chciała go prowokować.

Z dołu zaczęły nagle dobiegać dziwne hałasy: brzęki, stukoty, odgłosy tłuczonego szkła... Lilka drgnęła niespokojnie i zasłoniła twarz rękami.

Co z nami będzie? O Jezu, co oni z nami zrobią? - kołatało jej się w głowie rozpaczliwie, a paraliżujący strach odbierał jasność myślenia.

Minęło kolejnych kilka minut. Nagle drzwi na korytarz stanęły otworem.

- O Boże! - Lilka chwyciła kurczowo Jagodę za ramię.

Dwóch bandytów wciągnęło do pokoju zakrwawionego ogrodnika. Rzucili go brutalnie na podłogę, a potem jeden z nich kopnął go z całej siły w brzuch. Ogrodnik przejmująco jęknął.

- Korba, odpiardol się od niego! - rozkazał ten drugi. - Idziemy!

Kiedy tylko drzwi się za nimi zamknęły, Jagoda zerwała się z podłogi, ale ostry głos strażnika osadził ją na miejscu.

- Siadaj, dziwko.

Ociągając się, wróciła na swoje miejsce i ukucnęła pod ścianą. Była wściekła i zdesperowana. Coraz wyraźniej zdawała sobie sprawę, że to wszystko może się dla nich bardzo źle skończyć. A jeżeli tak, to trzeba było coś zrobić. I to jak najszybciej. Musiała zaryzykować.

- Liluś - szepnęła. - Ja odwrócę jego uwagę, a ty uciekaj.

Lilka patrzyła na nią nic nierozumiejącym wzrokiem.

- Lilka! - powtórzyła głośniejszym głosem, a bandyta przy drzwiach przeniósł spojrzenie z nieprzytomnego ogrodnika na Jagodę.

- Kurwa, przymknij się. Ale już! - warknął.

- Spróbuj mnie zmusić! - odpowiedziała hardo Jagoda.

Bandyta wstał i z zaciętym wyrazem twarzy ruszył w jej kierunku, zaciskając do ciosu prawą pięść.

Lilka obserwowała tę scenę z rosnącym przerażeniem. O Jezu, on jej zaraz coś zrobi! - uświadomiła sobie, kuląc się i jeszcze bardziej wciskając w kąt. Mężczyzna pochylił się nad Jagodą, chwycił ją za włosy i zaczął podnosić.

Uderzy ją! Lilka zacisnęła mocno powieki i ukryła twarz w dłoniach. Ratunku!

Jakby w odpowiedzi na jej bezgłośnie wołanie, drzwi znowu się otworzyły. Bandyta, który trzymał Jagodę, natychmiast ją puścił. Ale zamiast oczekiwanej pomocy, do pokoju wtargnął prezes. Był bez marynarki, w rozchełstanej, poplamionej koszuli, a wyraz jego twarzy nie wróżył nic dobrego.

Przebiegł wściekłym spojrzeniem po więźniach i wycedził:

- Gdzie jest forsa? Gdzieście ją, kurwa, schowali? - widać było, że ledwo nad sobą panuje.

Odpowiedziała mu cisza, przerywana stłumionym pochłipywaniem Lilki.

Prezes dopadł do leżącego nieruchomo na podłodze wuja i zaczął go bezlitośnie kopać.

- Gdzie moja forsa?! Zabiję eh...a! Zatlukę jak psa! Wszystkich zatlukę! Gdzie forsa, kurwa, gdzie?!!! - wrzeszczał, nie zwracając uwagi na ciche jęki maltretowanego wuja i szloch obu dziewczyn.

- On go zabije! - Lilka uczepiła się ramienia Jagody. - Zabije go!!! A potem nas!

I w tym momencie z dołu dobiegło wołanie:

- Szefie! Ja pierdołę! Szybko!

Prezes ostatni raz kopnął starszego pana, splunął na podłogę i warknął w stronę skulonych w rogu dziewczyn:

- To jeszcze, kurwa, nie koniec - po czym wybiegł z pokoju.

Lilka jęknęła i chwyciła Jagodę kurczowo za rękę. Przyjaciółka objęła ją mocno i zaczęła głaskać po plecach, odruchowo próbując ją uspokoić, choć sama również była na granicy hysterii. Pilnujący ich bandyta zaczął bawić się swoją spluwą i Jagoda, jak zahipnotyzowana, nie mogła odebrać od niej wzroku. Strach obezwładnił ją tak bardzo, że bała się wykonać jakikolwiek gest, żeby nie sprowokować osiłka. Nagle z ogrodu dobiegł wyraźny huk wystrzału.

Przerażone dziewczyny wtuliły się w siebie, a typek przy drzwiach podbiegł do okna i wyrzwał w ciemność. Z jego ust popłynęła soczysta wiązanka przekleństw.

- Siedzieć tu, bo flaki wypruję - rozkazał i wybiegł na korytarz.

Jego ciężkie kroki załomotały na schodach...

Na dole ktoś krzyknął. Lilka dostała hysterii.

- Zabiją nas! - jęczała. - Zabiją! - Ukryła twarz w ramionach i zaczęła się kiwać do przodu i do tyłu, powtarzając w kółko te same słowa.

Jagoda zerwała się na równe nogi, podbiegła do drzwi i szarpnęła klamkę. Nie ustąpiły.

- Zamknięte!!!

W tym momencie usłyszały, że ktoś biegnie po schodach na górę i rozległ się odgłos przekreścanego klucza. Jagoda odskoczyła pod ścianę i z całej siły zacisnęła pięści, aż paznokcie wbiły jej się w ciało... Była zdecydowana na wszystko....

Drzwi otworzyły się gwałtownie i stanął w nich wysoki, szczupły mężczyzna w okularach.

- Tutaj są! - krzyknął wychylając się na korytarz i zanim dziewczyny zdążyły zareagować, do pokoju z impetem wpadła Ewelina.

- Ewcia! - krzyknęła histerycznie Lilka, poderwała się z podłogi i rzuciła siostrze na szyję. - Ewcia!!!

EPILOG

Michasiu, Kochanie!

Dopałam na chwilę do komputera, żeby ci podrzucić najnowsze wieści z hotelowego frontu. Ogólnie, to wiesz: powoli dochodzimy do siebie po tym wszystkim :-). A jeśli chodzi o szczegóły... to ten, no, Anonim by nie nadażył spisywać... Ciągłe coś się dzieje. Np. jakieś pół godziny temu przyjechała Ewelina, strasznie tajemnicza i w dodatku przytaszczyła coś ze sobą... nie wiem co, bo zapakowane było, ale duże i płaskie, może deska surfingowa??? :-). Pobiegła z tym od razu do ogrodnika, wzięła drabinę i coś tam teraz na zewnątrz kombinuje z panem Władziem. A nam kazała nosa z hotelu nie wyściubić. No to siedzimy grzecznie... Aha, ale jak tę deskę z bagażnika na dachu odsuptywała, tośmy ją z Lilką zdążyły trochę podpytać, ona ma przecież u siebie w pracy niezłe źródło informacji. He, he, w dodatku chyba całkiem przystojne;-)

Ale do rzeczy.

No więc, policja uważa, że Laskowski, wiesz, ten parszywy typek, co się włamał do hotelu, to miał na nas zlecenie. Nie szukał pieniędzy, tylko grzebał w dokumentach, rozumiesz? A niby po co mu jakieś papiery? Więc wygląda na to, że go ktoś wynajął, i chyba nawet wiadomo, kto. Stefa, ta mała, poprzednia kierowniczką. Tylko tego oczywiście nie sposób udowodnić.

Ewelina dowiedziała się jeszcze czegoś... Podobno jak tego Laskowskiego złapali, to znaleźli przy nim kupę szmalu. Sprawdzili to jakoś i się okazało, że to część forszy z napadu na kasyno! Rozumiesz? Tej, której szukali u nas ci szubrawcy, ci fałszywi biznesmeni, te cholerne gangstery. Uff, zdenerwowałam się. Ciągłe nie mogę o tym spokojnie myśleć... taki horror!

Już, już wracam do tematu. Prawdopodobnie Laskowski ukradł te pieniądze Karolowi, tfu, Kamilowi, zresztą wszystko jedno. Kucharzowi ukradł. Tylko, że niczego mu nie udowodnią. Bo ten łobuz tylko wrusza ramionami i mówi: znalazłem. I nic mu nie mogą zrobić. Ale to jeszcze nie wszystko. Reszta tej forsy z napadu gdzieś zniknęła, jakby się pod ziemię zapadła. Czyli Laskowski miał współnika. Tylko kogo? No dobra, jak widzisz, jest o czym myśleć.

No, nic. Najważniejsze, że wujek lepiej się czuje, a i ogrodnik już się wylizał, tylko mu kilka siniaków zostało, chociaż tak sobie myślę, że może jednak trochę za wcześnie na wchodzenie po drabinie? A swoją drogą co oni tam robią, tyle czasu?!!!

O! Czekaj, zdaje się, że Ewelina woła, żeby iść. No to lecę, kochany, bo już mnie aż skręca z ciekawości... odezwę się niebawem, a na razie... całuję mocno, *beijinhos quentes para men docinho de coco...:-)*

Jagódka

P.S. Zaraz, przecież jeszcze najważniejsze, oczywiście, że do Ciebie przyjedziemy! Cudownie, że to wymyśliłeś! Już nie mogę wytrzymać, tak się za Tobą stęskniłam! I Maciuś tak się cieszy! Podobno o niczym innym nie mówi, tylko o Brazylii! Jak tylko skończy szkołę, zaczynamy się szykować. Napisz mi wszystkie szczegóły.

Całuję Cię kochany mocno mocno mocno

J.

Jagoda kliknęła „wyślij”, zamknęła laptop i wybiegła z pokoju.

Przy recepcji natknęła się na wujka i Lilkę.

- Nie możemy wyjść, dopóki wszyscy się nie zbiorą -

oświadczył starszy pan, a pod wąsem błąkał mu się tajemniczy uśmiech. - Ewelina kazała. Podobno ma dla nas jakąś niespodziankę.

W tym momencie od strony kuchni nadeszły Mazurowa z Renatką, które jeszcze nie pojechały do domu po kolacji, i naburmuszony jak zwykle ogrodnik.

- Ewciu, już jesteśmy w komplecie, to co, możemy wyjść?! - wykrzyczał wujek przez szparę w uchylonych drzwiach. - Tak? To idziemy. - Odwrócił się do zgromadzonych w holu i dał znak ręką. - Już można.

Zaintrygowani wyszli przed hotel. Na parkingu, z dumną miną, stała Ewelina w towarzystwie pana Władzia. Oboje byli lekko brudni, lekko czerwoni, ale za to bardzo, bardzo z siebie zadowoleni.

- No i po co mnie było z domu o tej porze wyciągać, co? - burczał pod nosem pan Antoni.

- *Voilà!* - powiedziała z uśmiechem Ewelina, wskazując ręką fronton hotelu.

Wszyscy odwrócili się i, jak na komendę, wydali z siebie okrzyk zachwytu. Nad drzwiami, na miejscu starego neonu migotał nowy, zielony, w kształcie trabanta, z dużym, wyraźnym napisem:

POD ZIELONYM TRABANTEM

Jagoda objęła Lilkę ramieniem.

- Wiesz co? - szepnęła jej do ucha. - To nie koniec naszej historii. To dopiero początek.